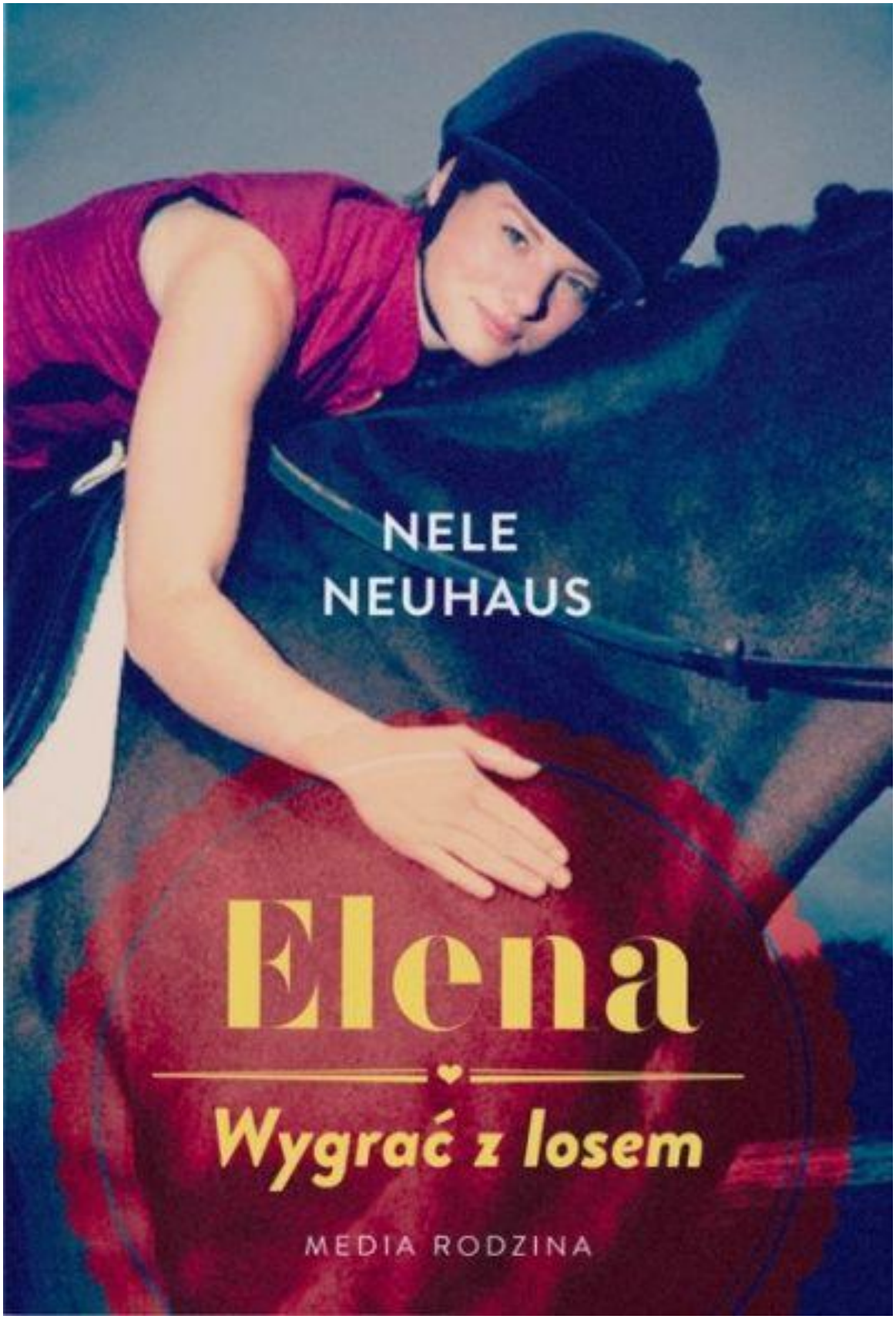

NELE
NEUHAUS
Elena
Wygrać z losem
MEDIA RODZINA

Nele Neuhaus

Elena. Wygrać z losem



Dla mojej siostrzenicy Clary

Prolog

DESZCZ PRZESTAŁ PADAĆ, a wiatr powoli przeganiał grubą warstwę chmur. Elena Weiland stanęła w drzwiach stajni, przyjrzała się nieufnie niebu i postanowiła wykorzystać to chwilowe przejaśnienie na przejażdżkę, mimo że było już późno. Pogoda nie pozostawiała wątpliwości, że lato się skończyło, a w nadchodzących miesiącach trzeba będzie jeździć pod dachem.

Dziewczyna wsunęła nogę w strzemię i bez wysiłku wskoczyła na siodło swojego kuca. Sirius nadstawił uszu, kiedy się przekonał, że jedzie na pola i do lasu, a nie do ujeżdżalni. Spokojnym kłusem niósł Elenę piaszczystą drogą w stronę szpaleru drzew. Dziewczyna skręciła jednak w lewo, na puste już pola i skoszone łąki. Uniosła głowę i przyjrzała się żurawiom, które kluczem zmierzały na południe. Ich głośne krzyki brzmiały jak pełne tęsknoty pożegnanie nagle tak odległego lata. Liście na drzewach przez noc straciły intensywne kolory. Błyszczące złoto i głęboka czerwień zmieniły się w smutny brąz, jakby natura traciła siły.

Elena odwróciła twarz, chcąc uniknąć wiatru, i postawiła kołnierz kurtki. W gwałtownych podmuchach, które zrywały liście z gałęzi i przeganiały resztki babiego lata, wyczuwała zapowiedź nadchodzącej zimy.

Sirius przeszedł w galop, a ona nie miała nic przeciwko. Dopiero na szczycie wzgórza zrobiła paradę i odwróciła się w siodle. Uwielbiała widok, jaki się stąd rozciągał. Stadnina z tej odległości wyglądała jak zabawka z klocków. Elena uniosła się w strzemionach i rozejrzała. Dookoła ujeżdżalni wyrastały budynki stajni, a jeszcze dalej jaśniejsze, gładkie powierzchnie padoków i maneży. Na parkingu między ujeżdżalnią, gospodą i domem stało kilka samochodów, a dalej, między stodołą i dwoma dużymi kasztanami mozolnie jak chrabąszcz przesuwał się czerwony traktor. Wystarczyła chwila skupienia, by pośród szumu drzew usłyszeć odległy terkot silnika.

Elena urodziła się w tej stadninie i w niej dorastała. To było jej miejsce na ziemi i rzadko się zdarzało, by w tym miejscu nie zatrzymała się i nie obejrzała.

W tym momencie Sirius poruszył się niecierpliwie. Chciał biec dalej. Kuc znał na pamięć każdą drogę w okolicy i każdy odcinek, na którym mógł galopować. Tak samo jak Elena lubił szybkie tempo.

Po kilku chwilach dotarli na skraj lasu i wjechali między drzewa. Tam nie czuło się wiatru i gdyby nie poruszające się czubki drzew, słychać by było jedynie stukot kopyt. Przez drogę bezgłośnie przemknęła sarna. Spojrzała zaskoczona, zamarła na kilka sekund, a potem eleganckim skokiem zniknęła w ciemności. Sirius udawał, że się przestraszył, żeby znów ruszyć galopem. Elena tylko się uśmiechnęła i pozwoliła mu biec.

Kiedy minęli kolejne rozwidlenie, zwolniła pędzącego konia. Wielkimi krokami zbliżał się wieczór i zmrok, więc nie chciała za bardzo się oddalać. Skręciła w prawo i półparadą przeszła w stępa. Z mokrej od potu sierści kuca unosiła się para. Wysokie, ponure świerki i daglezje po obu stronach przesieki, które zeszłoroczna wichura mocno przechyliła, sprawiały wrażenie ścian i sklepienia wielkiej katedry, jaką Elena widziała na wycieczce klasowej. Miała wrażenie, że w lesie panuje podniosła atmosfera. Jeszcze kilkaset metrów i była na skraju pól. Kawałek dalej znajdował się wielki padok, po którym hasało stado źrebaków. Spędziły tu całe wakacje. Niedługo noce staną sie zbyt chłodne, by zostawiać je na dworze. Trafią wtedy do stajni, gdzie dostaną obszerne boksy i miękką słomę na podłodze, by zdrowo przetrwały zimę.

Nad łąkami unosiła się wieczorna mgła, więc konie na padoku wyglądały, jakby unosiły się w powietrzu. Jeden ze źrebaków, kasztanek z jaśniejszą łysiną, uniósł głowę i spojrzał z zainteresowaniem w stronę Eleny, która wynurzyła się z lasu na swoim kucu. Pozostałe szybko przyłączyły się do towarzysza. Po chwili ruszyły w stronę ogrodzenia, z początku stępem, a potem kłusem. Elena znała każdego z nich, wiedziała, kiedy się urodziły i jak miały na imię. Źrebaki towarzyszyły jej, biegnąc po drugiej stronie ogrodzenia, a kiedy nie mogły już iść dalej, odprowadzały ją wzrokiem, jak zjeżdżała wąską dróżką do stadniny. Elena wiedziała, że jeszcze chwilę będą tak stały, a potem wrócą do skubania trawy i rozejdą się po rozległej łące. Poniżej, w obejściu, zapłonęły pierwsze światła.

Elena uśmiechnęła się na widok znajomych budynków. Jak cudownie było tu mieszkać!

Rozdział 1

JAK ZAWSZE, KIEDY życie chce nam zrobić przykrą niespodziankę, nie ma co liczyć na jakiekolwiek znaki ostrzegawcze. Czasem człowiek nie zauważa nawet samego momentu, kiedy przychodzi nieszczęście. W tamten październikowy piątek nie miałam żadnych podstaw, by podejrzewać, że akurat tego dnia rozpocznie się katastrofalny w skutkach splot wydarzeń. Wręcz przeciwnie!

Dzień rozpoczął się nawet bardzo dobrze, bo na drugiej lekcji dostaliśmy wyniki wypracowań.

- Wspaniała praca, Eleno! I to zarówno jeśli chodzi o język, jak i o treść. Świetnie się czyta i trzyma w napięciu - powiedziała nauczycielka, pani Wernke.

Kiedy otworzyłam zeszyt, z wrażenia zaniemówiłam, bo pod swoim wypracowaniem zobaczyłam wielką piątkę wpisaną czerwonym długopisem. Co prawda niemiecki, geografia i biologia były moimi ulubionymi przedmiotami, ale piątki za pracę pisemną jeszcze nigdy nie dostałam.

- Co ci postawiła? - Ariane raczej unikała rozmowy ze mną, jednak tym razem nie potrafiła zapanować nad ciekawością i odwróciła się na krześle.

- Piątkę - odparłam tak skromnie, jak tylko potrafiłam.

- No, to gratulacje - wykrztusiła z trudem, a w jej błękitnych jak u bobasa oczach pojawiły się złowrogie błyski. Niedbałym ruchem odrzuciła długie blond włosy i odwróciła się do mnie plecami.

Ariane nie potrafiła znieść, kiedy ktoś okazywał się lepszy niż ona, a już zupełnie nie umiała zaakceptować, że mogłabym to być ja. W szkole podstawowej w Steinau byłyśmy koleżankami, ale to było wieki temu.

Nikt poza mną nie dostał piątki, zatem Ariane również nie, co jeszcze bardziej wyprowadziło ją z równowagi. Wiedziałam, że teraz tylko czeka na okazję, żeby mi dopiec - no i się nie myliłam. Na czwartej lekcji nasz matematyk akurat mnie wywołał do tablicy, chociaż celowo przyjęłam nieobecny wyraz twarzy i udawałam, że sprawdzam coś w podręczniku. Nienawidzę stać tak przed całą klasą i czuć na sobie ich spojrzenia.

- Podziel, proszę, wynik iloczynu jedenastu i siedmiu przez różnicę z dwunastu i pięciu, a następnie odejmij iloraz od piętnastu.

Eee... co takiego? Stałam tam z kredą w dłoni, gapiłam się głupkowato na pustą tablicę i czułam, jak robię się czerwona. Gdzieś za mną rozległy się śmiechy, co nieszczególnie mi pomagało. W głowie kotłowały się setki myśli, lecz żadna nie była wynikiem zadania.

- Cśśś! - pan Graubner uciszył klasę. - Eleno, w czym problem? Nie znasz odpowiedzi?

- Nie. - Pokręciłam głową.

Nauczyciel uniósł brwi, co było oznaką zbliżającego się nieszczęścia, a potem wyciągnął dłoń po kredę.

- Kto z was chciałby spróbować? - zapytał, nie patrząc już w moją stronę.

Nikt się nie poruszył, tylko Ariane wyszczerzyła radośnie zęby, kiedy czerwona jak cegła mijałam ją, wracając na swoje miejsce.

- Pięć z niemieckiego, jedynka z matmy - szepnęła głośno, a Tessa i Ricky, jej dwie przyjaciółki, zachichotały posłusznie.

- Ariane? - Pan Graubner, zgodnie z planem, zwrócił na nią uwagę.

- Ja? - Dziewczyna z zaskoczeniem otworzyła szeroko oczy i wskazała na siebie

palcem. Wszystko oczywiście na pokaz. W całej klasie Ariane była bezdyskusyjnie najlepsza z matematyki. Lepsza nawet od chłopaków.

- Tak, ty, jeśli nie masz nic przeciwko. - Nauczyciel matematyki uśmiechnął się z zadowoleniem, mając nadzieję, że w końcu złapał ją nieprzygotowaną, i podał jej kredę.

Ariane tanecznym krokiem ruszyła w stronę tablicy, odrzuciła blond czuprynę na plecy i w kilka sekund rozwiązała zadanie.

- Bardzo dobrze - orzekł matematyk, choć w jego głosie słychać było lekkie rozczarowanie, bo w końcu pojął, że dał się wmanewrować.

- Łatwizna. - Ariane posłała mi tryumfujący uśmiech. - Dziecinada.

Po szóstej lekcji czekałam niecierpliwie na moją najlepszą przyjaciółkę Melike, która chodziła do dziewiątej klasy. Deszcz bębnił o dach nad korytarzem i tworzył wielkie kałuże na szkolnym podwórzu. Punktualnie wraz z nastaniem jesiennej przerwy lato postanowiło się ostatecznie z nami pożegnać - od tygodnia niemal bez przerwy padało.

Autobus odjeżdżał pięć po pierwszej, zostało nam więc ledwie dziesięć minut, żeby dotrzeć na przystanek. Z budynku szkoły wylewał się strumień setek uczniów i uczennic, a ja patrzyłam, jak mnie mijają. W końcu, jedna z ostatnich, pojawiła się Melike.

- Wilhelm chciał jeszcze ze mną porozmawiać. - Wywróciła oczyma. - Znów zawaliłam kartkówkę z łaciny, niech to szlag! Wyobraź sobie, zapytał mnie, czy ja się aby nie zakochałam!

Przyjaciółka zachichotała rozbawiona.

- Nie gadaj! Serio? I co mu odpowiedziałaś? - Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Nic. - Melike wzruszyła ramionami, wciąż szeroko uśmiechnięta. - Chyba myśli, że zgadł. A ja po prostu nie znoszę łaciny. Komu to w ogóle potrzebne?

Naciągnęłam na głowę kaptur niebieskiej wiatrówki. Nie musiałyśmy się już spieszyć, bo autobus i tak odjechał.

Przed bramą prowadzącą na teren szkoły stała Ariane i jej najlepsza przyjaciółka Laura Baumgarten. Przytulały się do siebie pod ogromnym, jaskrawożółtym parasolem i wyglądały jak zrośnięte bokami bliźniaczki syjamskie. Ariane nie musiała dojeżdżać do szkoły autobusami jak zwykli śmiertelnicy, na których zresztą spoglądała z politowaniem. Codziennie przywoziła ją i po zajęciach odbierała albo matka, albo jedna z szeregu wciąż nowych aupairek, które pracowały u Teichertów. Akurat kiedy je mijałyśmy, przy krawężniku zatrzymał się śnieżnobiały wóz terenowy matki Ariane.

- Hej, Ariane! - krzyknęła Melike, zanim zdążyłam ją powstrzymać. - Autobus nam zwiał! Możecie nas podrzucić?

- Niestety, odpada. Jedziemy właśnie na obiad do La Strady! - odparła dziewczyna, arogancka gęś, nawet na nas nie patrząc. - Tak mi przykro!

Ariane i Laura zachichotały, a potem wsiadły do wypasionego jeepa. Trzasnęły drzwi, silnik zaryczał i wóz odjechał.

- Głupie krowy! - warknęła Melike ze złością i umiejętnie zaczęła naśladować wyniosły sposób mówienia koleżanki. - Idziemy do La Strady! Może zjem tam maaaaleńki filecik wołowinki albo królewskie krewetki! Ech...

La Strada była najbardziej elegancką restauracją w całym Königshofen. Mama i tata kiedyś się tam wybrali i opowiadali po powrocie, że to tak wytworne miejsce, że w karcie dań nie ma nawet podanych cen.

- Mogłam cię wcześniej ostrzec - stwierdziłam. - Dzisiaj na niemieckim pani Wernke oddała nam wypracowania. Ariane mało nie pękła ze złości, bo ja dostałam piątkę, a ona nie.

- Serio? Ale odlot!

Potem szłyśmy tak w deszczu do dworca autobusowego. Ja uśmiechałam się pod

nosem, a Melike nie mogła przestać ujeżdżać po naszych koleżankach i narzekać na nauczyciela łaciny. Mnie, w gruncie rzeczy, było wszystko jedno, bo nie mogłam się doczekać miny mamy, kiedy podsunę jej pod nos zeszyt z piątką. Oczywiście zrobię to jakby od niechcenia. Reszta mojej klasy musiała pewnie długo myśleć, co napisać na temat „Najdramatyczniejszy dzień w życiu" - ja nie wahałam się ani chwili i opisałam historię wypadku mojego źrebaka Fritziego, który zdarzył się trzy lata temu.

Zanim dotarłyśmy do dworca, cała złość Melike się ulotniła. W barze z fast foodem zamówiłyśmy sobie po porcji frytek - ja z majonezem, Melike z keczupem - po czym usiadłyśmy na schodach.

- Przyjdziesz po południu do stadniny? - zapytałam i zlizałam majonez z palców.

- No pewnie. - Melike potaknęła, przeżuwając. - Nie mam pojęcia, czy mama już dzisiaj jeździła, ale Dicky nie będzie chyba narzekał, jeśli dwa razy wyjdzie na plac.

Dicky, który tak naprawdę miał na imię Jasper, należał do mamy Melike. Kobieta nie miała czasu, więc z zadowoleniem pozwalała robić to córce.

- Tata jedzie na zawody. - Wygrzebałam ostatnie frytki z nasączonego tłuszczem papierowego rożka. - Mogłybyśmy postawić kilka przeszkód w dużej ujeżdżalni.

Tata był jeźdźcem i zawodowo brał udział w konkursach skoków przez przeszkody, więc niemal każdy weekend spędzał poza domem, bo jechał na jakiś turniej w kraju albo nawet za granicą. Ja i mój starszy brat Christian od samego początku wychowywaliśmy się z końmi i oboje od małego jeździliśmy w siodle.

Gwoli ścisłości, stadnina „Kosy" należała do mojego dziadka, który prowadził szkółkę jeździecką i dbał o to, żeby wszystko działało jak należy. Babcia natomiast prowadziła gospodę „U Wodopoju", popularną nie tylko wśród jeźdźców, bo latem wabiła gości dużym ogródkiem piwnym.

- Mmm, to było pyszne. - Melike zmięła papier po frytkach i wrzuciła do kosza na śmieci przy schodach. - Ta idiotka Ariane dzisiaj raczej się u was nie pokaże.

- Raczej nie - potaknęłam i wykrzywiłam twarz. - Christian też jedzie na zawody, więc w stadninie nie będzie nikogo, przed kim mogłaby odgrywać przedstawienie.

Ojciec Ariane był właścicielem trzech koni, które u nas trzymał, a tata je trenował i wystawiał na zawodach. Pan Teichert pracował jako makler giełdowy albo ktoś taki i miał mnóstwo pieniędzy. On i jego wyfiokowana żona nie mieli co prawda zielonego pojęcia o jeździectwie, ale mimo to byli dobrymi klientami.

Laura, klasowa koleżanka Melike, również trzymała u nas swojego wierzchowca, jednak był to koń ujeżdżeniowy.

Skończyłam frytki i przyglądałam się naszemu odbiciu w szybie baru. Patrząc na delikatną Melike, z jej ciemną karnacją, którą zawdzięczała tureckim przodkom ze strony ojca, z jej wielkimi, ciemnobrązowymi oczyma, śnieżnobiałymi zębami i błyszczącymi kruczoczarnymi włosami, wydawałam się sobie nudną i brzydką tyczką. Bardzo zazdrościłam przyjaciółce wyglądu. Nie wiem, jak to robiła, ale zawsze wyglądała ładnie, nie przykładając do tego wielkiej wagi. Ja za to tęskniłam do dnia, w którym pozbędę się w końcu aparatu na zęby i pryszczy. Jedyne, co w sobie lubiłam, to włosy. Tak jak mama, byłam blondynką. Kiedy oglądałam jej stare zdjęcia, zauważałam ślady podobieństwa, co pozwalało mi zachować resztki nadziei, że pewnego dnia będę wyglądała równie dobrze jak ona. Z zamyślenia wyrwał mnie pisk hamulców, bo obok nas zatrzymał się brudny, ciemnozielony jeep.

- A niech to, co za pech. Tim Jungblut z ojcem - powiedziałam i zsunęłam kaptur bardziej na twarz. - Tylko nie patrz w ich stronę!

Mnie pewnie by nawet nie zauważyli, ale po prostu nie dało się przeoczyć Melike w jej jaskrawożółtej kurtce przeciwdeszczowej. Odcinała się od ponurego krajobrazu jak latarnia morska pośród mglistej nocy.

Szyba w drzwiach pasażera zjechała na sam dół, a ze środka wychylił się chłopak o ciemnoblond włosach.

- Uciekł wam autobus? - zapytał, uśmiechając się szeroko.

- Nie, tak dla przyjemności siedzimy sobie w deszczu - Melike odparowała z refleksem.

- Nie róbcie scen, tylko wsiadajcie! - Chłopak wyskoczył na chodnik i otworzył zapraszająco drzwi. - Tak czy inaczej, jedziemy przez Steinau.

- Ja nie mogę, po prostu nie - szepnęłam do przyjaciółki. - Gdyby tata się dowiedział, że jechałam z Jungblutami, zabiłby mnie.

- Gdyby się dowiedział. Ale się nie dowie. - Melike pociągnęła mnie za sobą. - To chyba lepsze niż moknięcie przez kolejną godzinę.

Musiałam przyznać jej rację. W dodatku, właśnie dlatego, że to tak kategorycznie zabronione, czułam lekkie podekscytowanie na myśl, że zamienię kilka słów z kimś z rodziny Jungblutów. Wymamrotałam „cześć" i wcisnęłam się na tylną kanapę, między Melike a siodło i czapraki.

- Dobry, drogie panie. - Ojciec Tima przyjrzał się nam przez chwilę w lusterku wstecznym, a potem dodał gazu i ruszył.

Richard Jungblut handlował końmi i, podobnie jak mój tata, skakał na nich. Do niego należała stadnina „Słoneczna" w Hettenbach, niewielkiej miejscowości po drugiej stronie lasu. Nienawiść do Jungblutów była w naszej rodzinie niemal tradycją i spotykała się z ich gorącą wzajemnością. Szczególnie mężczyźni z obu rodów nie mogli się znieść. Nie miałam pojęcia, kiedy i jak się to zaczęło, i nie bardzo mnie to nawet interesowało. Tak było i już.

Tima znałam oczywiście od małego, bo nie tylko chodziliśmy do tej samej szkoły, ale też niemal co tydzień spotykaliśmy się na jakimś turnieju albo zawodach jeździeckich. Nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy, żeby z nim rozmawiać, bo to przecież syn Richarda Jungbluta, czyli wróg. Chodził do dziesiątej klasy - nie tej samej, co Christian, ale do równoległej - i trzeba było mu oddać, że bosko jeździł konno. Dosiadając koni, którymi handlował jego ojciec, wygrał w zeszłym roku wiele zawodów w klasie N, a kilka nawet w

klasie C.

Przez całą drogę Richard Jungblut nie wypowiedział ani jednego słowa. Dwukrotnie napotkałam badawcze spojrzenie jego przenikliwych niebieskich oczu, ale za każdym razem natychmiast odwracałam wzrok. Czyżby wiedział, kim jestem? Raczej nie, bo gdyby było inaczej, wyrzuciłby mnie na ulicę, nawet nie zwalniając. Siedziałam jak na rozżarzonych węglach. Jeszcze nigdy tak strasznie nie dłużyła mi się droga do Steinau, choć przecież to tylko dwanaście kilometrów, a ojciec Tima gnał przez Königshofen i drogami jak szaleniec.

Melike paplała nieprzerwanie, jak to zwykle ona, jednak ja nie mogłam wykrztusić z siebie słowa. Zresztą co miałabym powiedzieć? Poza Melike nikt w samochodzie się nie odzywał i nie reagował na jej gadaninę, więc po jakimś czasie nawet ona zamilkła. Nie posiadałam się z radości, kiedy ciemnozielony jeep zatrzymał się na przystanku autobusowym przed ratuszem.

- Dziękuję za podwiezienie - wymamrotałam i z ulgą wyskoczyłam na deszcz.

Richard Jungblut skinął głową, Tim rzucił „cześć", a potem rozległ się trzask drzwi, ryk silnika i ciemnozielony jeep pognał dalej ulicą.

Zaczęłam przetrząsać kieszenie kurtki w poszukiwaniu kluczy do kłódki, którą codziennie rano przypinałam rower do stojaka obok przystanku. Melike mieszkała kilka przecznic od ratusza, więc mogła pójść piechotą. Ja miałam do domu ponad dwa kilometry, bo stadnina mojego dziadka znajdowała się kawałek za Steinau, pod lasem, w otoczeniu drzew i łąk.

- To do zobaczenia! - krzyknęłam za przyjaciółką.

- Będę o trzeciej! - odkrzyknęła Melike.

Rozdział 2

NAŁOŻYŁAM KAPTUR I POPEDAŁOWAŁAM ulicą Wiesenstraße. Minęłam stadion sportowy, a potem halę widowiskowo-sportową, cały czas uważając, by nie przewrócić się na błotnistych koleinach wyżłobionych przez koła traktorów. Zima zbliżała się nieubłaganie, właściwie stała już u progu. Wkrótce miał nastać czas, kiedy jeździć będzie można tylko pod dachem, o piątej po południu będzie już ciemno, konie będzie trzeba ogolić i przykrywać grubymi derkami, by chronić je przed zimnem, a my, ludzie, będziemy marznąć w halach jeździeckich i w stajniach - i to mimo kurtek, szali i rękawic.

Ktoś na mnie zatrąbił. Obejrzałam się przez ramię i uciekłam szybko na wąskie, porośnięte mokrą trawą pobocze, żeby zrobić miejsce wielkiej ciężarówce do przewozu koni. Na burcie samochodu wypisano wielkimi literami „KONIE - PFERDE - CHEVAUX - HORSES", a pod spodem „Handel końmi Nötzli - Adliswil, Szwajcaria". Mocniej nacisnęłam pedały. Możliwe, że do stadniny przyjechały nowe zwierzaki!

Kiedy dotarłam na miejsce, kierowca ciężarówki manewrował ciężkim autem po podwórzu, by w końcu zaparkować obok góry mierzwy. Z biegiem lat w stadninie zachodziły coraz większe zmiany. Wiele budynków zostało przebudowanych, powstawały całkowicie nowe. Dzięki temu pojawiało się też sporo przejść, których wcześniej nie było, pomieszczenia do przechowywania karmy, siodlarnie i niewielkie, ciasne placyki oraz podwórza, w plątaninie których wielu obcych i nowych pensjonariuszy stale myliło drogę. W centrum stadniny znajdowała się wielka ujeżdżalnia z przylegającą do niej stajnią dla koni szkółkowych i pomieszczeniem do mycia wierzchowców, a całkiem z przodu, wzdłuż krótszej ściany ujeżdżalni - dawna stajnia dla ogierów, w której teraz trzymaliśmy konie pensjonariuszy. Następne w kolejności były Środkowa Stajnia, Długa Stajnia, Mała Stajnia i na samym końcu, zupełnie z tyłu, Stara Stajnia, w której stały jedynie konie, na których tata brał udział w zawodach. Podczas gdy wszystkie pozostałe budynki były nowoczesne i niezwykle ergonomiczne, stajnia taty sprawiała bardzo specjalne wrażenie. Była wysoka i przewiewna, konie miały okna wychodzące wprost na parkur i tor do galopu, a kiedy chciały, mogły wyglądać na szerokie przejście między boksami.

Kierowca pana Nötzlego zatrzymał auto przed frontowym wejściem do Starej Stajni i wyskoczył z szoferki.

- Dzień dobry! - krzyknęłam, dysząc ciężko, i oparłam rower o ścianę stajni.

- Cześć - odparł kierowca.

Znałam go, bo już wcześniej przywoził nam konie. Gerhard Nötzli, handlarz końmi ze Szwajcarii, regularnie robił z tatą interesy. Przysyłał mu młode, ale utalentowane konie, żeby tata je ułożył i nauczył skakać, a potem wystawiał na zawodach. Kiedy były już gotowe, wystawiano je na sprzedaż, a tata dostawał procent od kwoty, za jaką zostały nabyte. Jednak od czasu do czasu trafiały się również wierzchowce, które nie chciały skakać przez przeszkody, stawały dęba czy też w inny sposób okazywały nieposłuszeństwo. Zanim mogły zostać wystawione ponownie na sprzedaż, wymagały korekty zachowania. I zazwyczaj było to bardzo trudne zadanie.

- Przywiozłem wam dwa koniki - oznajmił mężczyzna i spojrzał na zegarek. - Jeszcze dzisiaj muszę dojechać do Holandii. Mogłabyś skoczyć po kogoś, kto wie, gdzie je wstawić?

- Ja wiem, które boksy są puste - odpowiedziałam szybko i weszłam do stajni. Już w progu poczułam charakterystyczny zapach koni i siana. Z przyjemnością głęboko odetchnęłam.

Po Jensie, naszym stajennym, nie było nawet śladu, za to w środku przejścia leżało na ziemi siodło i brudne ogłowie, a drzwi do siodlarni stały otworem. Typowe, pomyślałam. Podniosłam siodło z podłogi i zaniosłam na miejsce. Kiedy tylko tata wychodził ze stajni, Jens przestawał się starać. Zostawiał wszystko byle jak i zaczynał rozmawiać przez telefon albo znikał w swoim pokoju.

Pierwszy wolny boks znalazłam obok mojego kuca Siriusa w Małej Stajni, a drugi w Długiej Stajni. Tam koniki mogły poczekać, aż tata zdecyduje, gdzie trafią.

Kierowca nie marnował czasu i wyprowadził z samochodu pięknego kasztanka z wąską łysiną. Koń zatańczył i zarżał zdenerwowany. Zastrzygł uszami, bo obce otoczenie

bardzo go niepokoiło, lecz to akurat było zupełnie normalne w przypadku nowych zwierząt. Wyciągnęłam dłoń i sięgnęłam po uwiąz.

- Weź może tego drugiego - poradził kierowca. - Bo ten tutaj jest specyficzny.

Nie mogłam znieść, kiedy dorośli traktowali mnie jak małe, głupie dziecko, choć miałam przecież trzynaście lat, a nie pięć!

- Dam sobie radę - zapewniłam go.

Mężczyzna zawahał się, ale w końcu podał mi uwiąz, choć widać było, że nie jest tym zachwycony.

- Tylko bardzo uważaj! - krzyknął za mną.

Zwierzę podskoczyło ze strachu, uderzyło głową i zadarło ogon. Ale przecież nie po raz pierwszy prowadziłam nerwowego konia.

- Spokojnie, nie musisz się niczego bać - powiedziałam miłym głosem i pogłaskałam go po szyi.

Spojrzał na mnie błyszczącymi oczyma i zarżał.

- No już, chodź. Zachowuj się byle jak, ale się zachowuj. Zobaczysz, nic ci się nie stanie.

I rzeczywiście, kasztanek uspokoił się nieco, a po chwili posłusznie dał się zaprowadzić do stajni.

Kiedy drugi wierzchowiec również znalazł się w boksie, kierowca przekazał mi teczkę z dokumentami przewozu koni oraz paszporty obu zwierzaków. Patrząc na zamykającą się rampę ciężarówki, zastanawiałam się, gdzie pojadą pozostałe koniki i skąd przyjechały. Jak cudownie byłoby móc spędzać cały dzień z końmi, zamiast przesiadywać w szkole! Praca z nimi była pełna niespodzianek i bardzo mi się podobała. Nie mówię oczywiście, że

wynoszenie końskich kup z boksów, czyszczenie zwierząt, siodeł, pozostałego sprzętu jeździeckiego i załatwianie całej masy drobiazgów, dzięki którym stadnina mogła funkcjonować, to czysta sielanka; co to, to nie. Wiele dziewczyn marzyło o tym, by zostać masztalerkami, ale tylko nieliczne zdawały sobie sprawę, co to za praca, i szybko zmieniały zdanie. Ja natomiast wiedziałam, że po szkole na pewno będę pracowała z końmi.

Cudownie było oglądać, jak się rozwijają, obserwować ich gorsze lub lepsze dni i pomagać im, kiedy były chore. Każdy koń miał swoją osobowość, upodobania i słabości, zupełnie jak ludzie. Niektóre były ciekawskie, inne wyrachowane, a jeszcze inne chciały się przez cały czas przytulać. Były takie, które musiały czuć silną rękę, bo inaczej zaczynały dominować. Niektóre konie błyskawicznie uczyły się nowych rzeczy, inne musiały w nieskończoność powtarzać te same elementy, zanim w końcu pojęły, o co w nich chodzi.

W chwili, kiedy ciężarówka pana Nötzlego wyjechała przez wielkie kałuże za bramę, w stajni pojawił się Jens. Ziewnął szeroko i się przeciągnął.

- Kogoznowuprzyniosło? - wymamrotał zaspanym głosem, po czym wydobył z kieszeni zmiętą paczkę papierosów.

- Kierowca od pana Nötzlego. Przywiózł dwa konie. - Wskazałam mu puste boksy. - Nie chciałam cię budzić.

Jens natychmiast zrobił niezadowoloną minę.

- O rany, człowiekowi należy się przecież przerwa w pracy - warknął ostro.

- No pewnie. - Odwróciłam się.

Ech, ten wiecznie narzekający Jens z jego wyłupiastymi oczyma, śladami po opryszczce i wiecznie tłustymi włosami. Nie mogliśmy się dogadać. Szybko tracił cierpliwość i był niedelikatny dla zwierząt, ale tata go potrzebował, bo sam by sobie ze wszystkim nie poradził. Trudno było znaleźć masztalerza, który potrafiłby przygotować młode koniki do pierwszych startów i odpowiednio je zaprezentował. A Jens dawał sobie radę. Dlatego starałam się nie odzywać i kiedy tylko było to możliwe, schodziłam mu z drogi.

- Tak przy okazji, zapomniałeś zamknąć siodlarnię. A w przejściu między boksami leżało siodło. Jedno z tych lepszych. - Nie potrafiłam się powstrzymać.

- Trzeba było je uprzątnąć - Jens odparował kwaśno.

- Właśnie to zrobiłam.

- To teraz leć i naskarż tatusiowi - mruknął ponuro i zadeptał niedopałek w samym progu stajni. - Bezczelna Smarkula.

- Nadęty Pryszczol - odparowałam.

W ten właśnie sposób kończyła się większość rozmów między nami. „Bezczelna Smarkula" było jeszcze stosunkowo miłym i grzecznym zwrotem. Dobrze wiedziałam, że Jens miał w zanadrzu znacznie mniej uprzejme słowa pod moim adresem. Tyle że potrafiłam się mu zrewanżować.

Wróciłam po rower i przeprowadziłam go środkiem stajni. W porze obiadowej niewiele się tu działo. Konie drzemały sobie w boksach albo skubały siano. W otwartej bramie, na kocu w kratę, leżał Robbie, nasz berneńczyk. Kiedy tylko mnie zobaczył, uniósł głowę i zamachał ogonem, lecz widząc, że wsiadam na rower i ruszam w stronę domu, położył się rozczarowany i ziewnął smutno.

Rozdział 3

NA PUSTYM PARKINGU przed gospodą stał samotny srebrny opel, którego wcześniej tu nie widziałam. Obok samochodu kręcił się łysy mężczyzna w okularach i rozglądał bezradnie po pustym podwórzu, jakby czegoś szukał. Wyglądał dość sympatycznie i zupełnie niegroźnie, a ja nie mogłam jeszcze mieć pojęcia, że on właśnie jest zwiastunem katastrofy, która dotknie naszą rodzinę i wszystkich pracujących w stadninie. Odstawiłam rower i grzecznie się przywitałam.

- Dzień dobry, mogę panu jakoś pomóc? - zapytałam.

Być może szukał stadniny, do której chciał wstawić swoje konie. A nowi klienci byli zawsze ciepło u nas witani.

- Szukam pana Ludwiga Weilanda - mężczyzna odpowiedział zdawkowo. - Wiesz może, gdzie go znajdę?

- To mój dziadek - odparłam. - Proszę za mną, zaprowadzę pana.

W południe, kiedy gospoda była jeszcze oficjalnie zamknięta, babcia przygotowywała obiad dla całej rodziny oraz dla Jensa i spółki, jak mama nazywała stajennych Heinricha i Staniego.

Podjazdem dla wózków inwalidzkich podprowadziłam rower do samych drzwi gospody, ale do środka weszłam bocznym wejściem, które prowadziło również do mieszkania dziadka i babci. Mój brązowo-biały jack russell terrier Twix dużo wcześniej usłyszał, że się zbliżam, i czekał na mnie niecierpliwie przy progu. Kiedy weszłam na korytarz między gospodą a mieszkaniem dziadków, gdzie znajdowało się jego legowisko, zawył z radości i zaczął podskakiwać jak gumowa piłeczka. Twix chodził za mną krok w krok, od kiedy znalazłam go dwa lata wcześniej na leśnym parkingu, rannego i zagłodzonego. Poprzedni właściciele przywiązali go i zostawili. W gospodzie było jeszcze ciemno, a krzesła stały na stołach. To nie był dobry znak. Babcia krzątała się w kuchni, robiąc coś przy kuchence i

przeklinając pod nosem.

- Cześć, babciu! - przywitałam się.

Mężczyzna stanął w progu.

- Elena, o której to wraca się do domu, co? - burknęła staruszka, najwyraźniej w złym humorze. - Dzisiaj nie ma nic ciepłego do zjedzenia. Kuchenka się zepsuła.

- Spóźniłam się na autobus - wyjaśniłam. - Wiesz, gdzie jest dziadek?

- Gdzieś w obejściu. Chyba mieli przykrywać słomę. - Babcia odwróciła się. Jej wzrok padł na mężczyznę z teczką. Oparła wtedy swoje masywne dłonie na biodrach i zrobiła ponurą minę. - Pan jest serwisantem, którego wysyłali mi do kuchenki już trzy godziny temu?

- Eee... nie - wyjąkał nieznajomy, cofając się rakiem, lecz tak nieszczęśliwie, że przydepnął ogon Twiksa. Pies wydał z siebie mrożący krew w żyłach wrzask, a mężczyzna zbladł ze strachu.

- A niech to, nie mógłby pan uważać?! - Babcia nie oszczędzała nieznajomego gościa.

Zazwyczaj babcia była człowiekiem, że do rany przyłóż, jednak często zostawała sama z całym domem na głowie, więc rzadko można było ją spotkać w dobrym humorze.

- Może pan tutaj poczekać albo pójść ze mną, to pana zaprowadzę - zaproponowałam uczynnie.

Nieznajomy szybko zdecydował się na drugie rozwiązanie, więc zostawiłam rower oparty o ścianę i ruszyłam na dwór, jak zwykle w towarzystwie Twiksa. Nasza stadnina była tak duża, że rower był tutaj moim ulubionym środkiem lokomocji. Dziadek, Jens i tata też korzystali z roweru, żeby poruszać się między stajniami, maneżem, domem, halami do jazdy i gospodą. Za to Christian od jakiegoś czasu jeździł skuterem, który tata wygrał na jakichś zawodach.

Wiele lat przed moim urodzeniem babcia i dziadek zostali „przesiedleni”. W zamian za niewielkie gospodarstwo w centrum Steinau dostali wielki kawał ziemi pod samym lasem i zbudowali na nim stadninę. Z biegiem czasu pojawił się na nim dom, potem stodoła, stajnia i pierwsza hala do jazdy konnej, a potem jeszcze więcej stajni. Kiedy moi rodzice się pobrali, w stadninie został wybudowany dom, w którym cały czas mieszkamy, a potem jeszcze jedna, znacznie większa ujeżdżalnia, maneże i padoki.

Dziadek z Heinrichem pracowali na łące za wielką stodołą. Przykrywali plandekami bele słomy, które latem traktor zbierał z pola i prasował w potężne wałki.

- Dziadku! - krzyknęłam. - Przyprowadziłam kogoś, kto cię szukał!

Mężczyzna najwyraźniej nie zakładał, że przyjdzie mu przemaszerować przez całe obejście. Jego jasnoszary garnitur przemókł od deszczu i zrobił się ciemnoszary.

- To właśnie mój dziadek - wyjaśniłam gościowi.

- Dziękuję bardzo - uśmiechnął się grzecznie.

Dziadek zsunął się na ziemię. Jak zwykle miał na sobie niebieskie spodnie robocze, starą koszulę w kratę, na niej kamizelkę, a na głowie wypłowiałą od słońca czapkę z daszkiem. Kiedy podszedł bliżej, otrzepał się z pyłu i źdźbeł, które poprzyczepiały się do jego rzeczy, a potem wytarł dłonie w spodnie robocze. Przewyższał nieznajomego mężczyznę o całą głowę.

- Ludwig Weiland, o ile dobrze zrozumiałem? - zapytał gość zupełnie niepotrzebnie, bo przecież powiedziałam mu już wcześniej, że to mój dziadek.

Dziadek nie znosił, kiedy ktoś przeszkadzał mu w pracy, a jednak skinął głową i nawet jakby się uśmiechnął. Potencjalni nowi klienci byli dla nas bardzo ważni, dlatego nie dał po sobie poznać, że jest zdenerwowany.

- Moser - przedstawił się mężczyzna. - Jestem komornikiem sądowym.

Dziadek przestał się uśmiechać.

- Proszę chwilę poczekać - powiedział krótko, odwrócił się do Heinricha i powiedział mu, co ma dalej robić. Dopiero wtedy odszedł z nieznajomym, zostawiając mnie tam, gdzie stałam.

Rozdział 4

- CZEŚĆ, MAMO! Już jestem!

We wiatrołapie zdjęłam brudne buty i w ostatniej chwili udało mi się złapać Twiksa za obrożę, bo już się szykował do podboju kanapy w salonie.

- Zostań! - szepnęłam z naciskiem i wskazałam na wycieraczkę. Twix zwiesił uszy, ale posłusznie usiadł.

Mama siedziała przy kuchennym stole i przeglądała dzisiejszą pocztę.

- Witaj, kochanie. - Podniosła wzrok znad otwartych kopert i uśmiechnęła się do mnie, by zaraz wrócić do pracy. - W lodówce jest sałatka ziemniaczana. Jak było w szkole?

- Nic szczególnego, dzień jak co dzień. - Specjalnie mówiłam znudzonym głosem. Zaraz miałam zaskoczyć mamę piątką. Otworzyłam plecak, wyjęłam zeszyt z wypracowaniem i usiadłam obok mamy przy stole. - Spóźniłyśmy się z Melike na autobus i nie uwierzysz, kto nas podwiózł!

Po prostu nie mogłam inaczej - musiałam z kimś porozmawiać o tym niewiarygodnym wydarzeniu.

- Nie wiem, ale idę o zakład, że zaraz mi zdradzisz.

- Tim Jungblut z ojcem! - wyjaśniłam ściszonym głosem i zachichotałam. - Przez całą drogę nic nie mówił, tylko obserwował mnie w lusterku wstecznym.

- Jak w ogóle mogło ci przyjść do głowy, żeby wsiąść do ich samochodu?!

Podskoczyłam przerażona, słysząc ojca, który stał tuż za mną.

- Elena!

Odwróciłam się. Nie mogłam wytrzymać jego spojrzenia. Kiedy patrzył na mnie tak, jak teraz, zawsze miałam uczucie, że znów mam sześć lat i właśnie coś przeskrobałam.

- Ja... to znaczy my... uciekł nam autobus... - wyjąkałam niepewnie. - I Melike... powiedziała...

- Nie życzę sobie, żebyś z nimi w ogóle rozmawiała. Wiedziałaś o tym doskonale już wcześniej. - Tata przerwał mi ostrym tonem. - Powinnaś była poczekać kilka minut i wsiąść do następnego autobusu.

Spuściłam głowę i zwinęłam w trąbkę zeszyt z wypracowaniem. To nie był najlepszy czas, żeby chwalić się ocenami.

- Czy odebrałaś czerwoną marynarkę z pralni? - tata zwrócił się do mamy. O mnie zdążył już zapomnieć. - Za pół godziny musimy być w drodze, bo inaczej spóźnimy się na turniej.

- Już wcześniej przygotowałam ci ją w dużej ciężarówce - odparła mama, która jak zawsze nad wszystkim panowała. - Buty i koszule też tam znajdziesz, a paszporty koni zostawiłam Jensowi.

- To dobrze. Dziękuję.

Tata wychodził już z kuchni, kiedy przypomniałam sobie o nowych koniach.

- Tato - zawołałam niepewnie. - Przyjechał kierowca od pana Nötzlego i przywiózł dwa nowe konie. Powiedziałam mu, żeby wstawił je do pustych boksów obok Siriusa i w Długiej Stajni, obok Dimitriego.

Ojciec skinął głową. Najwyraźniej bardzo mu podpadłam, bo nawet na mnie nie spojrzał, tylko przeszedł obok, jakbym była niewidzialna. Chwilę później rozległ się trzask drzwi wejściowych.

- Pójdę do siebie na górę - powiedziałam do mamy. - Mam pracę domową.

- Dobrze, idź. - Mama mówiła cichym głosem, błądząc gdzieś myślami.

Poczekałam chwilę, czy powie coś jeszcze, ale milczała. Dałam więc znak Twiksowi. Ten tylko na to czekał. Bezszelestnie minął kuchenne drzwi i nie czekając na mnie, wbiegł po schodach.

Sięgnęłam po plecak i schowałam zeszyt z wypracowaniem. Z okna pokoju widziałam parking dla samochodów i trawniki aż do ujeżdżalni. Srebrny opel pana Mosera zniknął. Christian akurat wyjechał ze stajni. Zatrzymał skuter i zamienił z tatą kilka słów, a potem obaj wrócili do środka. Z ciężkim westchnieniem położyłam się na łóżku i przytuliłam psa.

- Wiesz, cieszę się, że tata jedzie akurat na turniej - powiedziałam do Twiksa. Psina nadstawiła uszu, przechyliła głowę i popatrzyła na mnie tak, jakby wszystko rozumiała. - Miejmy nadzieję, że zajmie pierwsze miejsce i zapomni, że był na mnie zły.

Nie mogłam się zmusić, by wyjąć z plecaka zeszyty i ćwiczenia z zadaniami domowymi. Poczekałam, aż krótko przed piętnastą ze stadniny wyjechały obie ciężarówki z końmi, tatą, Christianem i Jensem, a potem nałożyłam bryczesy i wymknęłam się do Fritziego.

Twix mnie nie opuszczał, kiedy biegłam przez podwórze w zacinającym deszczu. Minęłam karuzelę dla koni i najmniejszą ujeżdżalnię, przed którą zrobiła się gigantyczna kałuża. Stodoła była oddalona spory kawałek od podwórza. Górny poziom pod sam sufit zapakowany był belami pachnącej słomy, a poniżej, na parterze, znajdowało się dziesięć przestronnych boksów, które nie były co prawda ani jasne, ani szczególnie piękne, jednak kosztowały znacznie mniej niż boksy w pozostałych stajniach. Trzymaliśmy tutaj kilka starych koni, które pozostawały na łaskawym chlebie swoich właścicieli. W jednym z nich mieszkał mój ukochany, ciemnokasztanowaty ogierek Fritzi.

Oczywiście dużo wcześniej usłyszał moje kroki i wystawił łeb nad drzwiami do boksu, a kiedy odsuwałam ciężkie skrzydło bramy, zarżał niecierpliwie.

- Hej, Fritzi! - Z kieszeni wydobyłam pokruszoną kostkę cukru i podałam mu ją na dłoni. Z kołka na ścianie zdjęłam kantar i uwiąz.

Fritzi miał dopiero cztery lata, ale historia jego życia kryła straszną tragedię. Ogier urodził się w maju, dokładnie w dniu moich urodzin. Źrebak miał białą gwiazdę na czole i cztery białe pęciny, a tata i mama wiązali z nim ogromne nadzieje, bo jego matką była Gretna, klacz należąca do mamy, która przy okazji sprawdziła się jako wspaniały wierzchowiec do skoków. Ojcem był słynny gniady ogier For Pleasure, który zdobył mnóstwo złotych medali na olimpiadach i mistrzostwach świata. Przez przyjście Fritziego na świat moje urodziny bardzo się skróciły, bo nagle źrebię stało się najważniejsze.

- Wiesz co - powiedział tata, patrząc na mnie, kiedy w stajni popijał szampana w towarzystwie weterynarza i pomocników - ten konik będzie twój. To prezent na twoje urodziny, Eleno. Przynajmniej mam pewność, że jest teraz w dobrych rękach.

Z początku odebrało mi mowę.

- Chcesz powiedzieć... że on jest mój? Mój - mój? Tylko mój? - Upewniałam się, bo nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

- Tak - potwierdził tata i puścił do mnie oko. - Może kiedyś dasz mi na nim pojeździć, co?

Wszyscy się roześmiali, a tata rozlał resztę szampana do kieliszków. Od tamtego dnia bardzo dbałam o Gretnę i jej synka. Już wkrótce Fritzi nie odstępował mnie na krok, a kiedy nastał październik i oddzielono go od matki, zamieszkał w jednym boksie z kilkoma innymi źrebakami i niemal nie odczuł tej zmiany.

Jednak tuż po jego pierwszych urodzinach stało się coś potwornego. Razem z trójką rówieśników Fritzi przebywał na padoku pod lasem. Pastwisko otaczał wysoki drewniany płot, żeby konie mogły spędzać tam całe lato. Nikt nie potrafił później wytłumaczyć, jak czterem roczniakom udało się stamtąd uciec. Ciekawskie i zbyt pewne siebie koniki galopowały po okolicznych polach, aż w końcu Fritzi, jako jedyny, wybiegł na ulicę i wpadł

pod samochód.

Przyjechała do nas policja i funkcjonariusze zapytali tatę, czy koń potrącony przez samochód na drodze między Steinau i Königshofen może należeć do niego. Tata szybko pojechał sprawdzić wszystkie wybiegi i stwierdził, że brakuje czterech rocznych źrebaków. Trzy z nich udało się zlokalizować i złapać, ale brakowało Fritziego.

Rozpoczęto wielką akcję poszukiwawczą. Dopiero późnym wieczorem udało się go znaleźć - na bagnach Steinauer Moor. Był ciężko ranny i do tego stopnia przerażony, że niemal postradał rozum. Fritzi nie mógł poruszać lewą tylną nogą i krwawił z kilku głębokich ran na całym ciele. Najgorsze jednak było to, że nie chciał dać się nikomu złapać. W końcu tata zdecydował się pojechać po mnie i całe szczęście, bo jakoś udało mi się podejść do Fritziego, założyć mu kantar i zaprowadzić do przyczepy do przewożenia koni.

- Najlepiej będzie, jeśli zastrzelimy go tutaj - oznajmił ojciec i zrobił ponurą minę.

- Nie! Tato, nie! - przerażona zaczęłam krzyczeć. - Nie możesz tego zrobić! Fritzi jest mój! Podarowałeś mi go!

- Z niego raczej już nigdy nic nie będzie. - Tata mówił zdecydowanym głosem. - Popatrz tylko na niego!

Zrobiłam, co powiedział, i rzeczywiście, ogierek był w okropnym stanie.

- Tato, błagam, zawieź go do weterynarza! - prosiłam. - Błagam cię! Proszę, proszę, proszę!

Tata westchnął, ale w końcu się poddał i pojechał z nim do kliniki weterynaryjnej. Tam lekarze zoperowali zerwane mięśnie i ścięgna w uszkodzonej nodze, ale niczego więcej nie mogli dla Fritziego uczynić. Reszta, powiedzieli, należy już do natury. Tata starał się mnie przekonać, że najlepsze, co możemy dla niego zrobić, to ulżyć mu w cierpieniach. Jednak ja byłam uparta. Fritzi należał do mnie i zupełnie nie przykładałam wagi do tego, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mógł skakać, czy nie.

Na lekcjach nie mogłam się skupić, bo bałam się, że stan ogierka może się pogorszyć. W końcu, po trzech tygodniach, Fritzi wyszedł ze szpitala dla zwierząt i trafił z powrotem do stadniny.

- Jednej rzeczy musisz być świadoma - oznajmił tata. - Nie zapłacę już ani centa za jakiegokolwiek weterynarza dla Fritziego. Albo sam dojdzie do siebie, albo nie. Jeśli pojawią się problemy, będziemy musieli się go pozbyć, zrozumiano?

Potaknęłam, niemal szalejąc z radości. Postanowiłam wtedy, że udowodnię tacie, jak bardzo się myli. Dzień po dniu cierpliwie pielęgnowałam Fritziego, czyściłam i opatrywałam jego rany, zmieniałam bandaże. Nikt nie mógł mi przy tym pomagać, bo zwierzę wpadało w panikę, ilekroć zbliżał się do niego ktoś inny. Na szczęście ja mogłam go dotykać. Nie dość, że mu to nie przeszkadzało, to chyba nawet to lubił.

Wtedy też po raz pierwszy zauważyłam, że dłońmi potrafię wyczuć miejsce, które go boli. Z początku myślałam, że tylko to sobie ubzdurałam, jednak Melike od początku twierdziła, że Fritziemu sprawia przyjemność masaż uszkodzonej nogi, choć żadnemu weterynarzowi nie pozwalał się nawet zbliżyć. Chcąc nie chcąc, musiałam się nauczyć czyścić mu kopyta. Pełne dwa lata zajęło mi przekonanie Fritziego, że ani nasz kowal, ani żaden z pracowników nie będą usiłowali go zamordować. Z biegiem czasu zaakceptował również mamę i Melike.

Tata bardzo rzadko go widywał, a ja cieszyłam się jak wariatka, że znalazłam mu miejsce wśród starych koni, z dala od innych stajni. Bałam się tych spojrzeń ojca, kiedy zatrzymywał się przy padoku albo w otwartych drzwiach stajni, ponurym wzrokiem przyglądał się Fritziemu, robił złą minę, potrząsał głową i wychodził bez słowa. Okaleczony koń z problemami psychicznymi był z jego punktu widzenia całkowicie nieprzydatny. Tata już na początku go skreślił.

- Co za marnowanie czasu i pieniędzy - zwykł mawiać. - Marnotrawstwo, nie inaczej.

Mimo że Fritzi nie potrafił przekonać się do obcych i przede wszystkim do mężczyzn, okazał się koniem o bardzo przyjaznym usposobieniu. Mieszkańcy Steinau zdążyli się już przyzwyczaić do widoku mnie z Fritzim i Twiksem gdzieś przy boku, jak chodzimy polnymi

drogami i spacerujemy po ulicach. Czy to kiedy chadzałyśmy z Melike, prowadząc rowery, czy też jeździłyśmy po lesie, młody ogierek towarzyszył nam krok w krok. Nie musiałam się też niczego obawiać, kiedy przywiązywałam go przed piekarnią, supermarketem czy u rzeźnika, a sama szłam zrobić zakupy dla mamy.

Fritzi przestał kuleć, kiedy skończył trzy lata. Chodził i biegał całkowicie normalnie, jakby nigdy nie uczestniczył w żadnym wypadku ani nie przechodził operacji. Na początku zeszłego lata odważyłam się po raz pierwszy wsiąść na niego na oklep. Od tego czasu dość często jeździliśmy tak po okolicy, na wycieczki nad jezioro, żeby się wykąpał, albo towarzyszyliśmy Melike w przejażdżkach koniem jej matki.

Fritzi skończył w tym roku cztery lata i dorósł w końcu do rozpoczęcia poważnej pracy, dlatego kilka tygodni temu rozpoczęłam go regularnie objeżdżać. Wyprowadziłam go na dwór, gdzie wciąż siąpiło, i przywiązałam na stanowisku do czyszczenia, między stajnią z końmi turniejowymi i Długą Stajnią. Na to odważałam się jedynie wtedy, kiedy taty nie było w stadninie. Gdy był na miejscu, jechałam od razu w teren, do Małej Ujeżdżalni albo na skrajny maneż, skryty dodatkowo za wysokim żywopłotem. W ten sposób od miesięcy udawało mi się ukrywać postępy Fritziego przed wzrokiem taty. Nie chciałam, żeby przyszedł mu do głowy pomysł sprzedaży mojego konika, by pozbyć się kolejnego darmozjada ze stajni.

Skrzynkę z przyborami do czyszczenia przyniosłam z siodlarni w Małej Stajni, gdzie stał Sirius, mój śnieżnobiały kuc new forest, który zarżał radośnie na mój widok. Niestety, Sirius robił się dla mnie po prostu za mały. A kiedy go dostałam, wydawał mi się zbyt wielki!

- Wybacz, mój mały. Musisz jeszcze trochę poczekać - pocieszyłam kucyka, który wystawił głowę nad drzwiami swojego boksu i wpatrywał się we mnie pełnym oczekiwania wzrokiem. W poprzednich latach skakaliśmy razem na niezliczonych turniejach w klasach mini LL i LL.

Tata nie przepadał za jazdą na kucach, bo uważał, że dzieci powinny od razu uczyć się jeździć na dużych koniach. Ja nie miałam nic przeciwko. Chętnie jeździłam na Siriusie i już dawno pogodziłam się z tym, że tata skupiał się właściwie jedynie na moim bracie. Christian w zeszłym sezonie dosiadał Grandino i Ronaldę i odnosił spore sukcesy w skokach w klasach

P do C.

Do stadniny w końcu dotarła Melike i przyprowadziła Jaspera na stanowisko obok Fritziego. Przywiązała go i zaczęłyśmy je czyścić. Po krótkim czasie sierść mojego ogierka nabrała głęboko brązowego połysku. Regularne objeżdżanie w poprzednich miesiącach bardzo dobrze mu zrobiło. Fritzi rósł pięknie i w kłębie mierzył już sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Zawsze starał się tak odwracać głowę, żeby nie spuszczać ze mnie wzroku, a nadstawionymi uszami wsłuchiwał się w każde moje słowo.

- Ja chyba jestem jakaś nienormalna - powiedziałam do Melike, kiedy szłyśmy do siodlarni po uprzęże. - Wypaplałam mamie, że wróciłyśmy samochodem Jungblutów, i wiesz co? Powiedziałam to akurat w momencie, kiedy tata wszedł do kuchni, a ja go nie widziałam.

- No i?

- A jak myślisz? Strasznie się na mnie wściekł.

- Serio, nie potrafię zrozumieć, co w tym takiego strasznego. - Melike przerzuciła sobie przez ramię ogłowie Jaspera i sięgnęła po jego siodło.

- Jeśli mam być szczera, to też nie mam pojęcia, o co w tym chodzi. - Wzruszyłam ramionami. - Ale tak jest, od kiedy tylko pamiętam.

- Tim to prawdziwe ciacho - wyznała moja przyjaciółka.

Nie potrafiłam tego skomentować, bo nie przyjrzałam się młodemu Jungblutowi dość dokładnie. Poza tym w przypadku Melike samo określenie ciacho nie miało żadnego znaczenia. Sprawy zaczynały być interesujące, kiedy ktoś był superciachem albo megaciachem. Tytuł supermegaciacha udało się dotychczas zdobyć jedynie Robertowi Pattinsonowi, który zagrał główną rolę w sadze Zmierzch. I nikomu innemu.

Osiodłałyśmy nasze konie, poprawiłyśmy popręgi i wskoczyłyśmy na siodła, jeszcze zanim wyjechałyśmy ze stajni. Twix zeskoczył z kostki słomy, na której siedział, i ruszył przodem. Poprowadził nas do ujeżdżalni, po czym skręcił w stronę trybun i znalazł sobie

miejsce, z którego mógł nas obserwować.

Miałyśmy z Melike całą wielką ujeżdżalnię tylko dla siebie. Cudownie było jeździć swobodnie pod dachem. Słyszałam stukot deszczu, głuche uderzenia kopyt i od czasu do czasu rżenie. Ogarnęło mnie uczucie szczęścia, jak zawsze, kiedy dosiadałam Fritziego. Był mi bliższy niż jakikolwiek inny koń. Uwielbiałam jego płynne, wyciągnięte i pełne gracji ruchy i rozkoszowałam się każdą minutą na jego grzbiecie. Zawsze błyskawicznie pojmował, czego od niego oczekiwałam, i nawet przy skokach dobrze najeżdżał przeszkody. Kolorowe drągi, nad którymi miałyśmy dzisiaj skakać, to co prawda nie to samo, co powalone drzewa w lesie, przez które dotychczas skakałyśmy poza stadniną, ale sama technika skoku była bardzo podobna. Pozwalałam Fritziemu przejść kłusem nad ułożonymi na ziemi drągami. Pośrodku parkuru stała niewysoka stacjonata. Na zmianę z Melike pozwalałyśmy przeskoczyć naszym koniom nad niską przeszkodą - raz galopem z prawej, a raz z lewej nogi. Wiedziałam, że tata tak właśnie uczy inne konie lotnej zmiany nogi w galopie, co było jedną z ważniejszych umiejętności, jeśli chodzi o konie do skakania.

- Zapalę wam światła, bo trochę tu ciemno! - W ujeżdżalni niespodziewanie zabrzmiał głos dziadka.

Po chwili rozległ się trzask dużego włącznika i nagle zawieszone pod sufitem reflektory rozgoniły ciemność. Puściłam oko do dziadka, kiedy go mijałam. Tak samo jak wszyscy w stadninie, on też musiał przysiąc, że w obecności taty nie piśnie ani słówka o Fritzim. Dziadek dotrzymał słowa i nigdy nie wygadał się o postępach, jakie robił mój ogier. Jensowi i tak było wszystko jedno. Choć właściwie to się pewnie nawet cieszył, że ma jednego konia mniej do objeżdżania. Christian za to uśmiechał się wyniośle, kiedy widział mnie jeżdżącą na oklep. Dziecinada.

Rozdział 5

W SOBOTĘ RANO MELIKE, tata, Jens, Christian i ja pojechaliśmy na turniej skoków. O ósmej rano rozpoczynała się ocena stylu konia, dlatego musieliśmy wyruszyć już o wpół do siódmej. Tata znów miał dobry humor, jakby zapomniał, że w ogóle był na mnie zły. Wygrał jedną z klas, dosiadając Lady Gagi należącej do Teichertów, a Christian i Jens też zajęli bardzo przyzwoite miejsca.

Między oceną stylu konia i rozpoczęciem skoków w klasie N organizator zaplanował pół godziny przerwy. Wolontariusze ze związku jeździeckiego uwijali się jak w ukropie, by odpowiednio ustawić parkur, a wszystkim sterował gospodarz toru. Chłopcy i dziewczęta z drągami biegali raz w jedną, raz w drugą stronę, a ktoś inny mierzył odległości między okserami, stacjonatami i kombinacjami. Wszystko musiało się zgadzać co do centymetra. Po ocenie stylu konia obie z Melike odprowadziłyśmy koniki na bok, żeby je osuszyć, a potem wprowadzić z powrotem do ciężarówek. Tata z Christianem i Jensem zniknęli w dużej ujeżdżalni, żeby przejść piechotą cały parkur. My stałyśmy przy ciężarówkach i zwijałyśmy owijki, kiedy niespodziewanie gdzieś w głębi parkingu wybuchło zamieszanie.

Jacyś ludzie zaczęli nerwowo krzyczeć, a zaraz potem rozległ się dziwny łomot i tętent kopyt. Wyjrzałam zza ciężarówki i dostrzegłam ciemnobrązowego konia, który gnał na łeb na szyję między zaparkowanymi dookoła ciężarówkami i przyczepami. Uzda majtała mu pod szyją. Ostrożnie zeskoczyłam na ziemię i wyszłam zza samochodu. Spanikowany koń mógł się poważnie poharatać, gdyby zaczepił o otwartą rampę załadunkową albo gdyby chciał przeskoczyć nad dyszlem przyczepy.

Nagle koń zmienił kierunek i popędził wprost na mnie. Moje serce zaczęło walić jak opętane. Jednak od małego wpajano mi, że w takich niebezpiecznych sytuacjach, które raz po raz zdarzają się przy koniach, muszę zachować spokój.

- Ho, ho, spokojnie! - powiedziałam, rozkładając szeroko ramiona.

Koń usiłował zatrzymać się kilka metrów ode mnie, ale na śliskiej ziemi przejechał

jeszcze kawałek w moją stronę. Zastrzygł uszami i nerwowo się rozejrzał.

- Już dobrze, nic się nie bój - mówiłam bardziej do siebie niż do przerażonego zwierzęcia. - Nic ci nie zrobię. Ho, ho...

Koń zamarł niezdecydowany. Ja za to pewnym ruchem sięgnęłam po uzdę, przerzuciłam przez kark i złapałam pod szyją.

W końcu pojawił się pościg - dwóch ludzi, którym kasztanek musiał uciec. Wciąż jeszcze trzęsłam się z nerwów, choć starałam się tego nie pokazywać, ale dopiero teraz obleciał mnie prawdziwy strach, bo okazało się, że to Richard Jungblut i jego syn Tim.

- Świetna robota, dziewczyno! - krzyknął Richard Jungblut. - Trzymaj mocno tego cholernego histeryka! Wyskoczył nam z przyczepy w czasie załadunku, taki pierun!

Wyjął mi wodze z dłoni.

- Tim, a ty nie mogłeś uważać na to, co robisz?! - krzyknął ostro na syna. - W tym pustym łbie nie masz za grosz rozumu!

- Tylko że to ty otworzyłeś przyczepę, a nie ja. - Tim usiłował się bronić.

- Lepiej uważaj, co mówisz, gówniarzu! - warknął ojciec.

Mężczyzna spojrzał na mnie szybko i wyraźnie było widać, że zastanawia się, skąd mnie zna.

- Czy ty przypadkiem nie jesteś od Weilandów, co?

Potaknęłam niepewnie głową.

- Dobra robota - powtórzył pochwałę. - Pięknie dziękuję.

- Nie... nie ma za co - wydukałam, starając się nie patrzeć w stronę Tima.

Jego ojciec pociągnął za sobą opierającego się konia. Chłopak odprowadził go pochmurnym spojrzeniem, a potem zwrócił się do mnie. Uśmiechnął się nieśmiało, szukając słów. Odebrało mi mowę, kiedy poczułam na sobie spojrzenie jego błękitnych oczu. To nieprawdopodobne! Oczy nie mogą mieć tak żywego koloru! Na przemian czułam fale gorąca i zimna.

- Dzięki - powiedział Tim. - Stary by mnie zabił, gdyby temu zwierzakowi coś się stało. Był cholernie drogi, a właściciel wstawił go do nas ledwie przed miesiącem.

- Nie ma o czym mówić - wymamrotałam i wbiłam wzrok w ziemię, w myślach przeklinając się za nieśmiałość.

- No, Tim, tak mi się wydaje, że nieszczególnie uważałeś, co robisz - wtrąciła się Melike, wychodząc zza ciężarówki. - Mam rację?

Ileż bym dała, żeby w takich sytuacjach potrafić zachować się z takim luzem jak ona! Co prawda nigdy nie odczuwałam potrzeby, żeby bezustannie znajdować się w centrum uwagi, ale też niełatwo było mnie zakrzyczeć. Teraz jednak stałam jak słup soli i czerwieniłam się, nie mogąc wydukać ani słowa. Czy powodem mógł być zakaz rozmowy z Timem Jungblutem?

- Tata się z kimś zagadał i otworzył wejście do przyczepy, jeszcze zanim zdążyłem przywiązać konia na stanowisku - usprawiedliwił się chłopak. - Ale jak zwykle, to ja muszę być winien.

Od chwili, kiedy Melike do nas dołączyła, ulotniło się gdzieś zakłopotanie Tima.

- Mogę postawić ci colę? - zapytał mnie niespodziewanie. - Jako podziękowanie, że uratowałaś mi skórę?

Przeraziłam się. Tak! Nie! Oczywiście, że nie! Jeśli tata albo Christian zobaczą mnie w towarzystwie Tima Jungbluta, nic mnie już nie uratuje.

- Ja... sama nie wiem. Chyba lepiej nie - odburknęłam, lecz w tej samej chwili Melike zgodziła się na colę ze śmiertelnym wrogiem mojej rodziny!

- Chętnie - odpowiedziała. - Strasznie chce mi się pić.

- W porządku, w takim razie jeszcze jedna dla ciebie - powiedział Tim Jungblut.

Ruszyłam za nimi pełna najgorszych przeczuć. W przerwie między kolejnymi zawodami tłum wypełniał duży namiot obok hali z ujeżdżalnią. Tim ustawił się w kolejce po napoje.

- Zupełnie ci odbiło? - szepnęłam do przyjaciółki. - Jeśli tata albo Christian nas zobaczą, to będzie naprawdę nieprzyjemnie!

- Oj, już przestań! Przecież obaj są na parkurze, nie? - Melike uśmiechnęła się spokojnie. - Chodź, tam jest wolne miejsce.

Przecisnęłam się do stolika w narożniku i spróbowałam się uspokoić. Złapałam się na tym, że przez cały czas obserwuję Tima. Mimo że widziałam go przecież tyle razy wcześniej, nigdy nie zwróciłam uwagi, że jest diabelnie przystojny. Podobał się kilku koleżankom w klasie, ale ja tego nie mogłam zrozumieć. Dawniej Tim zawsze nosił krótko ścięte włosy i miał twarz całą w pryszczach. Teraz to się zmieniło. Nie był już tamtym dzieciakiem. I te oczy! One naprawdę błyszczały! Ani trochę nie czułam, żeby zachowywał się arogancko, i to mimo że świetnie jeździł konno. Ciekawe, czy miał dziewczynę. Oczywiście słyszałam różne plotki, ale jak dobrze pomyślałam, nie mogłam sobie przypomnieć, żebym go z jakąś widziała, czy to w szkole, czy na turniejach.

Dokładnie w tym momencie spojrzał w moją stronę. Natychmiast poczułam, że robię się cała czerwona, więc szybko spuściłam wzrok. Niech to diabli, musiał zobaczyć, jak na niego patrzę!

Nieco później wrócił do stolika z trzema kubkami coli i usiadł naprzeciwko.

- Jeszcze raz dzięki za pomoc! - Uniósł kubek i uśmiechnął się do mnie. W ułamku

sekundy dostrzegłam to, czego wcześniej nie widziałam: wąską bliznę, która ciągnęła się białą kreską od nosa do górnej wargi i dołeczek w brodzie. Poza tym jeden siekacz miał delikatnie ukruszony narożnik, ale to tylko czyniło jego niesamowitą twarz bardziej znośną. - Uratowałaś mi życie!

- Tylko nie przesadzaj - wymamrotałam nieśmiało i upiłam łyczek.

- Też startujesz w turnieju? - zainteresował się Tim.

- Nie. - Potrząsnęłam głową. - Jestem tutaj jako siła robocza.

Ledwie to powiedziałam, wściekłam się na siebie za te słowa. Co ja w ogóle wygaduję? Tim musiał mieć niezły ubaw, słuchając takich głupot.

- Aha, no tak... - potaknął.

Pewnie od początku, jak tu przyszliśmy, żałował, że zaprosił mnie na tę colę. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię, tak idiotycznie się teraz czułam.

I wtedy nagle przy naszym stoliku pojawił się Christian. Jego wzrok wędrował między mną, Melike a Timem i był lodowato zimny.

- Czyli tutaj się schowałyście - zaczął. - Za dwadzieścia minut zaczynają się skoki. Jestem ósmy w kolejności.

- Poczekaj, pójdę z tobą! - krzyknęła Melike i poderwała się z miejsca.

Ja nie wstawałam. Co odbiło mojemu bratu, żeby zwracać się do mnie tym tonem? Byłam jego siostrą, a nie niewolnicą!

- Elena! - warknął Christian. - Idziesz?

- Jeszcze nie skończyłam coli - odpowiedziałam.

- Czekam na zewnątrz. - W jego głosie pojawiła się groźba. - Masz dokładnie minutę. Pożałujesz, jak nie przyjdziesz.

Poczekałam, aż Christian i Melike znikną z pola widzenia.

- Chyba będzie lepiej, jak też pójdę. - Uśmiechnęłam się zakłopotana. - I dzięki za colę.

- Nie ma za co. - Wyszczerzył szeroko zęby i mrugnął do mnie. - Do zobaczenia.

To zabrzmiało jak obietnica! Znów poczułam, że robi mi się na przemian ciepło i zimno. Patrzył, jak idę w stronę wyjścia, a ja musiałam się skupić na tym, żeby ze zdenerwowania się nie potknąć albo na kogoś nie wpaść.

Christian czekał na mnie przed drzwiami.

- Ty masz chyba niedobrze w głowie! - Od razu mnie zaatakował i ścisnął boleśnie za ramię. - Co ci strzeliło do głowy, żeby usiąść przy jednym stole z tym dupkiem?

- Au! Puszczaj! - odpowiedziałam wściekła. - Nie masz prawa zwracać mi uwagi!

Christian cofnął rękę, ale zanim to zrobił, popchnął mnie mocno.

- Wiesz doskonale, że nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego! - przypomniał mi, całkiem niepotrzebnie zresztą. - Jeśli tata się o tym dowie, będziesz miała przerąbane.

- Nie dowie się, chyba że ty mu wszystko wypaplesz. - Potarłam obolałe ramię. Spodziewałam się, że następnego dnia pojawi się tam siniak. - Poza tym Tim chciał nam tylko podziękować, że uratowałyśmy jednego z ich koni. W dowód wdzięczności zaprosił nas na colę.

- Jak mogłaś... - Christian znów kipiał złością.

- Jakiś koń biegał po parkingu dla ciężarówek - przerwałam mu szybko. - Nie miał

wypisanego na czole nazwiska Jungblutów, jasne? Trudno to zrozumieć?

Nie miałam nic do roboty, bo Melike, Christian i Pryszczol doskonale dali sobie radę ze wszystkim sami. Tata tym razem nie dosiadał żadnego konia, bo skoki w klasie N i C były zarezerwowane dla jeźdźców z trzecią i czwartą klasą sportową w skokach. Lepsi skoczkowie nie mieli prawa startu. W końcu dostrzegłam tatę na trybunach i usiadłam obok niego.

- Który jest Christian? - zapytał.

- Ósmy. Jest teraz z Melike i Jensem.

- Zaraz podejdę zobaczyć, jak sobie radzi. Idziesz ze mną?

- Nie, posiedzę sobie tutaj.

Tata wstał i ruszył w stronę hali z ujeżdżalnią. Poczułam wtedy delikatne ukłucie zazdrości. Kiedy startowałam na Siriusie w jakichś zawodach, wyjątkowo rzadko się zdarzało, żeby przyszedł popatrzeć. Zazwyczaj tylko mama mi kibicowała. Za to jak chodziło o Christiana, to tata był na każde jego zawołanie. Stawiał mu przeszkody, organizował maneż, dawał rady i zawsze stał przy parkurze, kiedy Christian startował.

- Hej, a ty co, przyszłaś pokibicować, tak? - Któryś z jeźdźców na trybunach odwrócił się w moją stronę i uśmiechnął protekcjonalnie.

- Popatrzeć i trzymać kciuki. - Jego sąsiad zaciągnął się papierosem. - To najlepsze, co mogą robić małe dziewczynki.

- Czasem pozwalają mi potrzymać konia za uzdę - odpowiedziałam ironicznie. - Ale tylko te grzeczne!

Dziewczyna na parkurze poddała się po czterech zrzutkach i dwóch odmowach skoku.

- Kobiety nie mają po prostu odwagi, jak trzeba skakać trochę wyżej - skomentował jeden z jeźdźców. - A popatrz, dosiadała przecież całkiem dobrą chabetę. Jej tatuś musiał się

na nią nieźle wykosztować.

- Sam bym na takim pojeździł - zauważył jego kolega. - Jeszcze kilka takich przejazdów, a zwierzę się znarowi.

- Wtedy pewnie trafi do twojego ojca, co, mała? - Jeden z nich odwrócił się do mnie. - Twój ojciec jest specjalistą od poprawiania takich zdziczałych koników, żeby znowu mogły skakać, prawda?

Drugi zaczął się śmiać. W duchu kipiałam ze złości. Najchętniej pokazałabym im język, ale pomyślałam, że to zbyt dziecinne. Jednym uchem słuchałam dalej, jak koledzy taty dalej naśmiewają się z dziewczyn w siodłach, które skaczą w klasach N, C i CC. Ale coś w tym musiało być, bo o ile w klasach LL, L i P prawie osiemdziesiąt procent startujących to były dziewczyny, o tyle w wyższych skokach ze świecą trzeba było szukać jakiejś kobiety.

Zobaczyłam, że między rzędami pustych krzesełek idzie Melike, więc jej pomachałam. Przed południem na turniejach zawsze panował spokój - widzowie przychodzili dopiero na skoki w najwyższych klasach. Melike zajęła miejsce obok mnie.

W tej chwili na parkur kłusem wjechał Christian i ściągnął wodze swojej klaczy tuż przed stanowiskiem sędziowskim. W czasie ukłonu jeszcze raz przyjrzał się przeszkodom. Tata na pewno mu podpowiedział, gdzie może ścinać, żeby zaoszczędzić trochę czasu.

Rozległ się sygnał uruchomienia zegara. Christian był gotów i ruszył na swój przejazd bardzo szybko i pewnie. Gniada klacz oldenburska Ronalda miała już trzynaście lat i była bardzo doświadczonym koniem. Po szóstym okserze wszyscy jeźdźcy pokonywali drogę do kombinacji w czterech foulée, lecz Christian zdecydował się skrócić ją do trzech. Mój brat i klacz pod nim byli świetnie zgrani i na szczęście bezbłędnie pokonali ten fragment parkuru. Zupełnie naturalnie, jakby nic innego nie wchodziło w rachubę, Christian wyszedł na prowadzenie.

- Ale super! - Melike zaklaskała z radości.

Ja nic nie mówiłam, ale w duchu życzyłam bratu popełnienia jednego czy dwóch

błędów. Skoczkowie siedzący przed nami najwyraźniej wyczerpali temat dziewcząt w zawodach jeździeckich i rozmawiali teraz o kradzieży konia w Harlingen. W zeszłym tygodniu ktoś wyprowadził ciężarną klacz ze stajni pewnego hodowcy, a dokładnie czternaście dni wcześniej skradziony został ogierek przygotowywany akurat do przeglądu hodowlanego - zniknął bez śladu z jednej ze stajni we wsi Leidersdorf.

Jak przez mgłę przypomniałam sobie, że mama przeczytała o tym w jakiejś gazecie, a potem opowiedziała tę historię ojcu. Martwiła się bardzo, bo Harlingen i Leidersdorf leżały zaledwie kilka kilometrów od Steinau i naszej stadniny.

- A jakby ktoś obcy miał się dostać na nasz teren? - spytał ją wtedy tata. - Przecież każdego wieczoru zamykamy bramy, a między stajniami biega spuszczony pies, prawda?

Obecność Robbiego nieco uspokoiła mamę. Chociaż za dnia pies był przyjazny i spokojny, w nocy nie wpuściłby nikogo obcego na swój teren. Właściciele koni, które u nas stały, nie raz i nie dwa prosili nas o pomoc, kiedy późno wrócili z turnieju i nie mogli się dostać do stajni.

Siedziałyśmy sobie z Melike i dalej oglądałyśmy skoki. Christian cały czas pozostawał na prowadzeniu. Przedostatnim zawodnikiem w kolejce był Tim. Właśnie wyjechał na parkur.

- To ten koń, którego przed chwilą złapałaś - powiedziała Melike.

- Uhm - mruknęłam jedynie.

Nadstawiłam uszu, bo zawodnicy w rzędzie przed nami zaczęli rozmawiać o Timie.

- Ten chłopak to najprawdziwszy talent - orzekł jeden z nich. - Zupełnie się nie zdziwię, jak wygra te zawody.

- Święta racja, jest o klasę wyżej niż pozostali zawodnicy - potwierdził drugi. - Ale nie ma się co dziwić, skoro sam musi objeżdżać wszystkie konie, bo Richard stale gdzieś jeździ. A trzeba pamiętać, że to dzieciak! Ma dopiero piętnaście lat!

Aha. Rozumiem. To wyjątkowo ciekawe. Czyżby Tim nie miał dziewczyny dlatego, że nie starczało mu czasu na takie sprawy? Spragniona dalszych informacji na temat Tima Jungbluta nachyliłam się, żeby lepiej słyszeć rozmowę, jednak mężczyźni zamilkli i w skupieniu śledzili przejazd chłopaka. A, trzeba przyznać, jechał świetnie. Płynnie i pewnie prowadził swojego wierzchowca przez bardzo wymagający tor przeszkód, co w końcowym rozrachunku pozwoliło mu wyprzedzić Christiana o całą sekundę.

- O rany, ale szkoda - Melike sapnęła z rozczarowaniem.

Ja za to uśmiechnęłam się ukradkiem. Dobrze, że ktoś utarł nosa mojemu bratu. Należało mu się.

Wstałyśmy, zeszłyśmy z trybuny i oparłyśmy się o bandę przy samym wejściu. Ostatni jeździec popełnił dwa błędy i już nikt nie mógł odebrać zwycięstwa Timowi.

Na plac wjechał duży traktor, żeby przegarnąć i wyrównać piasek. Zaraz za nim pojawili się wolontariusze i robiąc wiele hałasu, przebudowywali przeszkody. Nieliczni widzowie podnieśli się z miejsc i ruszyli w stronę namiotu, chcąc wykorzystać przerwę w skokach na szybki posiłek i wypicie czegoś. Zawsze uważałam, że dekoracja zwycięzców przedpołudniowych skoków miała w sobie coś poniżającego. Właściwie nikt jej nie obserwował i nikt nie bił brawa.

Przyglądałyśmy się z Melike, jak jeźdźcy wjeżdżają na wierzchowcach do hali, żeby odebrać kotyliony. Christian patrzył z zaciętą miną gdzieś przed siebie i był chyba naprawdę wściekły. Że też akurat Tim Jungblut musiał mu odebrać złoty kotylion!

Tim popuścił koniowi wodze i jechał spokojnie tuż za moim bratem. W pewnej chwili nasze spojrzenia się spotkały, a on uśmiechnął się i mrugnął do mnie. To już drugi raz dzisiaj! Odwróciłam szybko głowę, ale serce waliło mi jak oszalałe.

O rany, pomyślałam. Prawdziwe ciacho...

Rozdział 6

PUNKTUALNIE O OSIEMNASTEJ ROZPOCZĄŁ się konkurs w skokach w klasie CC. Na drugą turę kwalifikacji turnieju wpisało się czterdziestu dwóch jeźdźców. Tata był trochę zdenerwowany, bo miał startować po kolei na trzech koniach: najpierw na Cornado, potem Intermezzo, a na sam koniec na Mister Magic.

Mama poszła z dziadkiem do gospody, żeby z Bödickerami, właścicielami Cornado i Intermezzo, przez wielkie szyby obserwować przejazd ojca. Melike i ja wolałyśmy siedzieć na trybunach. Na Cornado tacie udało się nie popełnić ani jednego błędu, lecz kilku jeźdźców startujących po nim miało nieco lepsze czasy. Intermezzo popełnił za to błąd na wyjściu z potrójnej kombinacji.

Spacerkiem przeszłyśmy przez ujeżdżalnię, aż dotarłyśmy do hali, gdzie jeźdźcy rozprężali konie przed skokami. Zatrzymałyśmy się, żeby popatrzeć, jak tata rozgrzewa Mister Magica. Dyskretnie rozglądałam się w poszukiwaniu Tima, jednak najwyraźniej wrócił z ojcem do domu zaraz po dekoracji wcześniejszych zawodów.

- Na start proszony jest numer dwieście sześćdziesiąty trzeci, Mister Magic! - Z umieszczonych pod sufitem głośników popłynął głos konferansjera. - Konia dosiada Michael Weiland ze związku jeździeckiego okręgu Steinau.

Stanęłam obok Melike, Jensa i Christiana, na trybunie nad alejką, którą konie wjeżdżały na parkur. Jak zawsze, kiedy tata startował w zawodach, byłam bardzo zdenerwowana i z całej siły trzymałam kciuki. Spięta patrzyłam, jak zatrzymuje się przed stanowiskiem sędziowskim i kłania się. Mister Magic, którego Christian i Jens nazywali w skrócie MM, był wysokim ciężkim gniadoszem, a tata do skoków zakładał mu tandem hackamore i wędzidła. Koń trafił do nas kilka miesięcy temu od pana Nötzlego. Na samym początku wielki wałach nie chciał skakać nawet przez cavaletti, taki był znarowiony. Tata podszedł do niego z ogromną cierpliwością, bo widział, że Mister Magic ma ogromny potencjał w skokach, a poza tym wcześniej bardzo dobrze mu szło. Wierzchowiec doskonale robił to, do czego był przeznaczony. Nawet typowa niedzielna publiczność turniejowa, która

składała się głównie z handlarzy końmi, właścicieli, zawodników i innych obeznanych w temacie skoków widzów, mruczała z aprobatą, przyglądając się przejazdowi. Gniady wałach tylko raz się zawahał, przed okserem z niebieskimi płotkami, jednak tata nie na darmo cieszył się opinią doskonałego jeźdźca. MM potężnym susem pokonał przeszkodę. Na szyi konia pojawiła się biała piana. Z całej siły zaciskałam kciuki i na dodatek z nerwów przycisnęłam pięści do twarzy. Żeby tylko wygrał!

- Został mu już tylko niebieski okser i podwójny szereg. - Christian w skupieniu przyglądał się koniowi i jeźdźcowi. - Ma świetny czas!

Koń potrząsnął niechętnie głową, ale tata popracował łydkami i Mister Magic dalej posłusznie wykonywał jego polecenia. Po kolejnych skokach wszystkie drągi pozostały na swoim miejscu i nawet się nie zakołysały w łyżkach. Podskoczyłam z radości. Rozpierała mnie duma. Melike uśmiechnęła się szeroko i skoczyła nam w objęcia.

- Przejazd bez błędów i najlepszy dotychczasowy czas: pięćdziesiąt trzy przecinek siedem sekundy! - oznajmił spiker. - Dzięki temu numer dwieście sześćdziesiąty trzeci wysuwa się na prowadzenie w klasie CC. Na swoją kolej czeka jeszcze czterech jeźdźców.

Christian przeskoczył przez bandę i poczekał, aż tata wyjedzie z parkuru. Zarzucił MM derkę na zad i razem z Jensem pobiegł za koniem i jeźdźcem.

- Zwierzak ma wszystko, czego trzeba do skakania - usłyszałam rozmowę dwóch mężczyzn. - Ale nie jest łatwy w prowadzeniu. Przy rowie i podwójnej Weiland musiał go solidnie przycisnąć.

- Gdyby w siodle siedział ktoś inny, nie zrobiłby nawet zwykłej LL-ki - potaknął jego towarzysz.

Cieszyłam się, słysząc takie słowa, bo brzmiał w nich szacunek dla taty i jego umiejętności. Czwórka pozostałych jeźdźców popełniła błędy w swoich przejazdach, co ostatecznie dało tacie zwycięstwo w zawodach.

Kiedy w głównej hali odbywała się dekoracja zwycięzców, ja ruszyłam wzdłuż trybun

na poszukiwanie mamy. Melike chciała wracać do domu w mniejszej ciężarówce, z Jensem i Christianem. Co krok spotykałam kogoś znajomego i grzecznie odpowiadałam na pozdrowienia. Od kiedy tylko pamiętam, co weekend jeździliśmy na jakieś zawody i turnieje, przez co poznałam naprawdę wielu ludzi.

W końcu znalazłam mamę, pogrążoną w rozmowie z doktorem Bödickerem i jego żoną. Od wielu lat tata startował na ich koniach, Cornado i Intermezzo, i odnieśli razem wiele zwycięstw. Przywitałam się, podając im rękę. Specjalnie przyjechali do Viernheim, żeby zobaczyć swoje konie, które zajęły bardzo dobre miejsca. W przeciwieństwie do głupich Teichertów, Bödickerowie mieli dość rozsądku i na tyle znali się na koniach, żeby zrozumieć, że ich konie nie zawsze muszą wygrywać zawody. Cieszyli się z dobrych miejsc, nawet jeśli w przejeździe pojawiały się błędy.

Po dekoracji zwycięzców odbyła się runda honorowa. Potem ucichła muzyka i konie wyjechały z hali.

- No, Eleno - powiedziała mama. - Chodźmy już do samochodu, zanim tata zacznie nas szukać.

Rozłożyła parasol i razem wyszłyśmy z hali. Na dworze panowała ciemność. Było zimno i mokro, aż dostałam dreszczy. Na parkingu stało niewiele samochodów, a ziemia była rozmiękła od deszczu, opon ciężarówek, busów i ciężkich przyczep z końmi. Idąc, musiałyśmy uważać, żeby się nie pośliznąć.

Tata czekał w szoferce, z uruchomionym silnikiem. Jens, Christian i Melike byli już w drodze do domu, a dziadek wziął golfa mamy. Wspięłam się do kabiny ciężarówki i usiadłam na tylnej kanapie. Mama zajęła miejsce obok kierowcy. Tata zwolnił hamulec i ruszył wielkim wozem przez łąkę, a potem zwinnie wyjechał na ulicę.

Rodzice milczeli, a ja byłam zajęta rozmyślaniem o Timie Jungblucie. Uśmiechnął się do mnie i puścił oko! Na dodatek on też ryzykował, że spotka ojca, kiedy kupował nam colę.

Po kilku minutach jazdy zaczęło działać ogrzewanie i w szoferce zrobiło się przyjemnie ciepło. Dopiero wtedy poczułam zmęczenie. Dzień był długi i pełen nerwów, więc

teraz zwinęłam się na tylnej kanapie.

- Mister Magic bardzo ładnie dzisiaj skakał - odezwała się mama, przerywając panującą od wyjazdu ciszę.

- Nigdy jeszcze nie szedł gorzej niż dzisiaj. - Ojciec pokręcił głową, czym całkowicie mnie zaskoczył. - Nie mam pojęcia, co Nötzli sobie po nim obiecuje, bo tego konia nie uda się sprzedać! Żaden jeździec gorszy ode mnie nie dałby rady zmusić go do skoku przez rów z wodą! Ludzie przecież potrafią patrzeć i oceniać. Każdy mógł zobaczyć, że nawet ja z dużym wysiłkiem prowadzę go przez parkur. Ktoś inny raczej nie doprowadziłby go do końca.

- To prawda - wtrąciłam się. - Słyszałam, jak jakiś facet powiedział, że inny jeździec nie zrobiłby na nim nawet LL-ki.

- No widzisz - tata mruknął gorzko, a ja dopiero teraz zaczęłam rozumieć, że to wcale nie był komplement.

- Tak czy inaczej, będziemy musieli jak najszybciej rozmówić się z Nötzlim - stwierdziła mama. - Nie dość, że nic nam nie płaci, to jeszcze całe koszta przerzuca na nas. Pasza, kucie, opłaty startowe, składki, paszporty i, nie daj Boże, jeszcze weterynarz. Jak taki koń jak Mister Magic postoi u nas rok, a potem dostaniemy za niego dziesięć procent od sprzedaży, to znaczy, że sporo do niego dopłaciliśmy.

- Co to niby ma znaczyć?! - krzyknął tata. Nie mogłam znieść, kiedy mówił takim agresywnym tonem. To było okropne i żałowałam, że nie pojechałam z dziadkiem. - Chcesz powiedzieć, że nie uda mi się sprzedać tego konia?

- Nie, tego przecież nie powiedziałam! - mama zapewniła go pospiesznie. - Ale nie będzie łatwo sprzedać za duże pieniądze konia, który ma swoje narowy. A Nötzli zawsze chce, żeby jego konie sprzedawać drogo. Sam przecież mówiłeś, że byłoby nam łatwiej, gdyby nie chciał za konie takich zwariowanych sum.

- Wspaniale, więc co w takim razie proponujesz? - odparł ojciec wciąż podniesionym głosem. - Mam go poprosić, żeby nie przywoził mi już żadnych koni? Nawet wtedy, kiedy

będzie miał coś naprawdę dobrego do zaoferowania? Jak Ladosa, Billy Balou czy Glorię? Sprzedałem przecież te konie za duże pieniądze! Wyobraź sobie, że jest sporo jeźdźców i hodowców, którzy daliby sobie rękę uciąć, żeby tylko móc robić interesy z Nötzlim. Jeden taki mieszka dość blisko nas. Jak zacznę narzekać, to wylatuję z obiegu, nie potrafisz tego zrozumieć?!

- Przede wszystkim nie rozumiem, dlaczego musisz krzyczeć - odparła lodowato mama. - Chciałam tylko powiedzieć, że koniec końców nic na tym nie zarabiamy.

Tata zacisnął usta i zamilkł. Mama też już się nie odzywała, a ja zamknęłam oczy. Co się działo? Wcześniej tata po wygranych zawodach zawsze miał dobry humor i często brał nas do gospody. Teraz jednak nawet zwycięstwo w takim dużym turnieju nie pomogło mu poskromić złości.

Kiedy wróciliśmy do domu, Christian i Jens pracowali już w stajni. Melike wysiadła przy ratuszu. Konie zostały szybko rozładowane i oporządzone na noc. Poszłam sprawdzić, co u Siriusa, który dzisiaj niestety cały dzień stał w swoim boksie. Nie mogłam zajrzeć do Fritziego, bo rodzice czekali na mnie przed stajnią, żeby zamknąć wszystko na klucz. W milczeniu ruszyliśmy w stronę domu. Przed gospodą parkowało nadal kilka samochodów.

- O, popatrz, Axel i Manfred jeszcze są - zauważył tata. - Dołączę do nich na jednego.

- Mogę iść z tobą? - poprosiłam.

- A spojrzałaś na zegarek? - Mama potrząsnęła głową. - Trochę za późno, żeby trzynastolatka przesiadywała o tej porze w knajpie.

- Ale Christian i Jens jeszcze...

- Twój brat niedługo kończy piętnaście lat. - Mama ucięła dyskusję. - I nie życzę sobie żadnych ale.

Nie uszło mojej uwagi spojrzenie, jakim mama obdarzyła tatę, ale on go chyba nie zauważył.

- Nie czekaj na mnie, Susanne - rzucił przez ramię i zniknął w gospodzie.

Dałam mamie buziaka na dobranoc i poszłam do swojego pokoju. W sypialni było przyjemnie ciepło. Weszłam pod prysznic, potem otuliłam się płaszczem kąpielowym i położyłam się do łóżka. Następnego dnia była niedziela, a to oznaczało dzień wolny od szkoły. Może znów pojedziemy razem na jakiś turniej i może znowu uda mi się spotkać Tima... Od razu poczułam wyrzuty sumienia. Bez względu na to, czy Tim się do mnie uśmiechał, czy puszczał oko, nie powinnam była nawet o nim myśleć. Tata i mama na pewno mieli ważny powód, żeby nienawidzić Jungblutów.

Twix usiadł obok łóżka i zaczął machać ogonem. Uniosłam kołdrę, a on jednym skokiem wylądował obok mnie.

- Tak, to też jest zakazane, wiem. Ale co tam. - Wyłączyłam światło i okryłam się szczelnie.

Twix przytulił się mocno, cieplutki jak termofor, a potem westchnął z zadowoleniem.

- Zakazy, zakazy, zakazy... - wymamrotałam, głaszcząc go po grzbiecie. - Nic mi nie wolno.

Rozdział 7

KIEDY RANO WESZŁAM zaspana do łazienki, Christian stał przed lustrem i starannie układał włosy.

- Won! - warknął, nawet na mnie nie patrząc.

- Pospiesz się może, dobra? - poprosiłam jeszcze i odwróciłam się na pięcie.

Mój brat potrzebował rano więcej czasu przed lustrem niż ktokolwiek inny. Nie znałam nikogo bardziej próżnego. A przecież żel do włosów to było najoczywistsze marnotrawstwo czasu i pieniędzy, bo na turnieju i tak wypielęgnowana fryzura, mimo wszystkich porannych starań, znikała pod toczkiem.

Poczekałam więc, aż Christian zbiegnie ze schodów. Ledwie położyłam dłoń na klamce, usłyszałam dobiegający z dołu wściekły głos taty. Ciekawe, co już o siódmej rano mogło go wyprowadzić z równowagi? Na palcach zeszłam na parter i zaczęłam nadsłuchiwać.

-...nie mogę pojąć, co mój ojciec zrobił z taką kupą pieniędzy! Czterysta tysięcy euro kredytu i do tego naliczone zaległe odsetki! Od lat ich nie płacił, nie mówiąc w ogóle o spłacie głównego zadłużenia! Jak on w ogóle mógł zasnąć, wiedząc, ile pieniędzy napożyczał? I jeszcze udawał, że nic złego się nie dzieje!

- Znasz go przecież - odparła mama cichym głosem. - Jest zbyt dumny, żeby przyznać się do porażki.

- Zbyt dumny! - Tata niemal splunął z pogardą, wymawiając te słowa. - Super! Ludzie będą nas teraz bez końca obgadywali! Myślałem, że mnie szlag trafi, jak mi wczoraj wieczorem o tym powiedział! Jakby go to nieszczególnie obchodziło!

- Nie denerwuj się tak, Micha - poprosiła mama. - W przyszłym tygodniu spotkamy się z doradcą podatkowym i wysłuchamy, co może nam zaproponować. Nie potrafię sobie

wyobrazić, żeby sytuacja była aż tak beznadziejna.

- A właśnie, że jest! Beznadziejna! Cholera jasna, nikt nie miał o niczym pojęcia, dopóki w stadninie nie pojawił się komornik sądowy, który wymachiwał tytułem egzekucyjnym! Co za wstyd! Ja w każdym razie nie mam zamiaru żebrać po bankach, żeby pożyczyli nam jeszcze więcej albo przesunęli termin spłaty! I wiesz co? Nawet nie miałbym nic przeciwko, żeby bank zajął cały ten szajs i go zlicytował!

Stałam na najniższym stopniu i nie rozumiałam ani słowa z ich rozmowy.

- Ale to przecież też jest wina banku - usłyszałam głos mamy. - Zachowywali się nie fair, pożyczając mu coraz więcej pieniędzy. Musieli wiedzieć, że nie ma jak tego spłacić.

- I to jest dokładnie to, o co im chodziło! Rozdawać pieniądze: panie Weiland, proszę, jest pan naszym najlepszym klientem! Latami mu dawali i dawali! - Tata zaczął z wściekłości krzyczeć, a ja odruchowo przestałam oddychać. - A potem z premedytacją zakręcają kurek z pieniędzmi i za bezcen przejmują całe gospodarstwo! To ich metoda! Teraz siedzą i zaśmiewają się do rozpuku, bo załatwili głupich wieśniaków, którzy niczego nie rozumieją!

- Przecież musi być jakieś wyjście! Sprzedaż stadniny to na pewno nie jest jedyna możliwość. - Mama zachowywała się nadzwyczaj spokojnie. - Musimy się bardzo ograniczyć. I przy odrobinie szczęścia uda nam się sprzedać jakieś konie.

- Jakie niby konie, co? Może Lagunasa albo Calvadora? Przecież na nich jestem na długiej liście zawodników z prawem do startu w mistrzostwach Europy i mam nominację do kadry narodowej! Chyba nie masz pojęcia, o czym ty w ogóle mówisz, Susanne!

Bezszelestnie zawróciłam i popędziłam do łazienki. Co się stało? Nic nie rozumiałam. Po błyskawicznej porannej toalecie wróciłam do swojego pokoju, ubrałam się i przepędziłam Twiksa z łóżka. Szybko strzepnęłam pościel, żeby nie było widać jego sierści, i pościeliłam łóżko na tyle starannie, na ile to było możliwe w takim pośpiechu. Kiedy schodziłam na dół, serce waliło mi jak szalone.

Weszłam do kuchni. Mama siedziała przy stole i płakała. W tym momencie zmieniło

się całe moje życie. Wiem, że to brzmi strasznie patetycznie, ale naprawdę tak się poczułam. Nigdy wcześniej nie widziałam jej płaczącej, a w każdym razie nigdy tak mocno. Ukryła twarz w dłoniach i szlochała.

- Mamo - wymamrotałam przez zaciśnięte gardło. - Co się stało?

Uniosła głowę i wierzchem dłoni osuszyła oczy.

- Ach, Eleno! Myślałam, że jeszcze śpisz.

Musiałabym chyba leżeć martwa, żeby nie słyszeć wrzasków taty. Ale nie powiedziałam tego głośno.

- Co takiego się stało? - zapytałam cicho.

- W piątek był tutaj komornik sądowy - wyjaśniła mama.

Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak załamanej jak teraz. Siedziała przy stole prawie nieruchomo, blada, zgarbiona i z pustym wzrokiem wbitym gdzieś w dal.

- Czego chciał? - zapytałam niepewnie, choć właściwie wolałam tego nie wiedzieć. Tylko że zależało mi, żeby mama nie płakała. Bardzo się tego bałam. Mama zawsze miała dobry humor i w przeciwieństwie do taty nigdy nie krzyczała. Bez względu na okoliczności zachowywała spokój.

- Usiądź, proszę - powiedziała.

Zawahałam się, ale w końcu zajęłam miejsce przy stole. Siedziałam sztywna, jakbym połknęła kij od szczotki, i miałam nadzieję, że w końcu się do mnie uśmiechnie i przytuli, jak zawsze.

Nie tym razem.

- Posłuchaj - zaczęła mama. - Wiesz chyba, że cała stadnina należy do babci i dziadka.

Potaknęłam.

- Na wszystko, co dziadek w ostatnich latach tu zbudował albo poprawił, pożyczał pieniądze z banku pod zastaw stadniny - ciągnęła mama. - To się nazywa hipoteka.

Tak, to słowo też już wcześniej słyszałam.

- Wyszło w każdym razie tak, że pożyczył znacznie więcej, niż mógł zwrócić. I dlatego teraz ma straszne długi. - Mama westchnęła ciężko. - Ogromne. A bank zażądał spłaty i wysłał komornika, żeby odebrał jego pieniądze.

Jedną z zalet mamy było to, że zawsze mówiła prawdę, jakakolwiek by była. Nigdy nie uciekała się do wmawiania mi, że jestem na coś za mała albo że tego nie zrozumiem.

Wstałam, podeszłam do lodówki, wyjęłam butelkę wody mineralnej, napełniłam szklankę i napiłam się.

- Stadnina to jedyne, co dziadek posiada. - Mama wróciła do tłumaczenia. - Jeśli do końca miesiąca nie zdobędzie pieniędzy dla banku, komornik ją zlicytuje.

- Co to znaczy? - zapytałam.

Mówiłam takim głosem, jakby coś uwierało mnie w gardle. Podświadomie czułam, że to nie mogło być nic dobrego. Ale najwyraźniej mama uznała, że dość dużo już wiem.

- Eleno, nie zamartwiaj się tym teraz - powiedziała i pogłaskała mnie po ramieniu. Mimo że miała oczy czerwone od płaczu, udało jej się nawet uśmiechnąć. - Jutro tata i ja spotkamy się z ludźmi z banku i będziemy starali się znaleźć jakieś rozwiązanie. Coś na pewno da się zrobić.

Nic a nic mnie to nie uspokoiło. Pomyślałam o swoich oszczędnościach w koniku-skarbonce, które zbierałam na coś innego - na komórkę, ogłowie dla Fritziego albo odtwarzacz mp3. Zgromadziłam już tam sporą sumę.

- Ile dziadek jest winien bankowi? - zapytałam szeptem.

- Według naszej wiedzy, przynajmniej sześćset tysięcy euro - wyjaśniła mama.

Jak wiadomo, nie byłam orłem z matmy, ale nawet ja wiedziałam, że sytuacja jest poważna - nawet bardzo poważna. W skarbonce, zgodnie z wczorajszym podsumowaniem w zeszycie, miałam sto dwanaście euro i szesnaście centów.

W stajniach panowała jeszcze ciemność, a światła paliły się jedynie tam, gdzie tata trzymał swoje konie. Christian włączył radio i śpiewał razem z nim, szczotkując klacz. Wszystko było tak, jak zawsze o poranku w stajni, a jednak nic już nie było takie samo.

- Hej - powiedział, kiedy mnie zobaczył. - Mogłabyś wyszczotkować Paradiso?

- Pewnie.

Z haka na ścianie zdjęłam kantar i przyprowadziłam kasztanowatego wałacha. Koń miał pełno siana w grzywie i ogonie. Kilka źdźbeł mocno się wplątało w jego włosie. Zdjęłam mu derkę z grzbietu i zaczęłam je usuwać.

- Gdzie jest tata? - zapytał Christian.

- Pewnie na śniadaniu - odparłam krótko.

Widziałam go wcześniej na podwórzu, ale minął mnie bez słowa i poszedł dalej.

- Grobowe nastroje - stwierdził mój brat. - I nie ma się co dziwić. No dalej, nastąp się, ty głupia krowo.

Klepnął Ronaldę w bok, na co klacz posłusznie się przesunęła. Przez chwilę pracowaliśmy w milczeniu, ale moje myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Opuściłam zgrzebło i kardacz.

- Przed chwilą widziałam, jak mama płacze - powiedziałam ściszonym głosem.

- No bo ma dobry powód, żeby się załamać. - Christian krytycznym wzrokiem ocenił efekty swojej pracy, a potem zarzucił Ronaldzie derkę na grzbiet. - Babcia i dziadek zadłużyli stadninę po uszy, a tata musi teraz dobrze się zastanowić, czy w ogóle będzie w stanie zabrać się do spłaty tych długów. Do wczoraj wieczora o niczym nie miał zielonego pojęcia. Nie wiedział, ile kasy dziadek przepuścił.

Nie potrafiłam zrozumieć, jak mój brat może zachowywać się aż tak spokojnie. A jeśli tylko udawał?

- Może moglibyśmy coś zrobić, żeby im pomóc? - zapytałam.

- Co niby? - Potrząsnął głową i uśmiechnął się szeroko. - Zrobisz wyprzedaż garażową i wystawisz swoje stare książki o koniach?

W jego głosie słyszałam kpinę.

- Nic nie rozumiem - powiedziałam i odepchnęłam łeb Paradiso, który za wszelką cenę usiłował złapać mnie zębami za kurtkę. - Dziadek przecież cały czas zarabiał. Dawał lekcje, brał konie w pensjonat i z babcią prowadził gospodę.

- No właśnie, to jest największa zagadka. - Christian poprawił włosy. - Dziadek się po prostu nie spodziewał, że sprawy zajdą tak daleko. A bank stracił cierpliwość i zażądał zwrotu kasy. Jeśli dziadek jej nie ma, komornik wystawi stadninę na licytację, a my będziemy musieli się stąd wynosić.

- Ale... dlaczego mówisz o tym tak, jakby ci na niczym nie zależało? - Nie mogłam otrząsnąć się z szoku. - Naprawdę nie interesuje cię to, że być może będziemy musieli się stąd wyprowadzić?

- Nie chodzi o to. Przygotowuję się psychicznie na taką możliwość - wyjaśnił Christian i odwiązał konia. - Poza tym i tak nie wiążę swojej przyszłości ze stadniną. Po maturze chcę studiować prawo. Będę adwokatem. Albo maklerem giełdowym jak Hans

Teichert. Albo gwiazdą rocka. To dopiero przynosi kasę. Nie mam najmniejszego zamiaru zaharowywać się za grosze jak tata.

Odprowadził Ronaldę do boksu, żeby wyprowadzić kolejnego konia i zacząć go czyścić. A ja nie mogłam wykrztusić ani słowa. Od zawsze jako oczywistość traktowałam to, że pewnego dnia Christian przejmie stadninę i będzie ją dalej prowadził.

- Ale... przecież... tak świetnie jeździsz... - wyjąkałam. - I lubisz to, prawda? Lubisz startować w zawodach?

Christian zatrzymał się przede mną i spojrzał mi w czy. Nie dostrzegłam w nich cienia strachu przed tym, co nam groziło.

- Nie tak bardzo, żeby brać na siebie taką kupę roboty i nerwów - wyjaśnił pogardliwym tonem. - Jeśli będę miał dość pieniędzy, zawsze będę mógł kupić sobie konia, żeby na nim startować. Nie potrzebuję do tego całej stadniny.

Rozdział 8

KRÓTKO PRZED DZIEWIĄTĄ tata wziął Jensa i Christiana i pojechali na jakiś turniej. Pomagałam przy załadunku koni, czekając, żeby tata zapytał, czy chciałabym pojechać z nimi. Ale takie pytanie nie padło, a ja nie miałam zamiaru prosić, żeby mnie wzięli. Nie uśmiechał mi się również powrót do zapłakanej mamy w domu. Postanowiłam, że wezmę Fritziego na małą przejażdżkę. Miałam przecież całą masę rzeczy, które musiałam przemyśleć w spokoju.

Nieco później kłusowałam piaszczystą dróżką w stronę lasu, między dużym maneżem i padokiem. Trochę jeszcze padało, ale nie było zimno, a w lesie i tak gęste liście zatrzymają drobne kropelki. Właściwie nie musiałam kierować moim koniem. Fritzi znał moje ulubione trasy i najlepsze miejsca do galopu, więc sam z siebie szedł tak, jak chciałam. Tak wcześnie rano w niedzielę nie spodziewałam się żadnych spacerowiczów, a drogi - latem twarde jak skała - przez padający od kilku dni deszcz stały się miękkie i wręcz zapraszały do wyciągniętego galopu.

- Może będziemy musieli wyprowadzić się z gospodarstwa - powiedziałam Fritziemu, który zastrzygł uszami, słysząc mój głos. - To byłoby straszne!

Już sama myśl, że nigdy więcej nie miałabym jechać na nim do lasu, sprawiła, że poczułam łzy w oczach. A poza tym, co by się z nim stało? Nie, to niemożliwe! To się nie może wydarzyć!

Nagle Fritzi zatrzymał się i potrząsnął łbem. Odwróciłam się w siodle i nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Choć zamknęłam Twiksa w boksie mojego konia, psu musiało się jakoś udać uciec z niewoli. Pędził teraz jak białoczarna kula sierści, niezmordowanie przebierając krótkimi łapami i szczekając z zachwytu, że w końcu nas dogonił.

- Jesteś niedobrym psem, mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę? - skarciłam go, ale Twix nie zwracał na mnie uwagi. Skakał radośnie wokół Fritziego i wesoło poszczekiwał. Po prostu nie mogłam być na niego zła. Z takim samym entuzjazmem jeździł

na przejażdżki jak mój koń.

- No dobrze. - Skróciłam wodze. - Ale musisz teraz uważać, żeby Fritzi cię nie trafił! Bo zaraz ruszamy do galopu!

Fritzi nie potrzebował zachęty. Ruszył przed siebie jak koń wyścigowy wypadający z bloków startowych, a ja lekko uniosłam się w siodle. Przez pierwsze kilka metrów Twix dzielnie biegł obok, ale szybko zaczął zostawać z tyłu. Słyszałam jego wściekłe ujadanie, które nijak do niego nie pasowało.

Przy każdym skoku kopyta Fritziego wydawały głuchy dźwięk. Musiałam go trochę hamować, bo gdyby za bardzo się rozpędził, mógłby się pośliznąć na zakręcie. W końcu dotarliśmy do długiej prostej, którą z Melike ochrzciłyśmy autostradą, bo przez niemal dwa kilometry ciągnęła się bez zakrętów przez las - jakby była stworzona do wyścigów. Fritzi poruszył uszami i wyciągnął galop, czując, że daję mu dłuższe wodze. Pochyliłam się nad jego szyją i pozwoliłam biec. Na końcu prostego odcinka ściągnęłam wodze, zatrzymałam go i poczekałam na Twiksa.

Szybki galop przepędził ponure myśli, które kłębiły się w mojej głowie, a ich miejsce niespodziewanie zajęło wspomnienie Tima. Żaden chłopak nigdy nie uśmiechał się do mnie w ten sposób... tak miło. Chyba że sobie coś ubzdurałam? Może tak się po prostu uśmiechał do każdego? Dla Melike też był przecież bardzo miły.

- Skończ wreszcie z myśleniem o tym chłopcu, Eleno Weiland! - skarciłam sama siebie.

Zresztą nawet gdyby nie nazywał się Jungblut, tylko jakoś inaczej, i tak byłby dla mnie całkowicie nieosiągalny. Na turnieju nie dało się nie zauważyć, jak patrzyły na niego inne dziewczyny. Dlaczego ktoś, kto był tak diabelnie przystojny i tak doskonale jeździł konno, miałby zainteresować się dziewczyną z pryszczami i aparatem na zębach? Koniec z marzeniami! Koniec. Kropka.

Pozwoliłam Fritziemu ruszyć kłusem. Starałam się znaleźć coś, na czym mogłabym się skupić, lecz cokolwiek bym tknęła, za każdym razem przed oczyma stawała mi

uśmiechnięta twarz Tima Jungbluta - jego uśmiech, dołeczek w brodzie i słodka malutka blizna. Czy też był akurat na turnieju? I jak daleko było do ich stadniny w Hettenbach? Wystarczyło przejechać przez bagna, a to najwyżej piętnaście minut... Pojechać do niego? Fritzi natychmiast poczuł moje rozkojarzenie i przeszedł w stępa. Tata by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że pojechałam sama przez bagna. W hierarchii rzeczy zakazanych taka jazda znajdowała się na równi z wypiciem coli z Timem Jungblutem.

Kiedy wyjechałam zza zakrętu, dostrzegłam między drzewami jezioro. Tutaj, głęboko w lesie, było moje ulubione miejsce, do którego uciekałam, ilekroć chciałam w spokoju o czymś pomyśleć. Latem pozwalałam Fritziemu popływać w jeziorze, bo jeden z brzegów był czymś na kształt plaży, z której dało się wjechać prosto do wody. Kilka razy przepłynęliśmy z Fritzim i Twiksem do niewielkiej wysepki na środku. Leżałam tam sobie na słońcu i się wygrzewałam. Bardzo rzadko ktoś tu przyjeżdżał.

Stara leśniczówka została opuszczona przed wieloma laty i od tego czasu stała zupełnie pusta. Domek sprawiał ponure wrażenie, szczególnie przez zabite deskami okna. Las powoli upominał się o swoje, zarastając podwórze i dawny ogródek warzywny, a tył domu zniknął pod zielonymi zwałami dzikiego wina. Co jakiś czas przyjeżdżałyśmy tu z Melike, przywiązywałyśmy konie do spróchniałej werandy, siadałyśmy na zmurszałej ławce i oddawałyśmy się marzeniom. Czasem udawałyśmy, że siedzimy na koźle wozu drabiniastego traperów zdobywających Dziki Zachód, a kiedy indziej, że jesteśmy zbiegami i uciekamy przed policją. Umówiłyśmy się, że kiedy skończymy osiemnaście lat, pojedziemy na wycieczkę dookoła całego lasu. Skierowałam Fritziego między drzewa, w kierunku brzegu jeziora.

- Co to ma być?

Ściągnęłam wodze. Ktoś zdjął deski z okien, a z komina unosiła się wstążka dymu! Fritzi zastrzygł uszami i głośno zarżał. Kilka sekund później rozległa się odpowiedź. Koń? Tutaj? Pośrodku lasu?

- Nie, to przecież niemożliwe! - wymamrotałam.

Oczywiście wiedziałam, że leśniczówka nie jest moją własnością, ale mimo to czułam

się trochę tak, jakby ktoś bez ostrzeżenia najechał moje prywatne królestwo.

Chowając się za drzewami, pojechałam kawałek wzdłuż jeziora i zbliżyłam się do leśniczówki z boku. Powykrzywiana drewniana brama stała otworem, ale jak okiem sięgnąć, nie dostrzegłam żywej duszy. Zeskoczyłam z siodła i poprowadziłam konia za sobą. Musiałam się temu dokładniej przyjrzeć! Z walącym sercem przecięłam zaniedbane podwórze, zarośnięte do pasa zielskiem. Fritzi ponownie zarżał i ponownie odpowiedział mu jakiś koń.

- To dochodzi z tamtej szopy - powiedziałam cicho do siebie.

Za leśniczówką znajdowała się niewielka przybudówka, w której dotychczas stały jedynie jakieś rupiecie.

Przez ostatnie kilka lat zdążyłyśmy z Melike poznać całą działkę i wszystkie pomieszczenia, włącznie z szopami i komórkami, więc mocno się zdziwiłam, kiedy zamiast starych desek i pajęczyn w szopie moim oczom ukazały się cztery boksy dla koni. Co prawda nie wyglądały zbyt solidnie, ale tak czy inaczej w prowizorycznej stajni stały dwa konie! Po prawej stronie od wejścia znajdowała się kupa siana i kilka sprasowanych balotów, sięgających samego dachu. To było podejrzane. Kto je tu przyniósł? I po co? Dlaczego ktoś trzyma dwa konie w samym sercu gęstego lasu?

Niespodziewanie przypomniałam sobie wczorajszą rozmowę dwóch jeźdźców na turnieju, znajomych taty, i poczułam na plecach gęsią skórkę. No oczywiście! To musi być ktoś, kto ma coś do ukrycia! Albo sam musi się ukrywać. Czyżbym znalazła miejsce, gdzie przetrzymywano skradzione konie? I to akurat tutaj, w mojej leśnej kryjówce?

Fritzi koniecznie chciał dołączyć do dwójki koni w szopie, które łypały na nas ciekawsko, a ja miałam duże trudności, żeby go powstrzymać.

Nagle Twix nadstawił uszu, przerywając dotychczasowe polowanie na myszy. Zjeżył sierść na grzbiecie i zaczął warczeć. Ze strachu serce niemal mi stanęło, bo z koniokradami nie było żartów.

- Twix, do mnie - szepnęłam. - Szybko, musimy uciekać, zanim ktoś nas zobaczy!

Bardziej wywlokłam, niż wyprowadziłam Fritziego z szopy, i wskoczyłam na siodło. Nie wolno mi było zmarnować ani sekundy! Od drugiej strony zbliżał się jakiś samochód. Tyle że mój ogier nie zamierzał zostawiać dwójki koni w szopie! Zatańczył i rzucając głową, zrobił kółko w miejscu. Twix zaszczekał podniecony, a ja ze strachu zalałam się potem. Fritzi zarżał i zadarł łeb. Miałam tak spocone dłonie, że wodze ześlizgnęły mi się między palcami. Zrozpaczona szarpnęłam za uzdę i z całej siły ścisnęłam łydkami jego boki. W końcu koń zdecydował się mnie posłuchać i, co prawda wciąż opornie, ale ruszył w stronę tylnego wyjścia z posesji. Pozwoliłam mu galopować wąską ścieżką wzdłuż brzegu jeziora, a wodze ściągnęłam dopiero, kiedy dotarliśmy na skraj lasu.

Fritzi ciężko dyszał, jego sierść pokrywała biała piana. Twix leżał na ziemi z wyciągniętym ozorem, a ja miałam miękkie kolana, kiedy uświadomiłam sobie, co się wydarzyło. Dopiero teraz miałam dość czasu, żeby spokojnie pomyśleć. Czy to na pewno była kryjówka złodziei? Czy nie powinnam tego przypadkiem zgłosić na policję? W domu nie mogłam opowiedzieć o swoim odkryciu, bo samotny wyjazd do lasu, i to w dodatku galopem, był absolutnie zabroniony. Poza tym mogłam sie mylić. Postanowiłam, że następnego dnia omówię to wszystko z Melike.

Rozdział 9

OD MOMENTU ODKRYCIA obcych koni w mojej leśnej kryjówce nad jeziorem minęły dwa tygodnie, jednak przez ten czas tyle się wydarzyło, że całkiem o tym zapomniałam.

Tata i mama w towarzystwie doradcy finansowego odwiedzili kilka razy bank, w którym dziadek zaciągał pożyczki, i w końcu wypracowali rozwiązanie. Mieli przejąć stadninę razem z długami dziadka, a potem je spłacić. W ten sposób odsunęli nieco widmo przymusowej licytacji majątku, jednak to wcale nie poprawiło nastroju taty. Powiedziałabym, że wręcz przeciwnie. Przed kilkoma dniami wpadłam przez przypadek na tatę i dziadka, którzy zażarcie się kłócili. Oczywiście chodziło o pieniądze.

- Czego ty w ogóle ode mnie chcesz, co?! - ryknął dziadek. - Potrafisz tylko narzekać i narzekać! Sam nie skalałeś się tutaj żadną ciężką pracą! Jesteś zbyt ważny na dawanie lekcji, no pewnie! A zauważyłeś może, kto odwala całą brudną robotę, jak ty spoglądasz na wszystko ze swojego piedestału?

Nie usłyszałam odpowiedzi taty, bo mama wysłała mnie czym prędzej do domu. Ale potem dziadek i tata nie odzywali się do siebie. Babcia naturalnie trzymała stronę dziadka. Można było zwariować!

Dziś w naszej stadninie odbywał się coroczny turniej związku jeździeckiego. W stajniach panował tłok i gwar jak w ulu, bo zawody miały się rozpocząć o czternastej konkursem ujeżdżenia. Uczniowie szkółek jeździeckich pracowicie machali zgrzebłami, przygotowując konie do jazdy, czyścili siodła i denerwowali się tak, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata. Wszyscy przeszkadzali sobie nawzajem. Ktoś rozpaczał, bo zaplamił sobie białe bryczesy, ktoś inny zapomniał czapraka, a Akim, koń ze szkółki, położył się i na jego białej sierści pojawiła się okropna żółta plama.

Miałam jeszcze czas, bo skoki w klasie L rozpoczynały się trochę później. Dopiero parę dni temu tata rzucił mi mimochodem, że w zawodach związku jeździeckiego będę

startowała na Phoeniksie.

- Przecież nie możesz w nieskończoność dosiadać tego kuca - wyjaśnił.

Phoenix był sześcioletnim wałachem, za którego tata wiosną dał innego konia. Kilka dni po zamianie oznajmił, że to będzie mój koń, ale latem Phoenix nabawił się kontuzji i przez dłuższy czas nie wolno było nikomu na nim jeździć. To wydarzyło się przed całą aferą z długami, kiedy jeszcze wydawało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Tym bardziej się cieszyłam, że tata nie zapomniał o swojej obietnicy.

Zanim w ujeżdżalni przygotowano czworobok, będący areną konkursu ujeżdżenia, tata rozprężył swoje konie. W milczeniu poprowadził Cornado obok dziadka, który na ostatnią chwilę czyścił bandę, by ujeżdżalnia dobrze wyglądała w czasie turnieju. Już wcześniej Melike i ja przygotowałyśmy Siriusa, a teraz, skoro nie miałyśmy nic więcej do roboty, usiadłyśmy na trybunie, żeby obejrzeć tatę w siodle. Pryszczol Jens stał zadowolony między przeszkodami i przestępował z nogi na nogę.

- Drąg dwa i pół metra przed stacjonatą! - polecił mu tata.

Cornado zatańczył i rzucił łbem.

Poprzedniego dnia został ogolony, więc zimne powietrze pobudzało go do ruchu.

- Elena! - krzyknął nagle tata, a ja podskoczyłam. - Powiedz Christianowi, żeby natychmiast przygotował Qantasa. Chcę być gotowy, zanim zacznie się tutaj ten cały cyrk.

- Już pędzę! - Melike poderwała się z miejsca i zniknęła, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

Melike wolałaby pewnie odgryźć sobie język, niż się do tego przyznać, ale od jakiegoś czasu podejrzewałam, że podkochuje się w Christianie. Cóż, mój brat w żadnym razie nie jest odpychający, co to, to nie. Na turniejach zawsze jest otoczony wianuszkiem dziewczyn, a u nas w stadninie to już w ogóle czuje się wyjątkowo pewny siebie.

Nie miałam jednak czasu, żeby rozmyślać, jak beznadziejnie by było, gdyby Melike zaczęła chodzić akurat z moim bratem, bo w tym momencie do hali ujeżdżalni wszedł jakiś mężczyzna. Natychmiast się zorientowałam, że to słynny handlarz końmi ze Szwajcarii, pan Gerhard Nötzli. Nie dało się go z nikim pomylić, bo jak zawsze miał na sobie charakterystyczną zieloną marynarkę i nieodłączne cygaro w ustach.

- Witaj, Eleno - przywitał się ze mną.

- Dzień dobry panu.

Bardzo go lubiłam. Zawsze traktował mnie z wielkim szacunkiem i uważnie słuchał, co mam do powiedzenia. Pan Nötzli też cieszył się ogromnym szacunkiem. Każdy jeździec wiedział, kim jest. Zawsze byłam pod wrażeniem, jak skromnie i przyjaźnie się zachowuje, mimo że na co dzień robił interesy z najlepszymi i najsławniejszymi zawodnikami na świecie. Był zupełnie inny niż ci handlarze, których znałam. Dziś jednak wróciły do mnie słowa mamy, które powiedziała w ciężarówce w drodze powrotnej z zawodów. Nie chciało mi się wierzyć, żeby pan Nötzli wykorzystywał tatę, a mimo to dziś zobaczyłam go w całkiem innym świetle.

- Macie dzisiaj zawody, prawda? - zapytał, zabawnie zaciągając szwajcarskim akcentem.

- Zgadza się. Zawody związku jeździeckiego.

- Bierzesz może w nich udział? - Pan Nötzli uśmiechnął się do mnie przyjaźnie, nie przestając pykać cygara.

- Oczywiście. - Pokiwałam głową. - Ale startuję później, w klasie L, na Siriusie i Phoeniksie.

- Witaj, Gerhardzie. - Tata zatrzymał Cornado przy bandzie, tuż obok nas. - Doskonałe wyczucie czasu, muszę powiedzieć. Elena, przekaż Christianowi, żeby przygotował jeszcze te dwa nowe konie. A Qantas niech idzie na karuzelę.

- Dobrze - odpowiedziałam i uciekłam.

Christiana i Melike spotkałam, kiedy wychodzili razem z pomieszczenia do czyszczenia koni, prowadząc Qantasa, karego wałacha. Przekazałam bratu polecenia ojca. Christian zaklął i zawrócił konia, by przeciskać się z nim przez tłum rozemocjonowanych jeźdźców.

- Szybko, biegnij za nim! - krzyknęłam do Melike i wyszczerzyłam zęby.

- Jesteś głupia! - Melike pokazała mi język, ale pobiegła za moim bratem do stajni.

- Elena? - zawołał dziadek i pokiwał na mnie dłonią. - Możesz pomóc mi w biurze zawodów, dopóki nie pojawi się Tanja?

- Oczywiście.

Poszłam za dziadkiem do dużej siodlarni w stajni z końmi ze szkółki jeździeckiej, gdzie przygotował spory drewniany stół.

Mimo nerwowej atmosfery i nawału pracy, które były czymś normalnym w czasie zawodów związku, dziadek był w świetnym nastroju i zupełnie spokojny. Właściwie on zawsze był w dobrym humorze i z każdym lubił pożartować. Tak jak wcześniej, pracował od rana do późnego wieczora i razem z zarządem lokalnego oddziału związku jeździeckiego organizował cały turniej. Wszyscy w okolicy bardzo dziadka lubili, bo miał nieskończone pokłady cierpliwości i trzeba było naprawdę się postarać, żeby wytrącić go z równowagi.

Oczywiście wszyscy musieli już wiedzieć o naszej trudnej sytuacji materialnej, a Christian twierdził, że tata jest wściekły na dziadka, bo przez niego ludzie myśleli, że w długi wpędziły nas liczne starty taty w zawodach i turniejach, co przecież nie było prawdą. Dziadek natomiast w ogóle nie zaprzątał sobie tym głowy i nawet nie próbował prostować ludzkich domysłów. Najwyraźniej dobrze się czuł ze świadomością, że nikt nie obwinia go o problemy, w jakich znalazła się nasza stadnina.

Punktualnie o drugiej rozpoczął się konkurs ujeżdżenia. Elektryk ze Steinau, który też

trzymał u nas konie, zainstalował nagłośnienie. W ujeżdżalni pojawiło się dwóch sędziów. W konkursie mogli brać udział tylko członkowie naszego związku jeździeckiego, więc wszyscy wiedzieli, kto skończy na którym miejscu. Po konkursie ujeżdżenia we wszystkich klasach czworobok został rozebrany, a w jego miejsce miał zaraz powstać parkur. Ja poszłam wtedy do stajni, żeby się przebrać.

W siodlarni nałożyłam białe bryczesy i wypolerowane na wysoki połysk buty do jazdy konnej. Kiedy byłam już gotowa, w stajni pojawił się Jens. Podszedł do boksu Phoeniksa, otworzył drzwi, wyprowadził konia i przywiązał w przejściu.

- Co z nim robisz? - zapytałam.

- Siodłam - odparł Pryszczol i wyszczerzył zęby. - A co myślałaś, Smarkulo?

Zignorowałam zaczepkę.

- Tylko dlaczego go siodłasz? - chciałam wiedzieć. - Przecież zaraz na nim startuję w skokach w L-ce.

- O rany, nie jesteś na bieżąco - odparł Jens, nawet na mnie nie patrząc. - Szef ma klienta.

Klienci? Teraz? Nic już z tego nie rozumiałam. Czyżby Phoenix miał zostać sprzedany? I to akurat dzisiaj, kiedy byłam już gotowa do startu na nim?

Właśnie kiedy chciałam iść szukać taty, ten pojawił się w stajni w towarzystwie Christiana, państwa Teichertów i Ariane, ubranej tak, jakby miała brać udział w sesji fotograficznej do jakiegoś czasopisma o modzie dla jeźdźców.

- Poczekaj! - Christian powstrzymał Jensa. - Ariane woli jechać we własnym siodle!

Odebrał z jej rąk siodło, które dziewczyna przyniosła, i położył na grzbiecie konia, na którym to ja miałam przecież jechać.

W milczeniu przypatrywałam się, jak mój brat siodła Phoeniksa i zakłada mu ogłowie. Nie mogłam wykrztusić ani słowa. I to akurat ta głupia Ariane miała startować w konkursie na koniu, którego tata obiecał mnie? Czyżby jej rodzice chcieli kupić Phoeniksa? Tylko dlaczego tak niespodziewanie? Poczułam, jak ogarnia mnie potężna fala rozczarowania.

- Nie jesteś chyba zła, prawda? - zapytała Ariane, słabo udając współczucie, bo w jej oczach widać było błysk tryumfu. - Ale nie martw się, Eleno. Masz przecież swojego słodkiego kucyka!

Co za głupia krowa!

- Co ja słyszę, Eleno?! Ty miałaś jechać na tym właśnie koniu? - zagruchała matka Ariane. - No cóż, na szczęście macie tyyyyle koni, że chyba znajdziesz jakiegoś dla siebie, prawda?

- Z całą pewnością - wydusiłam z siebie i w kieszeniach zacisnęłam pięści. Jak tata mógł mi zrobić coś takiego?

Wyszłam ze stajni i udałam się do ujeżdżalni. Najchętniej pobiegłabym prosto do domu. Nie miałam już ochoty oglądać tego idiotycznego konkursu!

Mama stała przy bandzie i rozmawiała z panią Baumgarten, matką Laury, która z braku konkurencji wygrała konkurs ujeżdżenia w swojej klasie.

Do hali wszedł tata w towarzystwie Teichertów. Poczułam straszną wściekłość. I nie chodziło mi nawet o to, że Phoenix miał zostać sprzedany - to było w końcu normalne, w ten sposób moi rodzice zarabiali na chleb. Ale dlaczego nie mógł mi wcześniej tego powiedzieć? Dlaczego poniżył mnie przy Ariane?

- Co się dzieje, Eleno? - zapytała mama.

- Nic. - Przełknęłam łzy i byłam zła na siebie, że w ogóle chce mi się płakać.

- Kochanie, mnie nie nabierzesz. Przecież widzę, że coś jest nie tak. Powiesz mi, o co

chodzi?

- Ariane ma jechać na Phoeniksie w klasie LL - wydusiłam przez zaciśnięte zęby. - A tata wcześniej powiedział, że ja będę na nim jechała w L.

- Nie wiedziałam o tym. - Mama nie kryła zaskoczenia. - Ponoć miała sprawdzić, jak się prowadzi jeden z gniadoszy od pana Nötzlego.

- Może i miała, ale Christian właśnie siodła dla niej Phoeniksa.

- Poczekaj tutaj. - Mama pogłaskała mnie po dłoni, a potem nachyliła się w stronę taty i dotknęła go w ramię. Odwrócił się.

- Czy to prawda, że Ariane dosiada Phoeniksa? - zapytała mama. - Myślałam, że chcesz jej zaproponować Aquariusa?

- Phoeniks znacznie lepiej do niej pasuje - wyjaśnił tata. - Poza tym dużo umie. W rozliczeniu dostanę tę kasztankę... Interes to interes, nie ma się co obrażać.

- Ale obiecałeś! Przyrzekłeś mi, że będę mogła jechać na Phoeniksie! - wybuchłam.

- Oj, znajdę ci innego konia. - Tata najwyraźniej nie przejął się całą sytuacją. - A teraz przestań stroić miny.

Interes z Teichertami na horyzoncie bardzo poprawił mu humor. Uśmiechał się i nawet objął mnie ramieniem. Od dawna tego nie robił, ale zupełnie nie podobało się mi odgrywanie zgodnej i szczęśliwej rodziny. Uwolniłam się i ruszyłam przed siebie. Byle jak najdalej - jak najdalej od Teichertów, którym się wydawało, że za pieniądze mogą kupić wszystko.

Wybiegłam ze stajni i ruszyłam w stronę ćwiczebnego parkuru. Tam przysiadłam na dużej donicy z kwiatami. Słońce wisiało nisko nad horyzontem i zalewało niebo bladozłocistą poświatą. Lada chwila miało się zrobić ciemno. Para kosów skakała po gałązkach rododendronów. Oparłam brodę na dłoniach i zapatrzyłam się na las, który zaczynał się

kawałek za parkurem. Drzewa mieniły się złotem i czerwienią w promieniach zachodzącego słońca. Przez chwilę rozważałam, czy nie osiodłać Fritziego i nie pojechać sobie do lasu, bo nagle wszystko zaczęło mnie strasznie denerwować - mój oślizły braciszek, głupia gęś Ariane, tata i ten cały tłum ludzi dookoła.

- Elena, gdzie ty się podziewasz? - za plecami rozległ się głos Melike. - Wszędzie cię szukałam. Przed chwilą widziałam Ariane z Phoeniksem. Dlaczego...

- Tata chce go sprzedać Teichertom - przerwałam przyjaciółce, nie odwracając się. - Dla mnie ma znaleźć jakiegoś innego konia. Niech to diabli!

- No co ty! Paskudnie! - Melike bardzo się zdenerwowała. - Może ta idiotka spadnie w czasie przejazdu!

- Nie da rady - mruknęłam ponurym głosem. - Phoenix jest supermądrym koniem. Już prędzej wygra w swojej klasie.

Nagle kolorowa linia lasu rozmyła się i przestałam ją dobrze widzieć. Płakałam. To było żałosne jak mało co, ale nie mogłam nic poradzić. Byłam strasznie rozczarowana i zawiedziona. Melike usiadła obok, objęła mnie ramieniem i przytuliła. Przez chwilę obie milczałyśmy.

- Nie przejmuj się - powiedziała w końcu. - Masz przecież Fritziego. A on będzie lepszy niż jakikolwiek inny koń.

- Nie o to chodzi - wymamrotałam i otarłam oczy. - Tata mógł mnie przynajmniej ostrzec. Tymczasem stałam tam jak... jak idiotka, a Ariane patrzyła i uśmiechała się głupio. To mnie wyprowadziło z równowagi.

Melike przytaknęła z empatią. Zadrżałam, bo zrobiło się zimno, a ja zapomniałam kurtki ze stajni.

- Chodź. - Melike podniosła się energicznie. - Jestem głodna jak wilk, a tutaj jest okropnie zimno.

- Nie - odpowiedziałam ponuro. - Nie startuję dzisiaj.

- Nie namawiam cię. Chciałam popatrzeć na przejazd Ariane i zobaczyć, jak zrzuca kilka drągów. - Melike wyciągnęła dłoń w moją stronę.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Poprawiłam dłonią włosy i otarłam twarz.

- Jak wyglądam? - zapytałam.

Melike nachyliła się i spojrzała na mnie uważnie.

- Zjawiskowo, jak zawsze - powiedziała śmiertelnie poważnie.

Zaniosłam się śmiechem, a po chwili Melike do mnie dołączyła. Potem wzięłyśmy się pod ręce i ruszyłyśmy w stronę ujeżdżalni.

Zawody w skokach przyciągały więcej widzów niż pokazy ujeżdżenia - na największej trybunie zostało tylko kilka wolnych miejsc. Matki, ojcowie, babcie, dziadkowie, dzieci, małżonki i małżonkowie jeźdźców tłoczyli się w przejściach między ławkami i w napięciu czekali na pierwszego zawodnika.

Na stoisku z goframi, które postawiła jedna z członkiń związku jeździeckiego, kupiłyśmy z Melike gofry z polewą czekoladową i usiadłyśmy na trybunach. Na parkur wjechała kłusem Corinna Faist, koleżanka mamy, na klaczy Donjanie. Jakimś cudem przejechała całą trasę, robiąc tylko jeden błąd, i teraz uśmiechała się promiennie. Ariane była czwarta w kolejce. Christian coś jej tłumaczył, kiedy wjeżdżała do hali, a przed samym parkurem zdjął Phoeniksowi derkę z zadu.

- Popatrz tylko na mojego brata - powiedziałam z pogardą. - Co za palant. Robi za jej giermka.

- Idiota - mruknęła Melike i zrobiła ponurą minę, a potem spojrzała na Ariane i dodała coś po turecku, co z całą pewnością nie znaczyło nic miłego.

Zgodnie z tym, czego się spodziewałam, Phoenix pokonał parkur w bardzo dobrym stylu. Skakał, jakby znał trasę na pamięć, i nie zrobił ani jednego błędu. Matka Ariane, opatulona w eleganckie futro i stosowny kapelusz, siedziała w pierwszym rzędzie, klaskała z emfazą, jakby chciała, żeby wszyscy ją zauważyli. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że tata jeszcze dzisiaj dobije z nimi targu.

- Hej! - syknęła nagle Melike i dała mi kuksańca. - Elena, tylko trzymaj się mocno! Widzę coś, czego ty nie widzisz.

- Czyli niby co? - Wepchnęłam sobie do ust resztkę gofra i oblizałam umorusane czekoladą palce.

Melike wskazała głową w kierunku wyjścia. Podążyłam wzrokiem za jej gestem i niewiele brakowało, a dostałabym zawału serca. Między widzami przeciskał się nikt inny, tylko Tim Jungblut. Na głowie miał czapkę z daszkiem i postawił kołnierz kurtki, ale ja bym go poznała, nawet gdyby owinął sobie twarz szalikiem.

Z wrażenia zapomniałam przełknąć resztkę gofra.

- Co on tutaj robi? - wymamrotałam niewyraźnie. - Że w ogóle odważył się tu przyjść!

- O rany, ale to przemegasłodkie! - zaszczebiotała Melike i pomachała do niego.

Timowi wyraźnie ulżyło, kiedy nas zobaczył. Uśmiechnął się i ruszył w naszym kierunku.

- Dobra, to ja już muszę lecieć. - Moja przyjaciółka wstała.

- Nie! - W napadzie paniki złapałam ją za ramię. - Proszę, zostań ze mną!

- Pędzę do wuceta, bo nie wytrzymam - rzuciła przez ramię, uśmiechając się szeroko. - Tylko nie przegap swojego startu!

Rozdział 10

- CZEŚĆ. - Tim stanął obok mnie.

Serce waliło mi jak oszalałe.

- Hej.

Starałam się zachować spokój, jakby pojawienie się Tima w naszej stadninie było najnormalniejszą rzeczą na świecie. Tymczasem tętno miałam takie, jak po przebiegnięciu stu metrów sprintem. Żebym tylko znów nie zaczęła wygadywać głupot!

- Co ty tu robisz?

Nogi miałam jak z waty i bałam się spojrzeć mu w oczy, które okazały się jeszcze bardziej błękitne, niż je zapamiętałam.

- Słyszałem, że dzisiaj będzie się u was działo i że ty też zamierzasz wystartować. - Uśmiechnął się. - Nie chciałem stracić okazji, żeby to zobaczyć. Kiedy jest twoja kolej?

- Startuję w L-ce - wyjaśniłam. - Na razie jeszcze skaczą LL-ki.

W mojej głowie kłębiły się setki myśli i było mi niedobrze po słodkim gofrze, połkniętym niemal bez gryzienia. Miałam tylko nadzieję, że nie pobrudziłam się czekoladą! Dyskretnie otarłam usta dłonią.

- Chodźmy może trochę bardziej na tył - zaproponowałam. - Jeśli nie wpadniesz na Christiana, nic złego ci nie grozi.

- Będę się krył w tłumie i za filarami. - Tim się uśmiechnął i poprawił postawiony kołnierz kurtki.

Popatrzyliśmy na siebie i się roześmialiśmy, ale szybko opuściłam z zakłopotaniem głowę. Nie potrafiłam patrzeć mu w oczy i jednocześnie myśleć!

Na dole, na parkurze, sporo się działo. Konie ze szkółki jeździeckiej, nieprzyzwyczajone do takich tłumów i nerwów, nie chciały słuchać nie mniej przerażonych jeźdźców, którym brakowało doświadczenia w startach na turniejach, więc każdy kolejny przejazd był gorszy od poprzedniego. Odmowy skoku, wyłamania, zrzutki, dwadzieścia błędów na przejazd czy nawet więcej - a publiczność zamiast dopingować zawodników, śmiała się i klaskała z uciechy.

- Miałem rację, że będzie się działo - stwierdził Tim z rozbawieniem.

- Na zajęciach ze skoków zazwyczaj nie wygląda to aż tak tragicznie. - Starałam się bronić słabych wyników młodych jeźdźców.

- Zupełnie jakbym oglądał wielobój nowoczesny w telewizji. - Tim wyszczerzył zęby.

Spojrzałam na niego ukradkiem i pomyślałam, że to niemożliwe, że siedzimy obok siebie i rozmawiamy. Dlaczego w ogóle podjął ryzyko i przyszedł tutaj? Przecież mógł wpaść gdzieś na mojego brata! I z całą pewnością nie chodziło mu o zawody okręgowe związku, mimo że tak twierdził.

Ujeżdżalnię opuścił ostatni zawodnik startujący w klasie LL, a obsługa parkuru rzuciła się do zbierania porozrzucanych kawałków przeszkód, jakie zaścielały tor po jego przejeździe. Prowadzący potrzebował dobrych kilku chwil, żeby wymienić wszystkie błędy zawodnika. Czwórka jeźdźców z najlepszymi wynikami z całej stawki wróciła na ujeżdżalnię na dekorację zwycięzców.

- No proszę, proszę. - Tim zaśmiał się cicho. - Piękna Ariane zwyciężyła w skokach.

- Pierwotnie to ja miałam jechać na Phoeniksie - powiedziałam i ze zdziwieniem zauważyłam, że nie jestem już o to wcale zła. - Tylko że Teichertowie powiedzieli, że chcą kupić córce nowego konia, więc mogłam zapomnieć o tym wałachu.

- Coś o tym wiem. - Tim pokiwał głową. - W zeszłym roku, na tydzień przed mistrzostwami Hesji, mój ojciec sprzedał konia, z którym zakwalifikowałem się do startu. Ale biznes to biznes i nic na to nie poradzisz.

Dokładnie tak. Tata też to powiedział.

- Co wtedy zrobiłeś? - zapytałam.

Tim spojrzał na mnie i uśmiechnął się pogodnie. Jego zęby błysnęły biało w słabym świetle.

- Wziąłem innego konia. - Wzruszył ramionami. - I tak zostałem mistrzem Hesji juniorów.

Nagle uświadomiłam sobie, że muszę pędzić, żeby zdążyć osiodłać konia. Zerwałam się z miejsca.

- Poczekasz tutaj, aż wrócę? - odważyłam się zapytać.

- No pewnie, przecież mówiłem, że chcę zobaczyć, jak jedziesz. - Mrugnął do mnie. - Tylko nie zostawiaj mnie zbyt długo tutaj, w samym sercu obozu wroga.

Zaśmiałam się niepewnie, a potem popędziłam do stajni.

Melike wyprowadziła już Siriusa z boksu i przywiązała na stanowisku w przejściu. Sierść kuca była śnieżnobiała, idealnie czysta, a grzywa pięknie rozczesana.

- Myślałam, że wpadłaś do sedesu - powiedziałam.

- Miałam Christiana na oku - odparła przyjaciółka. - Chyba nie byłoby dobrze, gdyby natknął się gdzieś na Tima, prawda?

Czyli Melike nie zostawiła mnie samej, a wręcz przeciwnie!

- Gdzie jest Tim teraz? - zapytała.

- W hali. - Miałam problemy z założeniem Siriusowi ogłowia, tak bardzo trzęsły mi się jeszcze ręce. - Czy to nie jest szalone, że w ogóle tu przyszedł?

- Podobasz mu się - stwierdziła moja przyjaciółka, wyjęła mi z rąk kiełzno i zabrała się do przygotowywania Siriusa.

- Serio tak myślisz? - zapytałam, bo nie mogłam w to uwierzyć. Nigdy jeszcze żaden chłopak się mną nie interesował. - Jestem paskudna, mam aparat na zębach i pryszcze na twarzy.

- Dziewczyno, chyba sobie kpisz! Pamiętasz w ogóle, kiedy po raz ostatni miałaś pryszcz? - Melike potrząsnęła głową. - I powiedz mi jeszcze, dlaczego Tim miałby tutaj przychodzić? Po co? A może ci się wydaje, że przyszedł się czegoś nauczyć?

- Nie, to na pewno nie. - Potrząsnęłam głową i dyskretnie przesunęłam dłonią po twarzy.

Melike miała rację, od tygodni miałam czystą i gładką skórę. Westchnęłam ze szczęścia, a potem podskoczyłam. Przerażony Sirius uciekł pod ścianę.

- Ty to masz dobrze - mruknęła Melike i wykrzywiła twarz. - Christian nigdy by czegoś takiego dla mnie nie zrobił.

- Gdzie on się właściwie podziewa?

- Dzielnie trwa przy boku Ariane i zaśmiewa się do rozpuku z każdego jej żartu - wyjaśniła przyjaciółka z nieszczęśliwą miną. - Dla niego jestem jakby stajenną. Pomocnicą przy koniach i niczym więcej.

- Ty się lepiej ciesz z tego. Mój brat to straszny tłumok. - Założyłam Siriusowi siodło i podciągnęłam popręg. - Ciekawe, co go tak nagle zainteresowało w Ariane.

- Nie mam pojęcia. Ale nie ma strachu, żeby zauważył Tima, jeśli dalej będzie się w nią tak wgapiał.

Melike zrobiła zrezygnowaną minę i wzruszyła ramionami, po czym ruszyła za mną i Siriusem w stronę hali z parkurem.

Nie musiałam się przyglądać układowi przeszkód przygotowanych dla klasy L, bo wyglądał identycznie jak w niższej klasie LL, tyle że przeszkody były nieco wyższe. Mimo że było mi trochę przykro z powodu przyjaciółki, dzięki zachowaniu Christiana nie musiałam się martwić o bezpieczeństwo Tima. Tata raczej by go nie poznał, a już na pewno nie w takiej masie ludzi, nawet gdyby stanęli naprzeciwko siebie. W hali z maneżem do rozprężania koni panował chaos. Miejsca w niej starczyło dla czterech czy nawet dla pięciu jeźdźców, jednak w tej chwili chyba wszyscy zgłoszeni do zawodów w klasie L, czyli dwudziestu jeden skoczków, przyszli tu rozgrzać i rozluźnić swoje wierzchowce. Mniej doświadczeni zawodnicy byli na skraju załamania. Nerwy odmawiały im posłuszeństwa - krzyczeli na konie, na siebie i chaotycznie usiłowali pokonywać ćwiczebne przeszkody. Corinna Faist spadła nawet z konia, bo jej klacz w ostatniej chwili odmówiła skoku przez okser.

- Niech to diabli - mruknęłam pod nosem. - Tu się robi niebezpiecznie dla życia!

Udało mi się tak pokierować Siriusem, żeby poćwiczyć wyciągniętego kłusa, a potem galop, omijając największy tłok. Krótko przed startem dwa razy skoczyliśmy i w zasadzie to musiało wystarczyć za całe rozprężanie. W drodze na parkur zapięłam marynarkę, zdjęłam kurtkę i podałam ją Melike.

Z przeciwka jechała Ulrike Meinhardt na swojej klaczy Mirage i miała bardzo smutną minę.

- Jak ci poszło? - zapytałam, choć chyba powinnam oszczędzić jej tego pytania.

- Masakra jakaś. - Ulrike wykrzywiła twarz. - Zaraz na początku najechałam przeszkodę od złej strony. Powodzenia w każdym razie.

- Dzięki!

Przez przedsionek hali przejechałam stępem, potem złapałam mocniej wodze i na parkur wjechałam kłusem. Sirius zastrzygł ciekawsko uszami i zaczął żuć wędzidło. Mój kuc uwielbiał atmosferę zawodów i doskonale wiedział, kiedy kończy się zabawa i robi się poważnie. Spojrzałam w stronę Tima. Siedział cały czas w tym samym miejscu, schowany, jak zapowiedział, przy jednym z filarów podtrzymujących dach. Uśmiechnął się do mnie i uniósł zaciśnięte pięści na znak, że trzyma za mnie kciuki. Tata stał przy bandzie w gronie znajomych i pomachał, kiedy mnie zobaczył. Nagle poczułam zdenerwowanie. Żebym tylko nie zrobiła z siebie idiotki przed Timem!

Ale razem z Siriusem objechaliśmy niezliczoną liczbę parkurów. Dzięki temu wystarczyło, żebym ruszyła galopem, i jeszcze zanim Sirius wybił się do pokonania pierwszej przeszkody, ja byłam całkowicie spokojna. Mój kuc bez wysiłku przelatywał nad kolejnymi przeszkodami. Wszystkie zakręty i nawroty starałam się pokonywać tak ciasno, jak tylko się dało. Udało mi się zaliczyć przejazd bez ani jednego błędu i w najlepszym dotychczasowym czasie. Z ulgą poklepałam Siriusa po szyi, wyjechałam z parkuru i zeskoczyłam z siodła. Tylko dwóch zawodników miało lepsze czasy, ale za to popełnili błędy.

- Cool! - Melike krzyczała z radości. - Wygrałaś! To był ostatni zawodnik!

- Oczekujemy pojawienia się ostatniego jeźdźca - oznajmił spiker.

- Co?! - Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

Spojrzałam na tablicę, ale nie było na niej żadnego nazwiska więcej. I wtedy do hali wjechał Christian. Siedział na Wróżce, kasztance należącej do Ariane Teichert. Właścicielka klaczy szła tuż za nim, z pewną siebie miną i derką przewieszoną przez ramię.

- Co to ma znaczyć? - Melike pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyłam ramionami.

Kasztanka Ariane nie chciała już pod nią skakać i odmawiała wykonywania poleceń, co sprawiło, że poprosiła rodziców o nowego konia. W normalnych warunkach mój brat był

bardzo uczulony na punkcie występów przed publicznością - w przypadku jazdy na Wróżce, znarowionej kobyle Ariane, nie mógł być pewien efektów objazdu.

- Powodzenia! - krzyknęła Ariane, a Christian odpowiedział jej uśmiechem.

Spojrzałam na tatę, który też był chyba zaskoczony. Nie wiadomo dlaczego, klacz mojej koleżanki akurat dzisiaj postanowiła pokazać się z jak najlepszej strony. Cały objazd wykonała bezbłędnie, grzecznie pokonując wszystkie przeszkody. A dzięki temu, że jej foulée były znacznie dłuższe niż skoki mojego kuca, cały parkur zajął jej o trzy sekundy mniej.

- Jeszcze czego! Ten pawian wygrał! - syknęła Melike, obserwując z wściekłości taniec zwycięstwa, jaki Ariane odstawiała przy bandzie. Zachowywała się tak, jakby jej koń wygrał właśnie Wielką Pardubicką!

- To było wspaniałe! - krzyczała, poklepując z emfazą klacz po szyi. - Pierwsza klasa!

- Nie ma o czym mówić. - Christian uśmiechnął się do nas zarozumiale, jakby chciał się upewnić, że nie umknie nam żadne słowo z tej konwersacji.

- W nagrodę dostaniesz pięknego buziaka - zaszczebiotała Ariane, a Melike zrobiła minę, jakby zaraz miała zwymiotować.

Ja natomiast wskoczyłam na siodło i ruszyłam na dekorację zwycięzców. Cała się gotowałam z wściekłości na brata. Zachowywał się jak skończony idiota, jeśli chodzi o jego stosunek do Melike. Najpierw pozwalał jej pomagać sobie w stajni, podawać siodło i przygotowywać konia, a potem rzucił się adorować tę paskudną Ariane, i to w dodatku publicznie. Co za żenujący typ!

- Jesteś skończonym dupkiem! - warknęłam, stając Siriusem obok niego.

- Dlaczego? - Spojrzał na mnie z wysokości siodła. - Jesteś zła, bo wygrałem?

- Chyba ci odbiło! - odpowiedziałam. - Po co to całe przedstawienie z Ariane?

- Nie rozumiem. Przecież nie jestem żonaty, prawda? - Christian uśmiechnął się kpiąco. - Matka Ariane zapytała, czy nie wystartowałbym na klaczy jej córki. Co miałem zrobić? To klientka, siostruniu. A w stadninie świadczymy usługi dla naszych klientów. Mam rację?

Parsknęłam pogardliwie i już na końcu języka miałam jakąś złośliwą odpowiedź, ale akurat rozpoczęła się dekoracja, więc zamilkłam.

Po skończonej ceremonii czym prędzej zaprowadziłam Siriusa do stajni i pospiesznie go rozsiodłałam. Koniecznie chciałam pokazać Timowi Fritziego.

Rozdział 11

- HEJ, TO był super przejazd! - Tim z uznaniem pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko. - Świetnie jeździsz konno, gratulacje!

- Nie było aż tak trudno - broniłam się skromnie.

- Genialna sprawa, że organizujecie taki turniej dla oddziału związku jeździeckiego. Mojego ojca w ogóle takie rzeczy nie interesują.

- To wszystko robota dziadka i przewodniczącego naszego oddziału - wyjaśniłam. - Tata nie ma do tego cierpliwości. Dla niego liczą się tylko prawdziwe zawody i turnieje. Wszyscy jeźdźcy i uczniowie ze szkółki jeździeckiej przez cały rok czekają, żeby móc wystartować w naszym turnieju. A tobie w ogóle chce się jeszcze oglądać skoki w L-ce?

- Wszystko zależy, jakie ma się opcje.

- Chciałam pokazać ci mojego konia.

- Siriusa?

- Nie. - Zapięłam zamek błyskawiczny bluzy pod samą szyję. - Mam jeszcze jednego.

- Brzmi nieźle. - Tim skinął głową. - Chodźmy. Ale może niekoniecznie obok twoich rodziców.

- Nie, to raczej byłby zły pomysł. - Dałam mu znak, żeby ruszył za mną, i otworzyłam boczne wejście do hali.

Na dworze wiał zimny wiatr i zrobiło się już ciemno.

- Twój brat nie przepuści okazji, żeby stanąć na podium, co? - Tim zaśmiał się cicho,

kiedy szliśmy obok siebie.

- On! - machnęłam dłonią i zachichotałam. - Pomyśl, został mistrzem okręgu w klasie LL. Przez cały rok jego nazwisko będzie na szczycie tabeli w gospodzie. Przyjdzie jeszcze czas, że będzie się czerwienił ze wstydu.

Przez nikogo niezauważeni dotarliśmy na miejsce. Odsunęłam ciężkie drzwi na bok i po omacku znalazłam włącznik światła. W powietrzu unosił się kręcący w nosie zapach suchego siana, a migoczące świetlówki pod sufitem pokrywał kurz i pajęczyny.

- Fritzi! - zawołałam półgłosem.

Młody ogier, który położył się do snu, zerwał się teraz na równe nogi i zarżał radośnie. Z ciekawością wystawił głowę nad drzwiami do boksu i rozejrzał się po przejściu.

- Nie wiedziałem, że poza Siriusem masz jeszcze jednego konia. - Tim pokręcił głową, jakby był przekonany, że wie o mnie wszystko.

Otworzyłam drzwi do boksu, a Fritzi przywitał się ze mną, przesuwając mokrym nosem po mojej twarzy. Oczywiście miałam dla niego kostkę cukru w kieszeni.

Tim okiem znawcy przyjrzał się wierzchowcowi.

- Ależ piękne zwierzę! - powiedział, nie kryjąc uznania. - Ogier?

- Tak. Ma cztery lata. Urodził się dokładnie w moje urodziny, dlatego tata mi go podarował. Kiedy skończył rok, miał poważny wypadek. Tata chciał go wtedy uśpić, bo weterynarz stwierdził, że nigdy nie będzie mógł skakać. Ale że koń był mój, nie mógł mnie zmusić, żebym to zrobiła. Pielęgnowałam go, aż wyzdrowiał, a od roku na nim jeżdżę.

- Jak z ranami?

- W tej chwili nie ma po nich śladu. Biega, jakby nic mu nigdy nie było.

- Piękny - stwierdził Tim jak zawodowy handlarz. - Pochodzenie?

- Ojcem jest For Pleasure, matka pochodzi od Grannusa - wyjaśniłam z dumą.

Tim zagwizdał z uznaniem.

- Już samo pochodzenie wystarczy, żeby go zatrzymać. - Pokiwał głową.

- Dla mnie pochodzenie nie ma znaczenia. - Pogłaskałam go po pysku.

Serce nie biło mi już jak szalone i od czasu do czasu mogłam spojrzeć na Tima, nie zapominając przy tym oddychać.

- Fritzi jest wspaniałym koniem i ma cudny charakter. Jazda na nim to prawdziwa przyjemność, choć na razie dosiadam go w największej tajemnicy, żeby tacie nie przyszło do głowy wystawić go na sprzedaż. Szczególnie teraz, kiedy liczą się z każdym centem.

- Co masz na myśli?

Nie wiedziałam, czy Tim naprawdę nie zdawał sobie sprawy z trudnej sytuacji finansowej naszej stadniny i czy w ogóle powinnam mu o tym mówić. Z drugiej strony to nie była żadna tajemnica, bo prędzej czy później i tak by się dowiedział. W świecie koniarzy nie dało się ukrywać takich informacji przed innymi.

- Rodzice od jakiegoś czasu mówią tylko o pieniądzach - wyjaśniłam w końcu. - Ale o tych, których nam brakuje.

- Każdy ma jakieś długi. - Tim wzruszył ramionami. - To jeszcze nie jest tragedia.

- Ale sześćset tysięcy euro to już jest tragedia.

- Ile? Sześćset tysięcy euro? - Tim wybałuszył oczy. - Jak to się stało?

Zamknęłam drzwi do boksu i usiadłam na balocie słomy.

- Moi rodzice zadają to samo pytanie - wyjaśniłam z trudem. - Dziadek nabrał różnych pożyczek i nagle bank sobie przypomniał, że chciałby pieniądze z powrotem. Zagrozili licytacją stadniny. Tata musiał przejąć ją razem z długami, bo inaczej należałaby już do kogoś innego. Teraz myślą, jak spłacić zaległości.

Nagle sobie uświadomiłam, komu ja to wszystko opowiadam. Nawet jeśli Tim był fajnym chłopakiem, to przecież nazywał się Jungblut, a rodzice od dzieciństwa wpajali mi wrogość wobec tej rodziny.

- Nikomu o tym nie mów, dobrze? - poprosiłam.

- O rany, ty myślałaś, że przyszedłem tu na przeszpiegi? - Tim zrobił urażoną minę.

- Przepraszam... - Przełknęłam głośno ślinę. - Nie miałam nic złego na myśli, tylko... tylko... że ty... chyba rozumiesz...

- Nie ma o czym mówić. - Wykrzywił lekko twarz i oparł się o drzwi boksu. - Skakałaś już na nim?

- No jasne! - Wstałam i podeszłam bliżej. - Na początku tylko w plenerze, ale teraz czasem zdarza się, że jak taty nie ma, to biorę go na maneż albo do ujeżdżalni.

- I jakie wrażenia?

- Genialnie skacze. Czuję, że sprawia mu to wielką przyjemność. Czasem wybija się tak wysoko, że z trudem trzymam się na jego grzbiecie.

Spojrzałam z czułością na mojego konia, który żuł siano i przyglądał się nam podejrzliwie. Tim był kimś obcym, więc Fritzi trzymał się na dystans.

- Myślałam już o tym, że musiałabym zacząć z nim jakieś regularne treningi, żeby w przyszłym roku zrobić mu ocenę stylu. Tylko że na razie nie mam jeszcze zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. Jeśli tata zobaczy, jak wspaniale skacze, na sto procent mi go zabierze.

- Mógłbym ci pomóc - zaproponował Tim.

Uśmiechnęłam się radośnie, ale zaraz pokręciłam strapiona głową.

- Nie, to raczej nie wypali - powiedziałam ze smutkiem. - Wiesz, co by było, gdyby do ujeżdżalni wszedł tata? Albo Christian?

- Ty chyba nie myślałaś, że chciałem cię trenować tutaj? - odparł Tim i zmarszczył czoło.

- Tutaj się nie da. U was też odpada. To zbyt daleko. Jak miałabym tam jeździć?

- Zgadza się. A mój ojciec byłby pewnie równie zachwycony jak twój. - Tim sięgnął po źdźbło słomy i zamyślony wsunął je sobie do ust.

Byłam bardzo ciekawa, czy chociaż on wie, dlaczego nasze rodziny są tak strasznie skłócone. Kiedy już chciałam go o to zapytać, jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Mam świetny pomysł - powiedział. - Wiesz, gdzie jest polana przy przewróconej ambonie? Pośrodku lasu?

- No pewnie, że wiem. - Las znałam jak mało kto.

- Ta łąka jest nasza - chłopak mówił dalej. - Tylko raz w roku zbieramy na niej siano, a poza tym nikt tam nie zagląda. Poza tym znam leśniczego, bo to mój wujek. Tobie dojazd zajmie nie więcej niż trzy kwadranse, a ja, jak śmignę przez pola, będę na miejscu w tym samym czasie. Będzie trzeba zorganizować kilka przeszkód i możemy zaczynać tajne treningi.

Wpatrywałam się w niego jak zaczarowana.

- Masz czas na takie coś? - zapytałam, bo wiedziałam przecież, że po szkole Tim musi pracować w stajniach ojca.

- Coś się wymyśli - powiedział beztrosko. - Ojca i tak cały czas gdzieś nosi.

Serce znów mi przyspieszyło. Nie tylko pojawiła się szansa, żeby zacząć trenować z Fritzim, ale mogłabym też widywać się regularnie z Timem! Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, chłopak spojrzał na zegarek.

- Niech to cholera! - zaklął. - Już szósta! A ja jeszcze muszę poroznosić paszę!

Wyszliśmy na dwór. Zawody już się skończyły, bo ujeżdżalnia była pusta, za to przed wejściem kłębił się tłum ludzi i koni. Zwierzęta były ładowane do przyczep, silniki pracowały, a reflektory sprawiały, że zrobiło się jasno jak w dzień. Przejście tą drogą nie było dobrym pomysłem.

- Jak właściwie się tu dostałeś? - zapytałam z ciekawością.

- Moim motorowerem. Zostawiłem go przed wjazdem, w krzakach.

- Dobra, to chodź, obejdziemy ujeżdżalnię tyłem. - Skręciłam, żeby ominąć gości. - Tam nas raczej nikt nie zobaczy.

Tim ruszył za mną. Za halą panowała ciemność, że oko wykol, bo chmury zasłoniły księżyc.

- Elena? Gdzie jesteś? - zapytał głośnym szeptem, a zaraz potem zaklął. - Au! Niech to diabli, co wy tutaj trzymacie?!

Dziadek gromadził za ujeżdżalnią wszystkie sprzęty, których nikt już nie używał, a mogły się jeszcze przydać. Można tu było znaleźć puste beczki, połamane drągi z przeszkód, stare opony od traktorów i samochodów oraz wszelkiego rodzaju rupiecie.

- Tutaj, zaraz przed tobą. - Zatrzymałam się. Moje oczy szybko przyzwyczaiły się do ciemności i mogłam dostrzec zarys sylwetki Tima.

Chłopak musiał na coś nadepnąć, bo zatoczył się i wpadł na mnie. Niewiele brakowało, a oboje wylądowalibyśmy na ziemi.

- Przepraszam... - wymamrotał. - Nie widziałem cię.

Serce biło mi tak głośno, że musiał je słyszeć. Byłam z nim sam na sam i otaczała nas ciemność. Stał tuż obok, czułam jego oddech na twarzy. Wtedy odważyłam się zrobić coś niewiarygodnego - chwyciłam go za rękę, która mimo chłodu była bardzo ciepła, i dalej poszliśmy razem. Nie próbował mnie puścić, dopóki nie dotarliśmy do krzaków, w których ukrył swój motorower.

- Cieszę się, że przyjechałeś - powiedziałam zduszonym głosem.

Wiatr przegonił nieco chmury i niespodziewanie zrobiło się jaśniej. Mogłam dostrzec jego twarz i... i jego motorower.

- O rany, co to jest?! - zapytałam i wytrzeszczyłam z niedowierzaniem oczy.

Dzisiaj każdy jeździł skuterem, który jakoś wyglądał. Ale takiego czegoś, na czym przyjechał Tim, jeszcze nigdy nie widziałam. Miał wydłużony bak i siedzenie, które wyglądało tak, jakby ktoś zmniejszył motocykl.

- Odlot, co? - Tim wyszczerzył z dumą zęby i puścił moją dłoń. - Nie mogę jeszcze jeździć dużą maszyną, a to cudo znalazłem w zeszłym roku w stodole. Trochę pracy i proszę bardzo.

- Eee... hm... a co to w ogóle jest?

- Zabytek. To Hercules G3 z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. Ojciec ma do niego wszystkie papiery. - Zdjął kask z kierownicy i poklepał siedzenie. - Na skuterach jeżdżą teraz wszyscy, to nie robi na nikim wrażenia. Ale mogę się założyć, że w całej okolicy nikt nie ma drugiego Herculesa G3.

Nie miałam innego wyjścia, jak uwierzyć mu na słowo. Bez najmniejszych

wątpliwości ta maszyna była... inna. Tak samo jak Tim był inny niż wszyscy chłopcy, których znałam. Nie wiem dlaczego, ale pasowali do siebie, on i jego Hercules. I to mi się podobało.

- Ja też świetnie się dzisiaj bawiłem. - Tim wsiadł na motorower, wygrzebał z kieszeni kluczyk i wsunął go do stacyjki. - Ale muszę już uciekać. Jutro rano sprawdzę łąkę, czy się nada. Widzimy się w poniedziałek?

- Super. - Potaknęłam. - Uważaj na siebie.

- Ty też. - Jeszcze raz się do mnie uśmiechnął, po czym nałożył kask, uruchomił zabytkowy pojazd i odjechał.

Odprowadziłam go wzrokiem do samej ulicy, a kiedy zniknął za zakrętem, słuchałam oddalającego się warkotu silnika. W końcu i on ucichł w oddali. Stałam tam jeszcze kilka chwil. Potem odwróciłam się i spokojnym krokiem poszłam do stadniny. Dziwne było uczucie samotności, które opanowało mnie całkiem niespodziewanie. Mimo to nie ciągnęło mnie przed ujeżdżalnię, gdzie wciąż panował rozgardiasz. Najchętniej posiedziałabym jeszcze trochę sama i pomyślała o Timie. O chłopaku, który mimo pogody wsiadł na zabytkowy motorower i przyjechał do mnie, ryzykując, że Christian albo ktoś inny go zauważy. Westchnęłam głęboko i przełknęłam łzy, które cisnęły mi się do oczu. O rany, co się ze mną działo? Nie byłam przecież smutna, ale... Przystanęłam.

- Chyba się zakochałam... - wyszeptałam.

Niech to diabli! Ale się porobiło! Ja byłam zakochana! I to zakochana w chłopaku, z którym nie wolno mi było nawet rozmawiać. Dlaczego akurat on musiał być synem Richarda Jungbluta? Tata urwałby mi głowę albo dał szlaban na sto lat, gdyby się dowiedział, co się działo. W tym momencie przypomniałam sobie o przyjaciółce. Oby jeszcze nie pojechała do domu! Nagle mój smutek pierzchnął. Nieważne, jakie jeszcze przeszkody będę musiała pokonać, bo przecież miałam powód, by skakać pod niebo! I koniecznie, absolutnie koniecznie musiałam podzielić się tym z Melike.

Rozdział 12

W PONIEDZIAŁEK RANO MAŁO nie przewróciłam się z zaskoczenia, kiedy w autobusie zauważyłam Tima. Zazwyczaj uczniowie z Hettenbach jechali bezpośrednio do Königshofen, a nie połączeniem, które prowadziło dookoła, żeby zahaczyć o Steinau. Tim siedział w ostatnim rzędzie. Skinął głową, kiedy zobaczył, jak wsiadam na przystanku. Puls skoczył mi oczywiście z osiemdziesięciu na dwieście uderzeń na minutę, a ja wbiłam Melike łokieć pod żebra, bo chciała usiąść na jednym z przednich siedzeń.

- Tam z tyłu! - syknęłam. - Tim!

Melike się obejrzała i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Eee, nie, no co ty! - powiedziała z kpiną. - Ty masz przecież aparat na zęby i pryszcze!

Zrobiłam się czerwona jak burak.

- Ale z ciebie podła krowa.

- Wiesz co? - Melike znów się uśmiechnęła. Dotarłyśmy do Tima. - Hej, Tim. Polubiłeś jazdę autobusem, że wybrałeś objazd?

- Cześć! - Zerwał się i zrobił nam miejsce, żebyśmy zmieściły się na dwa ostatnie wolne siedzenia. - Nie, po prostu za wcześnie dotarłem na przystanek i pomyślałem, że pojadę sobie przez Steinau.

Siedzenie tuż obok niego niemal przerastało moje możliwości. Na każdym zakręcie usiłowałam się nie przechylać, aż w końcu poczułam skurcze w nodze od zapierania się, by go nie dotknąć.

- Byłeś na tej łące? - Zmusiłam się, żeby zadać to pytanie obojętnym tonem, choć od

naszego spotkania nie myślałam o niczym innym.

- Tak, sprawdziłem ją. Niestety, nie jest równa. Ma za dużo dziur.

- Aha. - Poczułam rozczarowanie. Czyli koniec z zaplanowanymi treningami.

- Ale znalazłem coś znacznie lepszego - Tim mówił dalej. - Wiecie, gdzie jest plac do tresury psów w Königshofen? Ten przy kamiennym krzyżu.

- Tak, pewnie. Należy do Rudiego Weitzela.

- Właśnie. - Pokiwał głową. - Kilka lat temu ludzie ze związku hodowców owczarków strasznie się z nim pokłócili i od tego czasu plac stoi pusty. Wczoraj tam pojechałem i zapytałem, czy mógłbym zimą z niego korzystać.

- Serio?! - krzyknęłyśmy z Melike unisono.

Ta łąka była jeszcze lepiej zlokalizowana niż pierwsza, którą zaproponował Tim. Mogłam dojechać do niej skrajem lasu albo przez środek, obok starej leśniczówki. Najwyżej pół godziny drogi ze stadniny!

- Weitzel wynajął mi całą łąkę. - Tim uśmiechnął się tryumfalnie. - I nie ma mowy, żeby komuś się wygadał, bo i tak nikt z nim nie rozmawia.

Tutaj Tim miał rację. Rudi Weitzel był jednym z ostatnich prawdziwych rolników w okolicy i powszechnie uważano go za postać dość odrażającą.

- Niesamowicie! - Nie kryłam zachwytu. - Ale jak przetransportujemy tam przeszkody?

- Jak mój ojciec gdzieś wyjedzie, załaduję na przyczepę kilka starych przeszkód, których już nie używamy, i zwiozę je traktorem.

Tim nadał treningom kryptonim projekt Fritzi i wszystko starannie przemyślał.

- Do lata na pewno nic się nie wyda, bo i tak przez całą zimę skaczemy na krytej ujeżdżalni, a tam mamy inne przeszkody.

- Najchętniej zaczęłabym jeszcze dzisiaj po południu. - Z podniecenia nie mogłam usiedzieć spokojnie. - Jaka szkoda, że nie możesz po prostu do nas przyjechać. Oszczędziłoby to nam tyle roboty.

- Ominęłoby nas za to całe napięcie i atmosfera - odparł Tim i szybko stwierdziłyśmy z Melike, że miał sporo racji.

Nieco później, kiedy autobus wjechał na dworzec i zatrzymał się na przystanku, uczniowie zaczęli wysiadać.

- Dam znać, jak wszystko będzie gotowe - powiedział Tim i zniknął w tłumie dzieciaków.

Ledwie straciłam go z oczu, pogorszył mi się humor, a w gardle poczułam nieprzyjemną kluchę.

- O rany, on jest naprawdę nieziemski - stwierdziła Melike.

- Gdyby tylko Christian go tak nie nienawidził! - mówiłam piskliwym i zrezygnowanym głosem. - W szkole nie mogę zamienić z nim nawet dwóch słów, żeby brat nas gdzieś nie wypatrzył.

- Spokojnie, uzbrój się w cierpliwość, moja droga - poradziła Melike. - Może kiedyś samo z siebie im przejdzie i będzie dobrze.

- Kiedyś! A jeśli to „kiedyś” miałoby trwać dziesięć lat?

Wiem, że to było głupie, ale czułam, jak łzy napływają mi do oczu. Do diabła, co się ze mną działo, że ilekroć Tim odchodził, a ja zostawałam sama, zaczynałam płakać?

Już cztery dni później, w autobusie powrotnym, Melike zrobiła bardzo tajemniczą minę.

- Co się dzieje? No mów! - zapytałam niecierpliwie.

- Dzisiaj po południu! - wyszeptała i uśmiechnęła się szelmowsko.

- Co dzisiaj po południu? Oj, Melike, no nie rób już tajemnicy! Tim ci coś powiedział czy co? - nie dawałam za wygraną.

- Możemy rozpocząć projekt Fritzi. O trzeciej mamy być przy kamiennym krzyżu. Stary Jungblut wyjechał na kilka dni do Belgii, a Tim obiecał, że przywiezie tyle przeszkód, ile tylko zdoła.

- Rany, genialnie! - rozpromieniłam się. - W końcu zaczynamy!

- Dzisiaj pomożemy w rozładunku i ustawianiu przeszkód. A jutro może się odbyć pierwszy trening. - Melike zaśmiała się radośnie.

- Tim zrobi wielkie oczy, kiedy zobaczy Fritziego w akcji. - Nie mogłam się tego doczekać.

Wysiadłyśmy na przystanku przed ratuszem i umówiłyśmy się na wpół do trzeciej, żeby zdążyć przejechać rowerami ze stadniny do kamiennego krzyża.

Nie mogłam się doczekać, aż wybije wpół do trzeciej. Czas ciągnął się niemiłosiernie, ale w końcu nadeszła pora.

- Mamo, wychodzę do stajni! - krzyknęłam, mijając drzwi do biura mamy.

Twix czekał niecierpliwie, aż przy drzwiach włożę buty, a potem ruszyliśmy w drogę.

Wpadłam do stajni, niemal zderzając się z Pryszczolem, który stał przy bramie i rozmawiał przez komórkę.

- Uważaj, jak chodzisz, Smarkulo! - krzyknął i rzucił mi złe spojrzenie.

Zupełnie nie zwracałam na niego uwagi i nie zatrzymując się, pobiegłam dalej. Melike już na mnie czekała.

Chwilę później pchałyśmy rowery piaszczystą drogą wzdłuż padoku i maneżu, którą można było dotrzeć do lasu. Ścieżki w lesie były całkiem suche, więc tam poruszałyśmy się znacznie szybciej. Po dwudziestu minutach dojechałyśmy do dawnego placu do tresury psów. Mimo że miejsce znajdowało się na skraju lasu, było tak ukryte, że ktoś musiałby mieć wielkie szczęście, żeby nas tam zauważyć.

Oparłyśmy z Melike rowery o ścianę szopy, którą właściciel postawił na skraju polany, i umilałyśmy sobie czekanie na Tima, rzucając Twiksowi aport.

Popołudnie było chłodne, ale słoneczne. Drzewa mieniły się cudowną feerią ognistych kolorów, drżących przy każdym podmuchu wiatru. Jesienne liście wirowały potem w powietrzu i opadały na ziemię niczym ogniste confetti. Już wkrótce las miał się stać całkiem nagi. Czułam w powietrzu zapach mokrej ziemi i ognia, który ktoś gdzieś musiał zapalić.

Po jakimś czasie usłyszałyśmy najpierw terkot traktora, a krótko potem zza zakrętu wynurzył się prastary czerwony McCormick. Biegiem ruszyłyśmy Timowi na spotkanie i aż przystanęłyśmy z wrażenia, kiedy się okazało, że całą przyczepę ma załadowaną przeszkodami. Tim wjechał na łąkę, zatrzymał ciągnik i wyskoczył z szoferki.

- Cześć! - krzyknął i wskazał na przyczepę. - Chyba starczy na początek, nie sądzicie?

- O rany! - Melike złapała się za głowę. - Zostawiłeś cokolwiek w stadninie? Macie jeszcze przez co skakać? To jakieś szaleństwo!

- I sam to wszystko załadowałeś? - Nie mogłam się nadziwić.

- Własnymi rękoma! - Tim uśmiechnął się szeroko, a ja miałam ochotę go objąć. - Ale teraz do roboty. Muszę wrócić, zanim zrobi się ciemno, bo traktor nie ma świateł.

Włożyłyśmy rękawice robocze, które przywiozłam na bagażniku, i zabrałyśmy się do rozpakowywania belek.

- Niestety, mogłem wziąć tylko stary sprzęt. - Tim pokręcił głową. - Gdybym zabrał coś nowego, stary natychmiast by zauważył.

Stojaki do drągów, zrobione ze starych opon zalanych betonem, były tak ciężkie, że ciągnęłyśmy je z Melike we dwie i tak z wielkim trudem dawałyśmy radę.

Po godzinie pracy rozładowaliśmy z przyczepy dziesięć stojaków, trzydzieści drągów i cztery cavaletti i ustawiliśmy wszystko na łące. Tim przywiózł jeszcze kilka kostek słomy, żeby na wszelki wypadek położyć je pod przeszkodami. Byłam zachwycona, widząc cały szereg ćwiczebny i dodatkowo dwie stacjonaty gotowe do przejazdu. Wszystko wyglądało naprawdę profesjonalnie. Wycieńczona i spocona usiadłam na pustej przyczepie.

- Projekt Fritzi uważam niniejszym za rozpoczęty - oznajmiła Melike zadowolonym głosem. - W przyszłym roku wszystkim wyjdą oczy na wierzch.

- Spokojnie! - Uniosłam ręce.

- Gadanie. - Melike potrząsnęła energicznie głową. - Fritzi jest genialny. Jedyne, czego mu brakuje, to regularnych treningów skokowych, a teraz właśnie ma szansę je rozpocząć.

- Jestem niesamowicie ciekaw tego konia. - Tim mrugnął do mnie. - Z tego, co mówi Melike, wynika, że mogę się spodziewać kogoś w rodzaju drugiego Sandro Boya.

- Sandro Boy to przy nim pikuś. - Melike nie miała najmniejszych wątpliwości, który z koni jest lepszy.

- Przestań opowiadać takie rzeczy! - Skrzywiłam się. - Przecież nie można porównywać Friztiego z koniem ze światowej czołówki.

- Jeszcze zobaczymy. - Tim zeskoczył z przyczepy i ukłonił się. - Szanowne panie, proszę wysiadać! Zaraz będzie ciemno, więc muszę lecieć. Jutro o tej samej porze, tak? Tylko nie zapomnij Fritziego! Chętnie dam się zaskoczyć.

- Umowa stoi! - Zeskoczyłyśmy na łąkę. - I jeszcze raz wielkie, wielkie dzięki!

- Nie ma za co! - Tim uruchomił silnik traktora i pomachał nam na pożegnanie.

Patrzyłyśmy, jak jedzie przez łąkę, a potem znika za zakrętem. Wróciłyśmy do szopy i zabrałyśmy rowery.

Rozdział 13

NIESPODZIEWANIE PRZYSZŁA MI do głowy zupełnie nowa myśl. Spojrzałam szybko na zegarek. Było dwadzieścia pięć po czwartej, więc miałyśmy sporo czasu, zanim zapadnie ciemność.

- Pamiętasz, jak mówiłam ci o koniach, które znalazłam w starej leśniczówce nad jeziorem? - zapytałam Melike. - Może byśmy tam zajrzały i sprawdziły, co się dzieje?

Moja przyjaciółka oczywiście natychmiast zapaliła się do tego pomysłu. Ostatnio jakoś nie miałam głowy do myślenia o swoim odkryciu, bo dookoła działo się zbyt wiele pasjonujących rzeczy. Teraz byłyśmy tak blisko, że musiałam sobie o tym przypomnieć. Gdybym częściej miała jeździć na naszą łąkę na treningi, droga przez las, obok starej leśniczówki byłaby dogodnym skrótem. Wolałam jednak być pewna, że przez przypadek nie trafię nieproszona na spotkanie jakichś koniokradów.

Popedałowałyśmy przez jesienny las, a przy parkingu skręciłyśmy w wąską ścieżkę, która prowadziła prosto do jeziora. Nie było tutaj żadnych wygodnych traktów turystycznych, więc musiałyśmy jechać bardzo ostrożnie, żeby na coś nie wpaść - robotnicy oczyszczający jesienią las zostawili tu i ówdzie spore gałęzie.

Między drzewami robiło się już ciemno, ale dzięki temu z daleka było widać, że leśniczówka jest zamieszkana - w środku paliło się światło, a okna były otwarte na oścież.

- Cholera - wymamrotałam i stanęłam.

Melike zatrzymała się obok. Potem ukryłyśmy rowery, a ja zawołałam Twiksa i zapięłam go na smycz, którą wcześniej przewiązałam się w pasie. Przez las podkradłyśmy się bliżej. Dopiero w ostatnim wydaniu „Przeglądu Jeździeckiego" pojawiła się krótka informacja o pladze kradzieży koni. Złodzieje grasowali w całych Niemczech, Belgii i Holandii, skupiając się tylko na młodych osobnikach z dobrym rodowodem. Schowane za wysokimi krzakami przez chwilę obserwowałyśmy dom i obejście. Zwróciłam uwagę na parę unoszącą

się z kupy gnoju. Na dworze było zimno, a odchody musiały być w miarę świeże - a to oznaczało, że wciąż są tam konie! Nagle obleciał mnie strach.

- Melike, zwiewajmy stąd - wyszeptałam.

- Cii - zaprotestowała przyjaciółka. - Najpierw musimy się trochę rozejrzeć!

I zanim zdążyłam ją zatrzymać, pobiegła w stronę zabudowań gospodarczych. Przez kilka sekund walczyłam ze sobą, ale w końcu uznałam, że za żadne skarby świata nie mogę zostawić jej samej, więc ruszyłam za nią. Za domem stał stary wóz do przewozu koni. Miał otwartą i opuszczoną rampę załadowczą. Tuż obok parkował samochód osobowy z przyczepą.

- Co to są za numery? - szepnęła Melike, wskazując na tablicę rejestracyjną.

RE? SL? Nie miałam pojęcia. Wzruszyłam ramionami i pobiegłam za przyjaciółką, która błyskawicznie przemykała przez podwórze. Drzwi do szopy stały otworem. Było jeszcze wystarczająco jasno, żeby się przekonać, że wszystkie boksy w środku są zajęte.

- Ostatnim razem widziałam tylko dwa konie - wysapałam i przyjrzałam się zamkniętym zwierzętom. Wierzchowce łypały na mnie z zainteresowaniem, strzygąc nerwowo uszami. - I to zupełnie inne!

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. - Potaknęłam zdecydowanie.

- No to bosko. - Melike podeszła do jednego z koni, który wystawił łeb nad drewnianymi drzwiami boksu, i pogłaskała go.

- Ciekawe, co oni z nimi robią? No bo zobacz, tutaj nie ma ani padoku, ani maneżu. Myślisz, że każą im ciągle stać w miejscu?

- Pewnie nie trzymają ich tu zbyt długo - powiedziałam, walcząc z Twiksem szarpiącym się na smyczy, do której nie był przyzwyczajony. Psina wolałaby biegać

swobodnie i polować na myszy.

W tym momencie zaskrzypiały drzwi i usłyszałyśmy czyjeś głosy. Strach mnie sparaliżował. Było już za późno na ucieczkę.

- Szybko! - syknęłam do Melike. - Na górę, na bele siana!

W mgnieniu oka wspięłyśmy się na bele siana i przytuliłyśmy do ściany. Twix nadstawił uszu.

- Tylko trzymaj pysk na kłódkę! - ostrzegłam go i położyłam mu dłoń na nosie.

Drewniana weranda zatrzęsła się pod czyimiś ciężkimi krokami, a chwilę później zachrzęścił żwir na podwórzu. W kierunku szopy zmierzało dwóch mężczyzn. Przed wejściem zatrzymali się na papierosa. Na tle jaśniejszego kwadratu wejścia wyraźnie widziałam zarys ich sylwetek. Oby tylko nie chcieli wejść do środka! Wstrzymałam oddech i wtuliłam się w siano.

-...trochę mało tu miejsca - powiedział jeden z nich. - Interes szedłby znacznie lepiej, gdyby było z dziesięć boksów więcej.

- Tylko że on się nie zgadza - odparł mu drugi mężczyzna. - Wielka szkoda. Mógłby zrobić na tym majątek. Wiem przynajmniej o dziesięciu koniach z okolicy, które moglibyśmy mu naraić.

Siedziałyśmy z Melike w ciemności szopy i nie wierzyłyśmy własnym uszom. Bez najmniejszych wątpliwości nieznajomi mężczyźni mówili o koniach, które chcieli ukraść i przywieźć do leśniczówki. Nagle poczułam lodowate dreszcze. Jeśli się zorientują, że ich słyszałyśmy, na pewno nie pozwolą nam tak po prostu odejść.

- No tak - zgodził się pierwszy mężczyzna. - Ja też widziałem kilka, które by się nadały, i to w Holandii, i w Belgii. Ale dopóki się tu ukrywa i udaje leśnika...

Twix warknął głucho i spróbował się uwolnić z mojego uścisku. Nie odważyłam się

nic mu powiedzieć i tylko modliłam się, żeby nie zaczął szczekać.

W końcu mężczyźni gdzieś sobie poszli. Przez chwilę panowała taka cisza, że mogłyśmy usłyszeć stukanie zębów przeżuwających koni. Jeden z nich zarżał cicho, a zaraz potem Melike kichnęła.

- To kurz z siana - wyjaśniła, robiąc przepraszającą minę.

Słyszałyśmy, jak mężczyźni na zewnątrz się żegnają, a potem trzasnęły drzwi samochodu i rozległ się warkot silnika. Światła reflektorów przecięły gęstniejący mrok w stajni, a potem znów zrobiło się ciemno.

W końcu odważyłam się puścić pysk Twiksa. Pies otrząsnął się energicznie i mnie polizał.

- No dalej - szepnęłam. - Spadamy stąd.

Tym razem Melike się ze mną nie sprzeczała. Na czworakach zeszłyśmy z beli siana i zjechałyśmy na podłogę. Na dworze zrobiło się całkiem ciemno. Jezioro sprawiało obce i nieprzyjemne wrażenie, a księżyc odbijał się w czarnej tafli. Miałam nadzieję, że rodzice jeszcze nie rozpoczęli akcji poszukiwawczej!

Nagle rozległo się głośne rżenie, a Twix zaczął warczeć. Usłyszałam czyjeś kroki. O, do diabła! Czyli nie wszyscy odjechali! Chwyciłam Melike za rękę i pociągnęłam ją za sobą, ale nagle włączył się reflektor przy drzwiach i podwórze zalało jasne światło. Oślepiona osłoniłam oczy dłonią i z przerażeniem się rozejrzałam. Niecałe pięć metrów od nas stał jakiś mężczyzna - prawdziwy olbrzym z gęstą, ciemną brodą. A w dłoni trzymał siekierę.

- Co się tu, do diabła, dzieje?! - Jego głos dudnił jak grzmot.

Byłam sparaliżowana strachem, lecz kiedy zrobił krok w naszym kierunku, obudziłam się z letargu, odwróciłam i ruszyłam biegiem tak szybkim, jak jeszcze nigdy w życiu.

Rozdział 14

- MUSIMY TO zgłosić na policję! - Melike dyszała jak koń wyścigowy po przekroczeniu linii mety. - I to koniecznie!

- Nie ma mowy! Nigdy! - Potrząsnęłam energicznie głową.

Teraz, kiedy zostawiłyśmy za sobą ciemności lasu, a niecałe sto metrów od nas mrok rozświetlały znajome latarnie naszej stadniny, nie czułam już tak panicznego strachu. Zeskoczyłam z roweru, rozprostowałam ramiona i odetchnęłam kilka razy głęboko.

- O rany, Elena! - powiedziała Melike. - To koniokrady, o których pisali w gazetach! Jeśli nikogo nie zawiadomimy, to zginą kolejne konie, zobaczysz!

- Mam to gdzieś - powiedziałam i ruszyłam, pchając rower piaszczystą drogą. W głowie wirowały mi setki myśli, lecz i tak na końcu zawsze pozostawała tylko jedna. Trening z Fritzim na łące w lesie.

- O nie, moja kochana, poczekaj! - zawołała przyjaciółka, więc stanęłam.

- Jeśli moi rodzice się dowiedzą, że w tajemnicy jeżdżę sobie po lesie, to mnie zabiją - wyjaśniłam teatralnym szeptem. - A dowiedzą się, kiedy pójdziemy na policję.

Melike patrzyła na mnie, nie wiedząc, co myśleć.

- Ty chyba sobie żarty stroisz, co? - odparła, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Ten troll z siekierą chciał nas porąbać na kawałki, a ty nic nie zamierzasz z tym zrobić? NIC?

- Nie, to nie jest do końca tak, że nic nie chcę zrobić. - Nerwowo szukałam najodpowiedniejszych słów, żeby wyjaśnić najlepszej przyjaciółce, na czym polegał mój problem. - Bo widzisz, nie mogę sobie teraz pozwolić na kłótnie z rodzicami. Gdybym im podpadła, musiałabym zapomnieć o treningach. Łapiesz?

Melike potaknęła spokojnie.

- No, to przynajmniej brzmi logicznie - zgodziła się w końcu. - I pewnie masz rację.

W zamyśleniu przygryzła dolną wargę. Wprowadziłyśmy rowery pod stajnię.

- Mimo wszystko coś musimy zrobić - stwierdziła Melike. Nagle uśmiechnęła się szeroko. - No tak! Oczywiście! Zadzwonię na policję z zastrzeżonego numeru i powiem, że powinni sprawdzić chatę w lesie! Co o tym myślisz?

W przeciwieństwie do mnie, Melike posiadała telefon komórkowy, którego jej strasznie zazdrościłam. Telefon na policję nie był złym pomysłem, więc uznałam kompromis za możliwy do zaakceptowania. Kiedy policja pojedzie sprawdzić leśniczówkę i aresztuje koniokradów, wiadomość rozniesie się po okolicy i wszyscy będą o tym mówić. Jak już złodzieje znajdą się w więzieniu, rodzice nie będą mieli powodu, żeby zabraniać mi jeździć po polach.

Odezwała się komórka Melike. Dzwoniła jej matka. Chciała wiedzieć, gdzie się podziewa. Pożegnałyśmy się szybko i przyjaciółka ruszyła do domu.

Wepchnęłam rower do stajni i zajrzałam do dużej ujeżdżalni. Christian siedział na Quintano, jednym z koni pana Nötzlego, nad którym pracował tata i nieszczególnie mu szło. Z ciekawością podeszłam do bandy. Tata ustawił dość niski szereg zakończony okserem, a brat usiłował nakłonić nerwowego konia do pierwszego skoku. Gniady wałach miał już szyję pokrytą białymi płatami piany. Poderwał nerwowo głowę i stanowczo zbyt szybko ruszył w stronę szeregu.

- Odejście! - polecił tata.

Christian musiał bardzo się starać, żeby zachować jako taką kontrolę nad wierzchowcem. Zaklął i zrobił paradę.

- Tak się nie da! - W głosie taty słychać było złość. - Nie zmuszaj go! Powinieneś dać

mu jechać!

- Przecież próbuję! - odpowiedział mój brat, też podenerwowany. - Ale ledwie wychodzę z zakrętu. Ten rzuca się naprzód jak idiota.

Wycofałam się niepostrzeżenie i wyszłam z hali. Ciekawe, czy Melike już zadzwoniła na policję? Może da mi później znać. Zamyślona ruszyłam w stronę domu. W gospodzie były zgaszone światła, a na parkingu brakowało samochodu dziadka. Przed garażem nie zobaczyłam też golfa mamy.

Drgnęłam przestraszona, kiedy z ciemności wyłonił się jakiś cień i ruszył w moją stronę.

- O rany, to ty, Robbie! Jesteś już głodny, co?

Zdjęłam buty, ze skrytki pod wycieraczką wyjęłam klucz i otworzyłam drzwi. Twix przepchnął się obok i wskoczył do ciepłego domu. Berneńczyk został posłusznie na zewnątrz. W kuchni przygotowałam jedzenie dla obu psów, choć zazwyczaj robi to mama. Potem postawiłam miskę Robbiego przed drzwiami, a Twiksowi dałam jeść w kuchni.

Zbliżała się siódma. Wyszłam na korytarz, wzięłam słuchawkę z podstawki i wybrałam numer domowy Melike. Odebrała moja przyjaciółka.

- I co, zadzwoniłaś już? - zapytałam podekscytowana.

- Nie, jeszcze nie miałam odwagi - wyszeptała Melike. - W policji mają jakieś swoje triki i nawet jak zastrzegę numer, to oni i tak potrafią go odczytać.

W duchu poczułam ulgę. A kiedy jutro pojadę z Fritzim na trening, wybiorę tę samą drogę, którą dzisiaj jechałyśmy z Melike na spotkanie z Timem.

Przez okno zobaczyłam światło reflektorów. Samochód podjechał pod garaż i się zatrzymał.

- O, moja mama wróciła - powiedziałam. - To widzimy się jutro! Pa!

Odstawiłam telefon i wbiegłam schodami na piętro. Niezależnie od Fritziego, Tima i Leśnego Trolla miałam jeszcze do odrobienia zadanie domowe z matmy i francuskiego.

Rozdział 15

FRITZI BYŁ NIEPOSŁUSZNY. Kładł uszy po sobie i odmawiał skoku przez dziwaczną przeszkodę, którą Tim i Melike wznieśli z kostek słomy, starych opon i folii. Łąka, na której mieliśmy trenować, była nierówna, poryta przez krety i inne gryzonie, a w dodatku tak śliska, że koń co chwila tracił równowagę.

- O rany, co się dzieje, Elena?! - krzyknął zniecierpliwiony Tim. - Dlaczego nie wkręciłaś mu haceli?

W końcu udało mi się zmusić Fritziego do galopu. Jechaliśmy stanowczo zbyt szybko, a na dodatek zbyt wysoka przeszkoda była ustawiona w bardzo złym miejscu. Poprzedniego dnia nie zwróciłam uwagi na to, że zarośnięta łąka leży na tak stromym zboczu! Najazd na wysokiego oksera z tak wielką prędkością był szaleństwem, a mimo to chciałam, żeby Tim zobaczył, ile Fritzi jest warty. Zacisnęłam więc zęby i walcząc ze łzami, popędziłam na przeszkodę. Dlaczego Melike musiała naopowiadać mu tyle niestworzonych historii na temat mojego ogierka?

Tak jak się obawiałam, źle wykonaliśmy najazd na przeszkodę, ale Fritzi i tak się odważył i wybił do skoku. Rozległ się huk i łomot, a drągi, opony i stojaki przeszkody zmieniły się w bezładną ruinę. Koń wpadł w panikę. Szarpnęłam za cugle, ale to nic nie dało. Straciłam nad nim jakąkolwiek kontrolę.

Tim zaśmiał się i potrząsnął głową.

- Sandro Boy?! - krzyknął z kpiną w głosie. - Ktoś tu chyba sobie żartował! I na co ta cała robota? Wiecie co? Ten cały Fritzi to nie żaden ogier, tylko zwykłe cielę!

Z przerażenia odebrało mi mowę i poczułam ukłucie w sercu. Zwykłe cielę! To było chyba naj-naj-najgorsze, co mogłam usłyszeć o swoim koniu!

Kiedy mijałam Tima, zobaczyłam na jego twarzy minę, która odebrała mi resztę

nadziei. Dokładnie tak samo mój ojciec spoglądał na wybitnie pozbawionych talentu uczniów, którzy po dziesięciu latach lekcji jazdy konnej najeżdżają na przeszkodę w ten sam sposób co pierwszego dnia, popełniając dokładnie te same błędy co na początku. To była rezygnacja. Potem Tim się po prostu odwrócił na pięcie i ruszył w stronę traktora, który stał, terkocząc silnikiem, obok przeszkody.

- Poczekaj! - krzyknęłam rozpaczliwie, zanim wsiadł do szoferki. - Tim! Proszę! On naprawdę potrafi dużo więcej!

- Zapomnij! - odpowiedział Tim i zrezygnowany machnął dłonią. - To, co widziałem, całkowicie mi wystarczy. Już nawet ten twój kucyk jest trzy razy bardziej utalentowany.

Nie mogłam powstrzymać łez, po policzkach pociekły mi dwa wartkie potoki. Zeskoczyłam z siodła. Fritzi był cały biały od spienionego potu, a mnie dręczyły wyrzuty sumienia, że w ogóle zmusiłam go do tego skoku. Tymczasem to on mnie jeszcze polizał po twarzy, jakby na pocieszenie!

- Nie! - wyszlochałam. - Fritzi, przestań! Ty... ty cielaku!

Ale on nie przestawał mnie lizać, chociaż tak się odwracałam i wykręcałam. A potem nagle otworzyłam oczy i dotarło do mnie, że to wszystko to był tylko sen! I to nie Fritzi mnie lizał, tylko Twix, który siedział tuż obok mojej twarzy i tak radośnie machał ogonem, że nie mogłam go uspokoić.

Przewróciłam się na bok, żeby spojrzeć na budzik. Kilka minut temu minęła trzecia, czyli dopiero środek nocy!

- Dzięki, że mnie obudziłeś, naprawdę, Twix! - szepnęłam.

Psina przytuliła się mocno, zamruczała radośnie i się przeciągnęła. A ja wytarłam wierzchem dłoni pot z czoła i odetchnęłam głęboko. Na szczęście to był tylko sen. Na szczęście!

Przez całe przedpołudnie chodziłam strasznie spięta. Nic nie mogłam przełknąć i

bałam się, że zaraz eksploduję z nerwów. Nocny koszmar wlókł się za mną jak złowrogi cień i choć cały czas powtarzałam sobie, że to nie jest prawda, nie potrafiłam się uspokoić.

Krótko przed czternastą spotkałyśmy się z Melike w stajni. Powiedziała, że jeszcze nie zadzwoniła na policję, lecz dziś nic a nic mnie to nie interesowało.

Tata wyjechał gdzieś rano dawać lekcje skoków, a Christian siedział w swoim pokoju przy komputerze. Dzięki temu mogłam wyczyścić i osiodłać Fritziego w stajni, a nie w stodole. Bardzo się starałam, żeby doskonale się prezentował, bo chciałam zrobić na Timie jak najlepsze wrażenie.

- Jeśli użyjesz jeszcze trochę sprayu do sierści, to zacznie tak błyszczeć, że ci siodło zjedzie przez zad! - Melike ostrzegła mnie ze śmiechem. - Już świeci jak choinka!

Cofnęłam się kawałek i przyjrzałam się swojemu dziełu krytycznym wzrokiem. Melike miała rację. Sierść Fritziego błyszczała wspaniale, biel na pęcinach była czysta niczym świeży śnieg, a czarny ogon wisiał pięknie rozczesany. Osiodłałyśmy nasze konie, nałożyłyśmy toczki i wyszłyśmy ze stajni, żeby ruszyć na łąkę. Twix podbiegł i z radosnym szczekaniem zaczął okrążać nasze wierzchowce. Uciszyła go dopiero obietnica, że może biec z nami. Krótko potem byłyśmy już w drodze w stronę lasu. Panował chłód, ale nie było mokro - doskonała pogoda na pierwszy trening.

- Dzisiaj w nocy przyśnił mi się ten brodaty troll z siekierą, którego widziałyśmy w lesie - Melike odezwała się już po kilku krokach. - Mówię ci, ale koszmar! A potem przyjechała policja i aresztowała mojego ojca za brak właściwej kontroli rodzicielskiej! - Roześmiała się. - Sama nie wiem, skąd mi się to wzięło.

Słuchałam w milczeniu, jak z najdrobniejszymi szczegółami opowiadała mi swój sen, lecz ani słowem nie wspomniałam o swoim, który był tak przerażająco realistyczny.

Krótko przed trzecią dotarłyśmy na łąkę. Poczułam ogromną ulgę, bo okazało się, że łąka była równa i gładka jak boisko piłkarskie. Po kilku minutach pojawił się Tim na swoim motorowerze. Odstawił go przy szopie i ruszył w naszą stronę.

- Cześć! - zawołał już z daleka i uśmiechnął się radośnie.

Pomyślałam natychmiast o pogardzie dla Fritziego, którą dostrzegłam w jego oczach w swoim śnie, kiedy ogier raz za razem się ślizgał.

- Cześć - odpowiedziałam. - Jak myślisz, powinnam wkręcić mu hacele?

Tim spojrzał na mnie zaskoczony i potrząsnął głową.

- Nie ma sensu, pod trawą jest tylko piasek - wyjaśnił.

Ziemie w tych okolicach nieszczególnie nadawały się pod uprawy rolnicze, bo były zbyt piaszczyste. Za to idealnie nadawały się do jazdy konnej.

Chłopak obszedł mojego ogiera i przyjrzał mu się uważnie. Fritzi nieufnie wodził za nim oczyma. Kiedy Tim wyciągnął dłoń, żeby go pogłaskać, ten położył uszy po sobie i odskoczył.

- Ups! - krzyknął zaskoczony.

- Tylko nie traktuj tego osobiście - przeprosiłam za niegrzeczne zachowanie mojego wierzchowca. - Ale od kiedy był tak strasznie pokiereszowany, nie pozwala zbliżać się do siebie żadnym obcym, a mężczyznom to już w ogóle. To jak, możemy zaczynać?

- Pewnie.

- Jak rozumiem, moja całkowicie przeciętna habecina nie interesuje cię nic a nic, tak? - Melike odezwała się obrażonym głosem i udała, że sprawił jej przykrość.

- O rany, strasznie przepraszam! - Tim spojrzał w jej stronę. - Ej, no przestań, to przecież żadna przeciętna habecina! Ja... sorry...

Czyżby się przy tym zaczerwienił? Melike uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Nie ma o czym mówić. - Pokiwała głową. - Jasper nawet w połowie nie przyciąga tak wzroku, jak ten tutaj. Zaraz go gdzieś przywiążę i mogę ci pomagać.

Zaczęłam od delikatnego kłusa, a potem przeszłam do galopu. Tim stał pośrodku łąki i nie spuszczał ze mnie wzroku. Po raz pierwszy w życiu brałam udział w prawdziwej lekcji jazdy konnej - zrozumiałam to, kiedy Tim krzyknął, żebym skróciła wodze i poprawiła dosiad. Tata nigdy mnie nie uczył, a to, co umiałam, złapałam podczas lekcji, które dziadek dawał klientom. A to oznaczało, że nikt nigdy nie poświęcał mi zbyt wiele uwagi. W gruncie rzeczy części nauczyłam się, podglądając innych, a część... przyszła sama z siebie.

- Okej! - krzyknął Tim po dłuższej chwili. - Teraz najedź na krzyżak! Ale kłusem!

Wcześniej ustawił dla mnie tę przeszkodę i położył na ziemi wskazówkę, czyli belkę w punkcie odskoku. Na razie cały czas krążyło mi po głowie wspomnienie koszmarnego snu, lecz teraz, kiedy zrobiłam półparadę, a Fritzi grzecznie przeszedł w kłus i bez wahania ruszył w stronę przeszkody, strach całkowicie mnie opuścił. Tim kazał nam jeszcze kilka razy pokonywać krzyżak kłusem, a potem zdjął z niego drągi, ułożył je na łyżkach i kazał mi kilka razy na zmianę pokonywać galopem niewielką stacjonatę i równie niewysokiego oksera.

- Super! Świetnie! - krzyknął. - Nie zmuszaj go do niczego, pozwól mu najechać galopem! Ekstra! Doskonale!

Uświadomiłam sobie, że uśmiech nie schodzi mi z twarzy. Fritzi zarżał. Najwyraźniej jemu też skoki sprawiały radość. Teraz czekał nas szereg. Krzyżak, stacjonata, krzyżak i okser. Z każdą rundą Tim z Melike podnosili przeszkody o dwa otwory na stojakach. A na sam koniec musiałam przejechać niewielki parkur. Fritzi skakał płynnie i z gracją, bardzo uważnie i ani razu nawet nie musnął drąga. Dotychczas Tim nic nie mówił na temat jego jazdy, ale kiedy po ostatniej przeszkodzie zwolniłam do stępa i podeszłam bliżej, dostrzegłam na jego twarzy szeroki uśmiech.

- Niesamowite! - krzyknął. - Serio, Elena, to jest coś niesamowitego! Wspaniale jeździsz, słowo!

Z dumą poklepałam ogiera po szyi i uśmiechnęłam się. Dopiero wtedy przypomniałam

sobie o koszmarze, jaki nie dał mi spać w nocy.

- Czyli... wcale nie uważasz, że Fritzi to... cielę?

- Wygłupiasz się? - Tim wytrzeszczył oczy. - Bo chyba nie chciałaś go obrazić, co? Mówię ci, Fritzi to coś zupełnie odwrotnego. Jest uważny i ma w sobie to coś.

Pochwalił mojego ogiera! Jak cudownie było słuchać takich słów! Westchnęłam z ulgą. Tim ruszył w kierunku szopy, a ja, nie zsiadając z konia, jechałam obok niego. Z niekłamanym zachwytem analizował każdy skok, który Fritzi zrobił w czasie lekcji, a ja słuchałam go uważnie i tylko potakiwałam. Uznałam, że znacznie łatwiej było mi z nim rozmawiać, kiedy siedziałam na koniu.

Kiedy znaleźliśmy się koło szopy, podziękowałam mu, czując głęboką wdzięczność.

- To było wspaniałe. Jesteś świetnym trenerem.

- Nie ma o czym mówić - odparł Tim nieco zmieszany. - Czysta przyjemność, kiedy wszystko idzie tak dobrze, jak dzisiaj.

- No dobrze, starczy już tego kadzenia. - Melike wskoczyła na Jaspera, a Twix, który jak przystało na dobrze wychowanego psa stajennego, całe zajęcia siedział grzecznie na brzegu placu, wystrzelił jak z procy i dopadł do Fritziego.

- Niestety, muszę już uciekać - wyjaśnił Tim. - O czwartej tata ma klientów z Wielkiej Brytanii i muszę rozgrzać dla nich kilka koni.

- Kiedy możemy zrobić kolejny trening? - zapytałam szybko. - Jutro?

Tata i Christian mieli jechać na jakiś turniej, więc okazja była wyśmienita.

- Tak, powinno wypalić. - Tim potaknął. - Ta sama godzina i miejsce?

Kiwnęłam pospiesznie głową. Tim wsiadł na motorower, nałożył kask i uruchomił

silnik. Odprowadziłam go wzrokiem, aż zniknął za drzewami.

- No i? - zapytała Melike. - Co powiedział?

- Jest zachwycony - odparłam krótko.

- A spodziewałaś się czegoś innego? - Melike uśmiechnęła się szeroko.

- Jeśli miałabym być szczera, to tak. - Też się uśmiechnęłam.

W drodze powrotnej opowiedziałam jej swój sen. Tak się z niego śmiałyśmy, że aż łzy leciały nam po policzkach.

Rozdział 16

PRZEZ NIEMAL CAŁY miesiąc pogoda pozwalała nam na sekretne treningi pod gołym niebem, które odbywały się trzy razy w tygodniu. Fritzi robił ogromne postępy - poruszał się coraz płynniej i z coraz większą pewnością siebie. Wspólnymi siłami we trójkę przyciągnęliśmy z lasu pień przewróconego drzewa i tak ułożyliśmy, że stał się pełnoprawną przeszkodą. Z niebieskich worków na śmieci przygotowaliśmy rów z wodą, a potem, machając poszewkami pościelowymi i wieszając na drągach przeszkód stare derki i czapraki, sprawdzaliśmy opanowanie Fritziego. Czasem Tim kazał nam skakać galopem szereg złożony z sześciu do dziesięciu przeszkód, żeby Fritzi nauczył się szybciej pracować przednią nogą i mocniej wybijać z tylnych. Gołym okiem było widać poprawę umięśnienia mojego ogiera, poprawiała mu się kondycja, a i ja sporo korzystałam na tych treningach.

Na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia zajęcia w szkole skończyliśmy po trzeciej lekcji, bo rozpoczynały się świąteczne ferie.

Mimo że rankiem delikatnie prószył śnieg, o trzeciej stawiłam się na łące, by rozpocząć trening. Zgodnie z umową, Tim już na mnie czekał. Grunt nadawał się jeszcze do jazdy, a kopyta znajdowały dość oparcia, więc po kilku ćwiczebnych skokach zaczęliśmy budować parkur. Po raz pierwszy od rozpoczęcia projektu Fritzi na treningu nie pojawiła się Melike, bo musiała pojechać z mamą do miasta kupować prezenty. Jedyną widownią, jaka nam została, był Twix, który, trzęsąc się z zimna, przysiadł na ogonie i czekał, kiedy skończymy.

Z początku płatki śniegu topiły się, ledwie opadły na ziemię. Później jednak w powietrzu wirowało coraz więcej białego puchu. Po pewnym czasie miałam problem z rozpoznaniem, dokąd jadę, więc musieliśmy przerwać zajęcia. Wyciągniętym kłusem schroniłam się za szopą. Tim schował głowę w ramionach i strząsając mokre płatki z włosów, stanął obok.

- Coś mi się wydaje, że to był ostatni trening w tym roku - powiedział z żalem.

Podał mi derkę Fritziego. Uniosłam się w strzemionach i przerzuciłam mu ją przez zad, a przedni kraniec przycisnęłam kolanami, żeby wiatr jej nie zwiał. Tim znów nie przestawał chwalić mojego konia.

- Dlaczego właściwie nigdy mnie nie poprawiasz? - zapytałam go.

Tim znieruchomiał, a potem spojrzał na mnie zaskoczony.

- Co masz na myśli? - Potrząsnął głową. - Dlaczego miałbym ci mówić, co masz robić?

- No bo wiesz... - zaczęłam i wzruszyłam ramionami. - Kiedy mój ojciec daje lekcje jazdy konnej, bez przerwy powtarza swoim uczniom, co mają robić albo czego nie. Ręce w tył, nie ciągnąć, spokojnie, więcej galopu, dosiad... coś w tym rodzaju.

Tim nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Mówiłbym ci to wszystko, gdybym tylko musiał. Ale nie muszę, bo wszystko robisz dobrze.

Chyba musiałam mieć wyjątkowo dziwny wyraz twarzy, kiedy na niego spojrzałam, bo niespodziewanie zaniósł się śmiechem. Ale równie szybko spoważniał.

- Elena, chyba jeszcze nigdy nikt ci nie powiedział, że świetnie jeździsz, prawda?

Niewiele brakowało, a otworzyłabym z wrażenia usta. Potrząsnęłam głową.

- Christian jeździ znacznie lepiej ode mnie.

- To nieprawda - zaprotestował. - Jemu brakuje niemal wszystkiego, co ty masz. Nie ma za grosz wyczucia. Brakuje mu oka. Jedyne, czym może się wykazać, to odwaga. Tyle że to za mało, żeby naprawdę dobrze jeździć. Z kolei ty, Eleno, masz ogromny talent! Na razie wszystko robiłaś dokładnie tak, jak powinnaś! Słowo.

Pośród coraz cięższej zamieci śnieżnej Tim stał tuż obok mojego konia. Ręce trzymał w kieszeniach, miał czerwone z zimna policzki, a jego słowa były na moje serce niczym miód. Przełknęłam głośno ślinę. Jeszcze nikt nigdy nie powiedział mi czegoś tak wspaniałego. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

W końcu Tim przerwał ciszę.

- Chyba będzie lepiej, jeśli już pojedziesz - mruknął zachrypniętym głosem. - Bo przeziębisz Fritziego.

Kiwnęłam głową, wciąż nie mogąc wydukać ani słowa. Koń przebierał niecierpliwie kopytami i grzebał podkową w ziemi. Z mokrej sierści unosiła się para.

- Dzięki - wyszeptałam w końcu. - Dziękuję ci za wszystko, Tim. Te ostatnie tygodnie były naprawdę...

Nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. Wszystkie przymiotniki, które przychodziły mi do głowy, były zbyt oklepane.

Tim przekrzywił głowę i mrugnął do mnie.

- Mnie też się podobało - zapewnił. - W przyszłym roku ciągniemy to dalej, co?

- Słowo? - W gardle poczułam ogromną kluchę.

- Słowo. A teraz uciekaj. No już!

Zmusiłam się do uśmiechu, lecz przez zimno, które pozbawiało mnie czucia w twarzy, wyszedł tylko dziwny grymas.

Tym razem nie chciałam być tą osobą, która będzie odprowadzała drugą wzrokiem. Dlatego z miejsca puściłam się galopem. Po chwili odwróciłam się jeszcze w siodle.

- Wesołych Świąt, Tim! - krzyknęłam.

Nie usłyszałam jego odpowiedzi. Fritzi gnał na złamanie karku, by jak najszybciej dotrzeć do domu i do ciepłego boksu. Niemal całą drogę pokonaliśmy galopem. Wiał mroźny wiatr, a jednak, kiedy się zatrzymałam, nie byłam pewna, czy łzy popłynęły mi po policzkach tylko z tego powodu.

Rozdział 17

WIGILIJNY PORANEK POWITAŁ mnie mrozem. Przez noc temperatura spadła o piętnaście stopni, a termometr wskazywał dziesięć kresek poniżej zera. Krzaki, drzewa, łąki i drogi znieruchomiały przykryte warstwą lodu. Zrobiło się tak przerażająco zimno, że w stajniach popękały rury z wodą i zamarzły automatyczne poidła. Nikt nie spodziewał się tak gwałtownego spadku temperatury, a jego skutkiem było przerwanie milczenia przez tatę i dziadka, którzy musieli znów ze sobą rozmawiać. I choć wymiana zdań trwała dość krótko, była za to bardzo intensywna.

Pomagałam dziadkowi napełniać wiadra, w których nosił wodę do każdego boksu osobno, kiedy do stajni wszedł tata.

- Naprawiłeś już to? - zapytał dziadka. - I dlaczego nie uruchomiło się ogrzewanie pomocnicze?

- A skąd, u diabła, miałbym to wiedzieć?! - odparł dziadek wzburzonym głosem. - Nie jestem przecież hydraulikiem ani elektrykiem.

- Powinieneś był już wczoraj wieczorem wyłączyć wodę - odparł ojciec. - Przecież zawsze tak robiłeś, jak noc miała być mroźna.

Dziadek huknął pełnymi wiadrami o ziemię.

- Wczoraj było prawie dziesięć stopni powyżej zera! Skąd mogłem wiedzieć, że w nocy temperatura spadnie tak gwałtownie?!

Tata oparł dłonie na biodrach. Widziałam jego minę i wiedziałam, że jest w okropnie złym humorze.

- No tak, oczywiście! - syknął przez zaciśnięte zęby. - W końcu wszystko spadło teraz na mnie. Ty możesz mieć w dupie, czy coś się zepsuje, czy nie, bo nie ty za to płacisz!

Wtuliłam głowę w ramiona i ruszyłam szybko w stronę kolejnego boksu. Od kilku tygodni lepiej było schodzić tacie z drogi, a już koniecznie należało go unikać, kiedy był w takim humorze jak dziś.

- Lepiej uważaj, co mówisz! - warknął dziadek. - Jeszcze trochę i jak chcesz, to możesz sam się wszystkim zajmować. Wszystkim, czyli nauką jazdy i czyszczeniem boksów też!

- Aha, czyli chcesz już zupełnie wszystko zwalić na moją głowę, tak?

- Nie pozwolę, żeby własny syn traktował mnie jak parobka! - Tym razem dziadek podniósł głos. - I lepiej weź to sobie do serca!

- Wydawało mi się, że już wcześniej dość wyraźnie ustaliliśmy podział obowiązków! - wrzeszczał tata. - Ja zarabiam pieniądze na turniejach! Jak miałbym szukać klientów, jeżdżąc w kółko traktorem?

Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia, niemal taranując Christiana, który wrócił akurat z Długiej Stajni z dwoma pustymi wiadrami.

- Ty, co tu się dzieje? - zapytał mnie brat.

- Chodźcie, dzieci - zawołał dziadek, zanim zdążyłam Christianowi wyjaśnić, o co poszło. - Jadę do sklepu z paszami kupić dodatkowe wiadra. Jak wrócę, w każdym boksie zawiesimy jedno. A wy tymczasem przynieście z magazynu tę dużą beczkę na wodę, postawcie ją na widlaku i napełnijcie. Przecież nie będziemy codziennie nosili wiader do sześćdziesięciu koni.

Kiwnęliśmy głowami. Dziadek przynajmniej myślał praktycznie i działał, zamiast wściekać się na wszystkich dookoła.

Święta Bożego Narodzenia okazały się tego roku bardzo smutnymi świętami. Kiedy dziadek przywiózł ze sklepu wiadra, umieścił je w boksach i napełnił wodą, wsiadł z babcią

do samochodu i pojechał do wujka Matthiasa i jego rodziny, którzy mieszkali niedaleko Würzburga.

Po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, spędziliśmy Wigilię w samotności. Jens dostał wolne, Heinrich i Stani, pracownicy stajenni, już wcześniej wrócili do rodzin w Polsce, a ich obowiązki musieliśmy przejąć my, czyli tata, mama, Christian i ja. Dopiero o wpół do szóstej wieczorem wszystkie konie dostały swoje porcje paszy i siana, a we wszystkich wiadrach znalazła się woda.

Wcześniej zawsze spędzaliśmy święta z babcią i dziadkiem, jednak tego dnia przy wigilijnym stole zasiedliśmy sami. W salonie panowała cisza. Jedliśmy fondue i nikt się nie odzywał, żeby przez przypadek nie wywołać kolejnej kłótni. W powietrzu wyczuwało się napięcie, brakowało swobody i spontaniczności, dlatego po wieczerzy na ochotnika zabrałam się do sprzątania stołu i kuchni.

Najfajniejszy prezent dostałam od babci i dziadka - telefon komórkowy z doładowanym kontem na rozmowy! Nie mogłam się już doczekać, żeby zamknąć się w swoim pokoju i go wypróbować. Christian wielkodusznie zaproponował, że pomoże mi uruchomić i skonfigurować aparat. O dziesiątej wieczorem tata zasnął na kanapie w salonie. Dałam wtedy znak Twiksowi i razem wymknęliśmy się do mojego pokoju.

Pierwszego smsa wysłałam do Melike, a ona natychmiast mi odpisała. Moja najlepsza, najukochańsza przyjaciółka! Najchętniej bym ją wyściskała, bo przysłała mi numer telefonu Tima, o który ją poprosiłam.

„Wesołych Świąt", wystukałam na klawiaturze trzęsącymi się z nerwów palcami. „W końcu mam swoją komórkę. PZDR E.". Po krótkim wahaniu wybrałam opcję „wyślij", wprowadziłam numer Tima i wysłałam mu wiadomość. Potem położyłam się na łóżku z komórką w ręku i nie odrywałam wzroku od ekranu.

- Położę się spać dopiero, kiedy dostanę od niego odpowiedź - poinformowałam Twiksa.

Pies popatrzył na mnie zmęczonym wzrokiem, przewrócił się na bok i ziewnął.

Coś wyrwało mnie gwałtownie z głębokiego snu. Usiadłam nieprzytomna na łóżku i rozejrzałam się. Dookoła panowała ciemność. Obudził mnie dziwaczny dźwięk, a na poduszce obok coś świeciło. No tak! Komórka! W jednej chwili byłam całkowicie rozbudzona. W lewym dolnym narożniku ekranu pojawił się symbol koperty - dostałam smsa! Smsa od Tima! Napisał: „Ekstra! Tobie też Wesołych Świąt. T.”.

Serce zabiło mi jak szalone i złapałam się na tym, że chwilę po wpół do szóstej rano, zamiast spać, leżę w łóżku z szerokim, radosnym uśmiechem wariatki.

Byłam zbyt podekscytowana, żeby ponownie zamknąć oczy. W końcu Tim również nie spał, prawda? Bez dziadka, Heinricha, Staniego i Pryszczola tata i mama będą musieli oporządzić wszystkie konie i sprzątnąć wszystkie stajnie. Dlatego wstałam, ubrałam się szybko i zeszłam na dół, żeby nakryć stół do śniadania.

Za dziesięć szósta. Stół był już gotowy, ekspres parzył kawę, ale nikt z rodziny się nie pojawiał. Ba, nie słyszałam nawet, żeby ktoś już wstał. Miałam tak po prostu siedzieć w kuchni i czekać nie wiadomo na co? Równie dobrze mogłam pójść do stajni i zacząć karmić konie. Po cichu włożyłam kurtkę i buty robocze, zdjęłam z kołka klucze do wszystkich pomieszczeń i wyszłam na dwór.

Uwielbiałam przesiadywać rankiem w stajni. Ledwie otworzyłam wysoką bramę i włączyłam światła, podbiegł Robbie i przywitał się ze mną radośnie. Konie mrugały zaspane, część z nich jeszcze leżała w słomie. Hm, od czego zacząć? Wczoraj wieczorem tata przywiózł ładowarką po jednej beli siana na każdą z trzech alejek. Zaczęłam szukać noża, żeby przeciąć sznurki i widłami rozrzucić siano. Znalazłam jeden w siodlarni, wisiał na haczyku na ścianie. Wzięłam go i zabrałam się do roboty. Kiedy patrzyłam, jak pracuje Heinrich albo Stani, wszystko wydawało mi się całkiem proste i lekkie. Zacisnęłam więc zęby i z mozołem cięłam siatkę, utrzymującą siano w rolce. Nagle sznurki puściły i całe siano rozsypało się po podłodze. Teraz wystarczyło wziąć widły i zanieść do każdego boksu odpowiednią porcję. Tylko że w tej jednej stajni miałam dwadzieścia boksów. Poza tym konie potrzebowały też świeżej wody. Wiadro po wiadrze napełniałam z pojemnika, który stał przy solarium dla koni. Kiedy skończyłam, cała spływałam potem. A przecież oporządziłam ledwie jedną trzecią koni. Nie mogłam się poddać. Dwadzieścia po siódmej skończyłam

roznosić siano i wodę we wszystkich stajniach, w tym również w stodole, gdzie stał Fritzi i kilka starych koni. Zamknęłam za sobą bramę, odwróciłam się i... ze strachu omal nie dostałam zawału serca, bo z ciemności wynurzył się jakiś cień. W końcu zadziałał czujnik ruchu nad wejściem i mocny reflektor zalał podwórze światłem.

- Tato! - jęknęłam z ulgą. - Na śmierć mnie wystraszyłeś!

Niech to diabli. Chciałam zabrać się teraz do roznoszenia paszy i skończyć, zanim wstanie i przyjdzie do stajni.

- Ty mnie też - odparł ojciec. - Co ty tu robisz o tej porze?

- Chciałam was zaskoczyć i zrobić niespodziankę. W końcu są święta - wyjaśniłam, trzęsąc się z zimna na mrozie. - Napoiłam już wszystkie konie i rozniosłam siano.

- Niesamowita jesteś, Eleno! O której wstałaś?

- Wydaje mi się, że o wpół do szóstej - odparłam.

Po raz pierwszy od kilku tygodni widziałam, że tata się uśmiechał - tak szczerze, z przyjaznym i ciepłym spojrzeniem oczu, jak dawniej.

- Czyli stół do śniadania też ty przygotowałaś - zgadł. Położył mi rękę na ramieniu i przyciągnął do siebie. Przez chwilę mnie tulił, a potem pocałował w czoło. Nie robił tego od tak dawna, że nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni tak się zachował. - Dziękuję ci, jesteś prawdziwym wsparciem!

Mówił zachrypniętym głosem, a ja poczułam ulgę. Ostatnio naprawdę nie było łatwo dogadywać się z tatą, bo nigdy nie miałam pewności, jak zareaguje.

- Co byś powiedziała, żebyśmy szybko nakarmili konie i rozłożyli świeżą ściółkę? - zaproponował. - Potem będziemy mogli w spokoju usiąść do śniadania.

- Superpomysł, chętnie - odpowiedziałam. - Im szybciej, tym lepiej, bo zrobiło mi się

zimno.

Tata i ja tworzyliśmy świetny zespół. On pchał wózek z paszą dla koni, ja sypałam im do żłobów paszę treściwą i owies, a przy okazji rozmawialiśmy na różne tematy. Tak samo podzieliliśmy później pracę przy rozsypywaniu świeżej ściółki do boksów. O ósmej skończyliśmy karmić wszystkie konie, przejścia w stajniach błyszczały, zamiecione do czysta. Kiedy szliśmy razem w stronę domu, na dworze robiło się coraz jaśniej.

- Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła, że sprzedałem Phoeniksa Teichertom - mruknął tata, czym całkowicie mnie zaskoczył.

Szczerze mówiąc, w ogóle o tym nie myślałam, bo przecież miałam Fritziego. Tyle że tego nie mogłam i nie chciałam mu powiedzieć.

- Nie, nie ma o czym mówić. - Pokręciłam głową. - Phoenix był dla mnie i tak trochę zbyt nudny.

- Zbyt nudny? - Tata z rozbawieniem potrząsnął głową.

- No tak, taki nijaki. Ale do Ariane idealnie pasuje. Ja po prostu wolę, żeby koń miał w sobie więcej życia.

- Proszę, proszę... - Tata zatrzymał się i spojrzał na mnie z uśmiechem. - W takim razie może mi zdradzisz, jaki koń by ci odpowiadał? Bo z tego, co się orientuję, chciałaś wziąć udział w najbliższym kursie, prawda?

Nazajutrz miał się rozpocząć pięciodniowy kurs jeździecki, który tata organizował co roku. Kurs kończył się sylwestrowym turniejem w skokach. Od miesięcy wszystkie miejsca były zarezerwowane. Na kurs zgłaszali się jeźdźcy i amazonki z całej okolicy, a od kiedy skończyły się miejsca, wpisywali się na listę rezerwową.

- Serio? Pozwolisz mi wziąć w tym udział? - zapytałam z niedowierzaniem.

- To mój prezent na święta. Oczywiście tylko pod warunkiem, że naprawdę masz na to

ochotę. - Tata szedł dalej, ale po chwili się zatrzymał i popatrzył na mnie, nie wyciągając rąk z kieszeni. - Co byś powiedziała na Calvadora?

Zadał pytanie tak spokojnym głosem, jakby chodziło o coś zwykłego i oczywistego. Tymczasem zaproponował mi jazdę na swoim najlepszym koniu sportowym! Przez chwilę stałam z otwartymi ustami i nie wiedziałam, jak zareagować.

- Mogłabym jechać na... na Calvadorze? - wyszeptałam z niedowierzaniem.

- Dlaczego nie? Nie jest co prawda tak posłuszny jak Phoenix, ale sporo się nauczysz, dosiadając takie zwierzę.

Tak jak się spodziewałam, Christian mało nie pękł z zazdrości, kiedy się dowiedział, jaki prezent dostałam od taty. Calvador, dziewięcioletni śnieżnobiały ogier hanowerski, był wybitnym koniem, na którym tata zwyciężył w mijającym roku wiele turniejów, włącznie z wielkim pucharem Neumünster i Monachium. Jeśli chodzi o naszą stajnię, ustępował jedynie Lagunasowi, a to, że miałam go dosiadać, było nie lada wyróżnieniem.

- Dlaczego Elena ma jechać na Calvadorze? Dlaczego ona, a nie ja? - już przy śniadaniu zapytał urażonym głosem.

- Dlatego, że ty będziesz jechał na Cotopaxi i Lancelocie - wyjaśnił spokojnie tata. - Przecież sam tak chciałeś.

- Bo nawet mi do głowy nie przyszło, żeby zapytać, czy pozwolisz mi dosiąść Calvadora.

Christian rzucił mi niezbyt przyjazne spojrzenie, które z radością zignorowałam. Nad wyraz denerwowało go, że nagle to ja jestem w centrum uwagi, a nie on.

- Lizuska! - syknął mi na ucho, a ja uśmiechnęłam się tylko pod nosem.

- Temat uważam już za zakończony - oznajmił tata, cały czas w dobrym nastroju. - Susanne, podaj, proszę, bułki.

Mama również była w znacznie lepszym humorze niż ostatnimi dniami. I ona, i tata cieszyli się na kurs jeździecki, na którym miało się pojawić wielu ich znajomych. Nie bez znaczenia był też fakt, że taki kurs oznaczał dobry zarobek, a czego jak czego, ale pieniędzy moi rodzice bardzo potrzebowali.

Tata opowiedział mamie, jak dzisiaj rano zastał mnie pracującą w stajni i jak razem dokończyliśmy oporządzanie zwierząt. Christian też tego słuchał i miał coraz bardziej ponurą minę. Domyślałam się, jak bardzo chciałby móc pochwalić się przed Ariane i resztą znajomych, że będzie jeździł na Calvadorze.

Nagle usłyszałam dzwonek dobiegający z mojej kieszeni, a zaraz potem uruchomił się sygnał wibracyjny. Podskoczyłam przestraszona. Jeszcze się nie przyzwyczaiłam do posiadania telefonu komórkowego.

- Chyba dostałam smsa - powiedziałam.

- No niesamowita wiadomość! - Christian skomentował złośliwie. - Coś takiego!

Pokazałam mu język i wstałam. Mama zawsze powtarzała, że komórki przy stole to złe połączenie. I że to niegrzeczne, i niekulturalne. Wyszłam więc do przedpokoju i z walącym dziko sercem otworzyłam wiadomość. Napisała do mnie Melike, choć w duchu miałam nadzieję, że autorem wiadomości będzie Tim.

„Zrobiłam to!!!!!", przeczytałam i na początku nie zrozumiałam, o co chodzi. „Ktoś odwiedzi trolla...".

Dopiero wtedy przypomniałam sobie nieprzyjemne spotkanie z mężczyzną z siekierą, który zamieszkiwał starą leśniczówkę. Zupełnie nie miałam głowy, żeby o nim myśleć. Okazało się jednak, że Melike pamiętała i właśnie zadzwoniła na policję.

Rozdział 18

W CAŁEJ STAJNI MÓWIŁO SIĘ tylko o tym, że na kursie, w czwartej godzinie zajęć mam dosiadać Calvadora. Już o trzeciej po południu na trybunach dużej ujeżdżalni zebrało się tylu widzów, że nie pamiętałam, kiedy ostatnio był taki tłok. Mama pomogła mi przy siodłaniu.

- Miejmy nadzieję, że nie zrobię niczego źle - powtórzyłam już chyba setny raz. - Tata by mnie chyba przeklął!

Mama zaśmiała się i wróciła do rozczesywania śnieżnobiałego ogona Calvadora.

- Tata nigdy by ci nie pozwolił nawet się do niego zbliżyć, gdyby nie wiedział, że doskonale sobie poradzisz - wyjaśniła. - Poza tym przecież już na nim jeździłaś.

- Nie jeździłam, tylko stępowałam go po jazdach taty - poprawiłam mamę. - A to coś zupełnie innego.

Przyjrzałam się ogierowi, który stał zupełnie spokojnie i nieruchomo. Był sporo większy od Fritziego, a mnie nagle opanowało dziwne uczucie zdenerwowania. Mając na sobie kamizelkę ochronną - na którą upierał się tata przy skokach przez przeszkody - nie byłam zbyt pewna siebie.

W końcu nadeszła moja kolej. Złapałam wodze i poprowadziłam Calvadora przez stajnię w kierunku ujeżdżalni. Ze mną miały jeździć Melike, Ariane i Saskia, córka przyjaciela taty, z którym często spotykali się na zawodach w skokach. Przez trybuny przebiegł szmer podziwu, kiedy wprowadziłam potężnego ogiera. Miałam świadomość, że wszyscy skupiają się tylko na mnie, włącznie z Christianem, Jensem, tatą i pomocnikami. Mama pomogła mi wskoczyć na siodło, poprawiłam strzemiona i od tej chwili nie było już odwrotu. Wjazd na parkur został zamknięty i rozpoczęły się zajęcia.

Mimo że Calvador był potężnym i pełnym temperamentu wierzchowcem, w

prowadzeniu okazał się wyjątkowo plastyczny i reagował na najlżejsze bodźce, jakie ode mnie otrzymywał. Już po kilku przejazdach dotarło do mnie, że dosiadanie go było nie tylko wielkim wyróżnieniem, ale również wielką przyjemnością. W hali panowała ujemna temperatura, więc musiałyśmy dobrze rozgrzać konie, zanim zaczęłyśmy skakać.

Pierwsza godzina kursu poświęcona była pracy z drągami i gimnastyce skokowej, czyli temu wszystkiemu, co ćwiczyliśmy na łące. Jazda na Calvadorze różniła się znacznie od jazdy na Siriusie i gdybym nie skakała tyle na Fritzim, bez wątpienia miałabym spore problemy. Dosiadanie kucyka jest czymś zupełnie innym niż dosiadanie dużego konia.

Przez całe zajęcia Ariane ani razu na mnie nie spojrzała - chyba ukradłam jej show, do którego długo się przygotowywała. Nawet dostrzegłam na trybunach jej ojca z kamerą, który filmował, jak jeździ.

Na koniec tata skierował nas na przygotowany wcześniej niewielki parkur. Pierwsza skakała Melike na Jasperze, po niej Saskia i wreszcie Ariane na Phoeniksie. Ja również przejechałam cały tor bez problemu. Po pokonaniu ostatniego oksera zachwycona poklepałam potężnego ogiera po szyi.

- Świetna robota, Eleno - powiedział tata, a ja w jego głosie usłyszałam zaskoczenie, jakby się nie spodziewał, że tak dobrze mi pójdzie. - Masz świetne oko i dobrze prowadzisz konia!

Uśmiechnęłam się z zadowoleniem. Tim mówił to samo!

Niecierpliwość rozsadzała Melike. W rekordowym tempie rozkulbaczyła i oporządziła Jaspera, osiodłała Siriusa, a potem przestępowała z nogi na nogę, czekając, aż skończę z Calvadorem.

- No już, pospiesz się! - ponagliła mnie. - Musimy ruszać, zanim zrobi się ciemno!

Nie mogła się doczekać, żeby sprawdzić, czy telefon na policję przyniósł jakiś efekt. Umówiłyśmy się więc, że po kursie pojedziemy na Siriusie i Fritzim do lasu, aby zobaczyć, co się dzieje w leśniczówce. Domyślałam się, że moi rodzice raczej nie zauważą, że mnie nie

ma, bo przynajmniej do dziewiątej wieczorem zajmowali się uczestnikami kursu.

Melike pociągnęła za sobą biednego Siriusa, a ja wzięłam siodło i ogłowie i ruszyłyśmy do stodoły. Nieco później kłusem zmierzałyśmy w stronę lasu. Czasu miałyśmy niewiele, bo już przed piątą robiło się ciemno. Od jeziora dzieliło nas dwadzieścia minut jazdy.

- Myślisz, że już tam byli? - Melike po raz kolejny zadała mi to samo pytanie.

- Przecież wczoraj do nich dzwoniłaś, prawda? - odpowiedziałam spokojnie. - Oczywiście, że już tam byli. A nasz troll od wczoraj siedzi w areszcie.

Wyjechałyśmy zza ostatniego zakrętu i zatrzymałyśmy się.

- Albo i nie... - Melike mruknęła z rozczarowaniem.

Leśniczówka sprawiała idylliczne wrażenie. Na dworze panował mróz, w oknach paliły się światła, a na tafli jeziora tańczyły złote refleksy. Z komina unosił się słup ciemnego dymu i wędrował niemal pionowo w górę.

- Nie, to przecież niemożliwe! - Moja przyjaciółka potrząsnęła głową. - Policja przecież musi sprawdzać informacje od społeczeństwa, nawet jeśli są anonimowe!

- Na podwórzu stoją samochody - stwierdziłam już z daleka. - Chodź, podjedziemy jeszcze kawałek i zobaczymy, co tam się dzieje.

Zbliżyłyśmy się do leśniczówki, lecz cały czas pozostawałyśmy w cieniu drzew.

- Zajrzę, czy mają tam jeszcze konie! - zdecydowała Melike i błyskawicznie zeskoczyła z siodła. Potem złapała Siriusa za wodze, przełożyła mu je nad głową i podała mi.

- Może lepiej daj sobie spokój! - jęknęłam cicho.

Miałam złe przeczucia, ale Melike nie dało się zatrzymać. Wstrzymując oddech,

przyglądałam się ze swojego miejsca, jak prześlizguje się przez bramę na podwórze i po chwili znika za domem.

W lesie panowała martwa cisza. Co pewien czas słychać było tylko trzeszczenia jakichś gałązek, a potem gdzieś w pobliżu krzyknął jakiś puszczyk. Drgnęłam ze strachu. Babcia zawsze powtarzała, że wołanie puszczyka oznacza czyjąś śmierć. Fritzi grzebał przednim kopytem w zmarzniętej ściółce. Nie przepadał za dłuższymi postojami. Znów rozległo się wołanie puszczyka. Zrobiło mi się nieswojo, bo miałam wrażenie, że to mnie woła.

Do diabła, co ta Melike tyle czasu tam porabiała? Jak długo może trwać zajrzenie do stodoły i powrót?! Wyjrzałam zza drzew i zaniemówiłam - moja przyjaciółka wspięła się na werandę i przez okno zaglądała do środka domu! Czyżby życie było jej niemiłe? Mój niepokój udzielił się teraz Fritziemu - ogier zarżał niespodziewanie. Struchlałam z przerażenia. W lesie panowała martwa cisza, a ten dźwięk zabrzmiał jak wystrzał z armaty.

Kiedy ponownie odważyłam się spojrzeć w stronę domu, Melike nie było już na werandzie, za to drzwi stały otworem, a w świetle padającym ze środka rozpoznałam brodatego trolla. Obok niego stał inny mężczyzna i trzymał w dłoni coś, co wyglądało jak pistolet. Nagle uniósł rękę na wysokość twarzy, wycelował i kiedy już byłam pewna, że w następnej chwili rozlegnie się wystrzał, przedmiot zaczął świecić. Mężczyzna miał w dłoni nie broń, tylko latarkę! Skuliłam się w siodle, choć wiedziałam, że to na nic, bo śnieżnobiała sierść Siriusa jaśniała w ciemnym lesie niczym srebrne runo. Usłyszałam czyjeś szybkie kroki. To Melike biegła w moją stronę, jakby sam diabeł ją gonił.

- Tutaj! - szepnęłam.

Kilka sekund później wyszarpnęła mi z dłoni cugle kuca i wskoczyła na siodło. Widziałam snop światła przesuwający się po pniach drzew dookoła. Kiedy ruszyłyśmy, rozległ się przeraźliwy trzask gałęzi łamanych kopytami. W końcu dotarłyśmy do drogi, kłusem minęłyśmy zakręt i leśniczówka zniknęła nam z oczu.

- Uff! Ostatnie sto metrów zrobiłam chyba poniżej siedmiu sekund! - sapnęła Melike. - Mój pan od wuefu byłby ze mnie dumny!

- Mów, co tam zobaczyłaś! - zapytałam nerwowo. - Były tam konie?

- No były, były - odpowiedziała. - Zrobiłam im zdjęcia komórką. Żeby mieć dowód.

Zwolniłyśmy do stępa.

- Elena, nie uwierzysz, kim jest ten mężczyzna, który wyszedł z trollem z leśniczówki - powiedziała Melike roztrzęsionym głosem.

Zrobiła dramatyczną pauzę.

- Rany, mów, bo nie wytrzymam! - Z trudem wytrzymywałam w siodle.

- Friedrich Gottschalk!

- Akurat! Wymyśliłaś to sobie! - Zdezorientowana potrząsnęłam głową. - To przecież niemożliwe. Musiałaś się pomylić.

- Nie, wcale nie - zapewniła mnie przyjaciółka. - Znam go przecież. A na podwórzu stał jego samochód.

W Steinau każdy go znał. Friedrich Gottschalk był obrzydliwie bogatym właścicielem firmy budowlanej. Należało do niego kilkadziesiąt nieruchomości w mieście i okolicach, a on szczodrze sponsorował kilka klubów sportowych. Ufundował nawet główną nagrodę dla zwycięzcy naszego letniego turnieju jeździeckiego.

- Ale Gottschalk jest przyjacielem dziadka - zaprotestowałam. - Przecież ktoś taki nie trzymałby z trollem, co kradnie konie!

- Widziałam go na własne oczy. - Melike uniosła dłoń jak do przysięgi. - Zaklinam się na swoje życie.

Chwilę jechałyśmy w milczeniu przez ciemny las. Na niebie pojawił się księżyc, więc

widziałyśmy przed sobą jaśniejszy pasek drogi. Nagle coś usłyszałam.

- Samochód! Jedzie za nami! - krzyknęłam. - Musieli usłyszeć rżenie Fritziego i teraz nas ścigają!

Natychmiast zmusiłyśmy konie do galopu, a ja gorączkowo myślałam, jak mogłybyśmy uciec naszym prześladowcom. Kilka sekund później omiotło nas światło samochodowych reflektorów.

- W lewo! - wrzasnęłam i brutalnie szarpnęłam za wodze.

Droga przez bagna była naszą jedyną szansą, bo wjazd na nią zamykał biało-czerwony szlaban. Żaden samochód nie mógłby tamtędy przejechać, nawet samochód terenowy. Ledwie objechałyśmy przeszkodę, spojrzałam przez ramię. To było jak w jednym z tych horrorów, które pasjami oglądał mój starszy brat - samochód skręcił za nami i nie zwalniając, pędził w kierunku szlabanu.

Niech to diabli! Nie liczyłam się z tym, że będą nas ścigać. I wcale nie zamierzałam jechać aż na moczary, tym bardziej że to nie miało wiele wspólnego z rozsądkiem. Przeklinałam Melike za jej głupi pomysł z wycieczką do lasu. Auto zbliżyło się do szlabanu i stanęło. Teraz nie pozostało nam już nic, jak jechać przed siebie. Tylko jak i dokąd? Nie znałam tych okolic, przejeżdżałam tędy dwa czy trzy razy z dziadkiem, na dodatek latem. Gdzieś blisko powinno znajdować się rozwidlenie prowadzące do drogi za leśniczówką. Stamtąd wiedziałabym już, jak pojechać dalej, aż do łąki, na której ćwiczyliśmy skoki.

Fritzi przestał traktować naszą ucieczkę jako zabawę. Zaparł się kopytami o zmarzniętą ziemię, położył po sobie uszy jak uparty osioł i za żadne skarby nie chciał się zgodzić, by ruszyć dalej. Niespodziewanie obrócił się i wpadł na Siriusa, który zarżał przestraszony i odskoczył na bok.

Z daleka, między pniami gęsto rosnących drzew, widziałam reflektory samochodu. Nie poruszały się. Czekali na nas i zastanawiali się, jak nas dopaść.

- Dobra, to co teraz? - zapytałam drżącym głosem. Byłam bliska płaczu.

- Poczekamy tutaj, aż sobie pojadą - zaproponowała Melike.

Nagle odezwała się moja komórka. Drgnęłam zaskoczona, a Fritzi przestraszył się mojej reakcji. Jedną ręką starałam się ściągnąć wodze, a drugą obmacywałam kieszenie, aż w końcu znalazłam telefon.

- Gdzie się włóczysz? - usłyszałam wściekły głos brata. - Mama wysłała mnie po ciebie, ale nie mam zamiaru biegać po całej stadninie i cię szukać.

- Wzięłyśmy z Melike Siriusa i Fritziego na przejażdżkę. - Musiałam się wysilić, żeby w moim głosie słychać było spokój i opanowanie. - Zaraz będziemy z powrotem.

- Przejażdżkę?! Chyba tylko wam mogło coś takiego strzelić do głowy! - parsknął Christian. - Lepiej się pospiesz, bo jak nie, to możesz mieć nieprzyjemności.

Pik. Rozłączył się. Super. Pościg nie był już moim jedynym problemem. Przed nami rozciągały się ponure, ciemne mokradła, za nami czaił się troll z pomagierami, a w domu czekał wściekły Christian!

Fritzi przebierał niecierpliwie nogami i albo napierał na Siriusa, albo przyciskał mi boleśnie nogę do drzewa.

- Hej! - krzyknęła Melike i wskazała dłonią na szlaban. - Odjeżdżają! Szybko, musimy się spieszyć!

Zawróciłyśmy konie. Wystarczyło, by Fritzi poczuł, że jedziemy w stronę stajni, a niemal nie mogłam go powstrzymać. Z największym trudem zmusiłam go do stępa, lecz kiedy minęliśmy szlaban, natychmiast przeszliśmy w kłus. Mimo że ponoć konie znacznie lepiej widzą w ciemnościach niż ludzie, wolałam nie ryzykować jazdy galopem.

Christian czekał na nas przy stodole - i to nie sam, lecz w towarzystwie Ariane! Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyłam, że ją obejmuje. Melike też nie.

- Odstawię Siriusa do boksu - mruknęła. - Trzymaj się.

- Co ja widzę. - Nie zsiadając z konia, spojrzałam na brata. - Ciężko pracujesz na zadowolenie klientów?

Ariane zachichotała idiotycznie, lecz Christian chyba nie zrozumiał mojego żartu.

- Odstaw tę szkapę gdzie jej miejsce i natychmiast do mamy - zaatakował mnie. - Jest na ciebie wściekła.

Ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, była kłótnia z bratem, więc bez słowa zeskoczyłam z siodła i ruszyłam z Fritzim do jego boksu. Gdyby nie Ariane, opowiedziałabym mu pewnie, co widziałyśmy z Melike w lesie. Teraz jednak wolałam milczeć.

Rozdział 19

- NO WRESZCIE! - westchnęła mama, kiedy pogłaskałam ją po ramieniu. - Jesteście głodne?

Stała za ladą w świetlicy dla jeźdźców i z pomocą Corinny Faist serwowała napoje. Z wyrazu jej twarzy nie wynikało, żeby była przerażona moją nieobecnością. A więc Christian znów przesadził.

Zamówiłyśmy z Melike sałatkę z makaronem i z kociołka na kuchence gazowej wyłowiłyśmy po kiełbasce. Potem znalazłyśmy wolne miejsca i usiadłyśmy. Stołówka niemal pękała w szwach i panowała straszna duchota, jednak nie mogłam narzekać, bo przynajmniej było ciepło. Przez wielkie okna mogłyśmy oglądać, co się dzieje w ujeżdżalni, nie odmrażając sobie pupy na lodowatych ławkach dla widowni.

Rozpoczęła się już ostatnia godzina kursu, po której jeźdźcy, jak co roku mieli w zwyczaju, zbierali się w świetlicy i przesiadywali w niej do późnej nocy, rozmawiając i pijąc. Dziadek i babcia nie wrócili jeszcze do stadniny, więc gospoda była zamknięta i dlatego impreza się tam nie przeniosła.

Niczym dwa zagłodzone psiaki wymiotłyśmy talerze do czysta, a na koniec wszystko popiłyśmy colą. W cieple i z dala od ciemnego lasu, w otoczeniu roześmianych i rozgadanych ludzi, przygoda w lesie wydała mi się nierealna.

- A teraz pomyśl, że mogłaś się przewrócić - szepnęłam do przyjaciółki. - I troll by cię dopadł.

- Albo ciebie - odparła Melike. - Widziałam, że Fritzi prawie cię zrzucił.

- Bzdura! - zaprotestowałam. - Nie zrzucił, tylko przytarł o drzewo. Idę o zakład, że jutro będę miała spuchnięte kolano.

I wtedy nagle, jak grom z jasnego nieba, przyszło mi coś do głowy. Jeszcze przed

chwilą śmiałyśmy się z żartów na temat wyprawy do lasu, a teraz spoważniałam.

- Co się dzieje? - zapytała Melike.

- Zrobiło mi się za gorąco. - Wstałam z krzesła. - Chodź, idziemy się przejść.

Złapałyśmy nasze kurtki, wyrzuciłyśmy jednorazowe talerzyki i kubki do worka na plastiki, który wisiał przy drzwiach, i wyszłyśmy na zewnątrz. Kiedy owiał nas lodowaty wiatr, miałam wrażenie, że pali mnie skóra na twarzy.

- Chodź. - Schwyciłam Melike za ramię i pociągnęłam ją za sobą, w kierunku boksu Jaspera.

Duże świetlówki pod sufitem były już wyłączone i paliła się tylko pojedyncza lampa nad stanowiskiem do mycia koni, pogrążając stajnię w nieprzyjemnym, drżącym cieniu. Weszłyśmy do boksu Jaspera i przykucnęłyśmy w sianie.

- O rany, mów już wreszcie, o co chodzi! - syknęła Melike.

- Widziałaś tam Friedricha Gottschalka - odpowiedziałam jej. - To przecież ojciec matki Tima. Teraz mi to przyszło do głowy. Łapiesz? To dziadek Tima!

- No i? - Melike spojrzała na mnie zaskoczona. Nic jeszcze nie rozumiała.

- Oficjalnie jest skłócony z ojcem Tima i od lat nie zamienili ani słowa - tłumaczyłam dalej. - Ale jeśli Gottschalk robi ciemne interesy z tymi koniokradami, to całkiem możliwe, że Richard Jungblut sprzedaje konie, które ta dwójka komuś ukradła.

Melike przez kilka sekund nie odrywała ode mnie wzroku.

- Musimy pokazać Timowi zdjęcia koni, które zrobiłaś w leśniczówce - wyjaśniłam zdenerwowana. - Jeśli widział te konie albo zobaczy u siebie w stajni, będziemy mieć dowód. Wtedy policja w końcu zajmie się tą sprawą i coś zrobią. Może bali się ruszać kogoś tak bogatego jak Gottschalk?

- No coś ty, ojciec Tima miałby być koniokradem? - Melike potrząsnęła głową. - W sumie, czemu nie? Nawet mogłabym to sobie wyobrazić. On ma w sobie coś oślizgłego.

Z ujeżdżalni dobiegł nas przytłumiony głos taty. Poza tym słyszałam głuche uderzenia kopyt i od czasu do czasu łoskot zrzucanego drąga. Z boksów dookoła słychać było spokojne przeżuwanie, zgrzytnięcie końskich zębów, szelest siana i rżenie.

Naraz w ciszę pustej stajni wdarł się stukot czyichś kroków. Były coraz bliżej. Odważyłam się wyjrzeć przez szczebelki boksu.

- To Corinna Faist i Engelbert Maiwald - szepnęłam do przyjaciółki.

Corinna i jej mąż byli właścicielami „Złotego Łabędzia" przy głównej ulicy Steinau. Corinna od lat trzymała u nas konia i choć jeździła bardzo słabo, trzeba było jej oddać, że nadrabiała ambicją. Właściwie to nawet ją lubiłam, choć tata twierdził, że ma najdłuższy język w całej okolicy. Kiedy byłam małą dziewczynką, nie wiedziałam, dlaczego tak sądzi. Dla mnie jej język wyglądał zupełnie normalnie. I tak też powiedziałam tacie, na co on się roześmiał i wyjaśnił, że Corinna bardzo chętnie obgaduje innych i opowiada o nich złe rzeczy.

Engelbert Maiwald był dalekim krewnym burmistrza Steinau. Uważał się za wyjątkowego ważniaka, afiszował się z tym pokrewieństwem i zawsze zachowywał tak, jakby należał do jego najbardziej zaufanych doradców. W rozmowach większość zdań zaczynał od: „Ostatnio rozmawialiśmy sobie z moim świetnym przyjacielem, panem burmistrzem, i on powiedział, że..." albo „Burmistrz i ja uważamy, że...".

Szli teraz w naszą stronę, ale niespodziewanie zatrzymali się dwa boksy od miejsca, gdzie się schowałyśmy, przy koniu Corinny.

-...byli u nas na obiedzie i wtedy mi wszystko opowiedziała. - Corinna mówiła półgłosem, jakby przekazywała jakąś tajemnicę. - Weilandowie nie są w stanie utrzymać stadniny. Niedługo ją stracą, to przesądzone.

- Wiem z pewnego źródła - odparł Engelbert zarozumiałym tonem - że zlicytują ich majątek już w przyszłym roku. Mają takie długi, że nie ma możliwości, żeby się wybronili. Zabijają ich odsetki. Wiem to od szwagra, który pracuje w dziale kredytów.

Wymieniłyśmy z Melike spojrzenia.

- A popatrz, Susanne zachowuje się tak, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku. - Corinna potrząsnęła głową. - Jedną stajnię mają pełną drogich koni sportowych, do tego dwie duże ciężarówki, tutaj nowe siodła, tam znowu buty... Chyba powinni w takiej sytuacji żyć trochę oszczędniej.

- Dziwne, bo stajnie mają przecież pełne - odparł Engelbert. - Bóg jeden wie, co oni robią z tymi pieniędzmi.

- Susanne mogłaby na przykład pójść do pracy. Przynajmniej na pół etatu - ciągnęła Corinna. - Ale nie, na to jest za dobra, żeby pracować jak inni.

- Może po prostu nie zdają sobie sprawy, jaki miecz Damoklesa nad nimi wisi. - Engelbert zaśmiał się nieprzyjemnie. - Zobaczymy, co powiedzą, jak do drzwi zapuka im komornik i likwidator.

- Albo jak Teichert kupi całą stadninę. - Corinna zachichotała.

Poczułam, że wzbiera we mnie straszna złość. Jak ci ludzie mogli być aż tak dwulicowi? Corinna zawsze udawała przyjaźń i serdeczność, godzinami plotkowała sobie z mamą i zachowywała się, jakby były najlepszymi przyjaciółkami. Pewnie usiłowała w ten sposób wyciągnąć od mamy jakieś nowe informacje, żeby potem sprzedawać je dalej, stojąc za ladą „Złotego Łabędzia". Co za fałszywy babsztyl! I jeszcze ten ważniak Engelbert! A przecież nie tak dawno - dzisiaj wieczorem siedział z tatą przy stole! Pewnie nadstawiał te swoje ogromne uszyska, żeby wyłapać jakieś plotki, które potem mógłby przekazać dalej swojemu wielkiemu przyjacielowi burmistrzowi czy szwagrowi z działu kredytów. Najchętniej wyskoczyłabym zaraz z boksu i nawrzeszczała na nich!

- Susanne chodzi uśmiechnięta - syknęła Corinna - jakby nie miała żadnych

problemów. Niektórym to nawet milion euro długu nie przeszkadza.

- Jak ona mogła coś takiego powiedzieć? - szepnęłam, nie posiadając się ze złości.

- Gdybym ja się znalazł w takiej sytuacji, nie spałbym po nocach - potaknął Engelbert.

Przełknęłam głośno ślinę. Nie mieli pojęcia, jak trudno było mamie uśmiechać się i zachowywać tak, żeby nas nie niepokoić? Gdyby nie to, musiałaby przecież całymi dniami chodzić załamana i bez przerwy płakać! Ale to pewnie Corinnie podobałoby się znacznie bardziej. Nagle usłyszałam głos mamy.

- Engelbert! Corinna! Tutaj jesteście - powiedziała. - Nie widzieliście gdzieś przypadkiem Eleny i Melike?

- Nie - odparła Corinna. - Tutaj ich w każdym razie nie ma. Ile jeszcze lekcji będzie dzisiaj wieczorem?

- Po tej, która akurat trwa, będzie jeszcze tylko jedna i koniec - wyjaśniła mama.

- Macie niezłe obłożenie, jak patrzę na liczbę uczestników kursu. - Engelbert był tym wyraźnie zainteresowany.

- Tak, w tym roku nie mamy na co narzekać - potwierdziła mama. - Muszę już lecieć, a wy bawcie się dobrze.

- Trzymaj się! - Corinna poczekała, aż mama wyjdzie ze stajni. - Nie ma co, ja też byłabym zadowolona: osiem lekcji pod rząd, każda dla czterech jeźdźców. Pieniądze tylko w gotówce, prosto do kieszeni. O podatkach nikt tutaj przecież nie mówi.

- W takim układzie nawet z długami w banku da się wygodnie żyć - potwierdził Engelbert nieprzyjemnym tonem. - Jak się dowie o tym urząd skarbowy, to dopiero zobaczą! Ale tacy jak oni zawsze mają szczęście, wszystko im się upiecze. A my, uczciwi ludzie, jak jacyś frajerzy płacimy podatki.

Dobrze, że Melike mnie mocno trzymała, bo wyskoczyłabym i powiedziała, co o nich myślę.

- Co za cholerne, śmierdzące świnie! - Trzęsłam się z oburzenia.

- Są nawet gorsi niż świnie. - Melike również była wstrząśnięta. - Przy twojej mamie tacy mili, że och i ach, a jak się obrócisz, to obrabiają ci tyłek. Rzygać się chce, jak się na nich patrzy.

- Założę się, że pierwsi by się cieszyli, gdybyśmy musieli sprzedać stadninę.

Poczułam, że łzy cisną mi się do oczu, tak bardzo byłam zszokowana dwulicowością tych ludzi. Nie mogłam uwierzyć, że można być aż tak podłym! Wiedziałam, że już nigdy nie będę patrzeć na naszych klientów w ten sam sposób. Który z pochlebców szczerze gratulował mojemu tacie, kiedy siedzieli razem przy piwie po tym, jak wygrał jakieś szczególnie trudne zawody? Korzystali z jego nazwiska, żeby ogrzać się jego sławą, kiedy w gazetach czy nawet w telewizji mówili o zwycięskim przejeździe Michaela Weilanda. A w rzeczywistości byli małymi, zawistnymi ludźmi. Widzieli w nim tylko nagrody, kotyliony i puchary, ale nie widzieli, ile ciężkiej pracy go to kosztowało i ile wyrzeczeń. Nie widzieli zawiedzionych nadziei, rozpaczy i trudnych chwil, kiedy któryś z jego najlepszych koni chorował albo zabierał go właściciel - co też się przecież zdarzało.

Engelbert i Corinna wyszli ze stajni. Wstałyśmy z Melike z siana i ruszyłyśmy główną alejką między boksami. Wyczesywałam sobie z włosów pojedyncze źdźbła trawy.

- Już nigdy w życiu się do nich nie odezwę, przysięgam!

- Ja też nie. - Melike dotknęła ich rozmowa tak samo jak mnie. - Naprawdę macie takie straszne kłopoty?

- Chyba tak - potaknęłam zrozpaczona.

W tej samej chwili w wejściu do stajni znów pojawiła się mama.

- W końcu was znalazłam. - Podeszła bliżej i przestraszyła się na widok mojej miny. - Eleno, co z tobą? Coś się stało?

- Przez przypadek podsłuchałyśmy rozmowę Corinny i Engelberta... - wyjaśniła Melike.

- Mówili strasznie podłe rzeczy! Że należałoby się nam, gdybyśmy stracili stadninę, że się nie przejmujemy długami, żyjemy ponad stan i nie liczymy pieniędzy.

Mama zbladła.

- No cóż, w przypadku Corinny to bardzo prawdopodobne - powiedziała cicho. - Ale nie przejmuj się jej gadaniem. - Położyła mi dłoń na ramieniu. - Niech sobie gada, co tylko chce. Ludzie muszą mieć jakiś temat do plotek. Może to po prostu zazdrość? Wściekają się, bo nie prosimy nikogo o współczucie.

- Tylko że ona zawsze udaje taką wielką przyjaciółkę. - Otarłam oczy. - To jest okropne! I podłe!

Mama westchnęła.

- Ludzie rzadko są tacy, za jakich się podają. Ale nie przejmuj się, wszystko się wyjaśni. I będzie już dobrze. Domyślasz się, dlaczego tak mocno w to wierzę?

- Nie - wymamrotałam.

- Bo chcę im wszystkim pokazać, jak bardzo się mylą - odparła mama. - Właśnie takim zawistnikom jak Corinna i Engelbert. Właśnie dlatego.

Rozdział 20

JUŻ DWA TYGODNIE minęły od Nowego Roku, a ja musiałam wrócić do szkoły. Nigdy jeszcze nie tęskniłam tak bardzo za końcem ferii. Stęskniłam się za Timem, a w przerwie świątecznej nie było okazji, żeby się zobaczyć. Co pewien czas rozmawialiśmy przez telefon, ale zwykle brakowało mi słów, żeby powiedzieć, co myślę. Tim nie przepadał za pisaniem smsów. Niecierpliwie czekałam, aż stopnieje śnieg i znów ociepli się na tyle, żebyśmy mogli wznowić treningi z Fritzim.

Zamknęłam zeszyt do matematyki i otworzyłam szufladę biurka. Wczoraj przyszły papiery z Krajowego Związku Jeździeckiego. Z pomocą dziadka zgłosiłam Fritziego jako konia sportowego i zamówiłam naklejki, których potrzebowałam, żeby startować na nim w turniejach. Po długich naradach z Melike zdecydowałam, że zostanie zarejestrowany jako Fritz Power.

- Fritz Power - mruknęłam i popatrzyłam z uśmiechem na zestaw nalepek. Teraz naprawdę mogłam zacząć na nim startować! Na parterze trzasnęły drzwi. Szybko wrzuciłam naklejki i dokumenty Fritziego do szuflady.

- Dlaczego mówisz mi to akurat teraz? - Kilka minut później usłyszałam z dołu głos taty. Był zdenerwowany.

Wstałam i na palcach zakradłam się do drzwi. Od Nowego Roku skończył się złudny spokój, a zachowanie taty stało się na powrót równie nieprzyjemne jak pogoda za oknem. Każda jego rozmowa z mamą przeradzała się w straszną kłótnię.

- Jak to, teraz? A niby kiedy miałam ci o tym powiedzieć? - zapytała mama. - W zeszłym tygodniu pojechałeś do Verden. Przed turniejem nie chcesz rozmawiać o niczym, co mogłoby cię rozpraszać, a po turnieju nie pozwalasz sobie psuć humoru. Za każdym razem zostawiasz mnie samą ze wszystkimi problemami i uciekasz. A powinieneś się bardziej tym wszystkim interesować, bo to w końcu dotyczy naszej przyszłości.

Wbiłam wzrok w podłogę i oparłam głowę o futrynę. Ostatnio tata i mama niemal bez przerwy się kłócili. Nawet nie zaprzątali już sobie głowy tym, żeby robić to za zamkniętymi drzwiami. Wcześniej nie dochodziło do takich scen.

- Powiesz mi, co z klientami, którzy testowali Genuę? - zapytała mama.

- Przecież nie sprzedam jednego z moich najlepszych młodych koni tylko dlatego, że muszę wymienić kilka pękniętych rur! - wrzasnął tata z wściekłością. - Ten idiota zaproponował mi za nią jedenaście tysięcy euro! Czy on na głowę upadł? Ta klacz zwyciężyła w kilkudziesięciu turniejach i jest idealnie zdrowa! Jeśli pojadę na niej kilka razy w tym sezonie, dostanę dwa albo i trzy razy tyle.

- Miejmy nadzieję - mama odparła lodowatym głosem.

- Muszę zwyciężać na zawodach! - Tata przestał się hamować i wrzeszczał już na całe gardło. Słysząc go, chciałam przycisnąć dłonie do uszu. - Naprawdę tego nie pojmujesz?! Jak będę skakał tylko w jakichś lokalnych konkursach w okolicy, nikt tu nawet nie zajrzy, żeby kupić od nas konia!

- Uspokój się i przestań na mnie wrzeszczeć - powiedziała mama. - Znów jesteśmy spóźnieni ze spłatą odsetek. Mamy też do opłacenia rachunki za paszę, za kowala i za weterynarza. Nie zdziwię się, jeśli następnym razem odmówi nam wizyty... A Teichertowie i Wengerowie nie zapłacili za ostatnie dwa miesiące pensjonatu i za objeżdżanie ich koni.

- Wengerów wywal na zbity pysk.

- Co z Teichertami?

- Chryste! Przecież oni są właścicielami dwóch z moich najlepszych koni, na których chcę zakwalifikować się do krajowego czempionatu!

- Co nam po koniach, skoro nie dostajemy za nie żadnych pieniędzy?

- Pieniądze! Pieniądze! Pieniądze! Nic, tylko pieniądze! Czy ty w ogóle jeszcze

potrafisz mówić o czymkolwiek innym? Dla ciebie liczy się tylko kasa! Wcześniej potrafiłaś odczuwać radość i dumę, kiedy mogłaś opiekować się jakimś wspaniałym koniem, a teraz? Teraz tylko kasa! Pieniądz! Szmal! Ty się zajmij spłacaniem pożyczki, a ja się zajmę swoją pracą, czyli jeżdżeniem, zrozumiałaś?

- Chyba nic innego mi nie pozostało - westchnęła mama z rezygnacją. - Pewnie, zostaw mnie z całym tym burdelem, wsiadaj do samochodu i jedź napić się z kumplami, narzekając, że masz chciwą żonę! Od tygodni nie zajmujesz się niczym innym!

- Skończyłaś już?

Tata mówił nieprzyjemnie chłodnym tonem.

Ale mama mu nie odpowiedziała. Chwilę potem usłyszałam trzaśnięcie drzwi i w domu zapanowała cisza.

Poczekałam jeszcze trochę i powoli zeszłam na dół. Mama stała przy oknie i wyglądała na maneż, który w półmroku styczniowego popołudnia sprawiał ponure wrażenie.

- Mamo?

Mama otarła dłonią oczy i odwróciła się do mnie.

- Co się dzieje, kochanie? - Chciała się zmusić do uśmiechu, ale mnie nie mogła oszukać. Widziałam, że płakała.

- Przemyślałam sobie wszystko - zaczęłam ostrożnie. - Fritzi w tym roku skończy pięć lat. Świetnie się rozwija i już w ogóle nie kuleje. Jeśli wystawię go na kilku turniejach i dobrze mu pójdzie, tata mógłby starać się na nim o czempionat. Może mógłby go potem dobrze sprzedać, żebyśmy spłacili długi. Co o tym myślisz?

Mama położyła mi dłoń na ramieniu i zacisnęła wargi, walcząc ze łzami.

- To nie jest dobry pomysł - powiedziała cicho. - Fritzi to twój koń, kochanie. I niech

tak już zostanie. Tata, gdyby tylko chciał, mógłby sprzedać kilka swoich koni...

Z jej głosu przebijało zgorzknienie. Nie dałam się zbyć. Już od dawna miałam przygotowany plan i nic nie było w stanie odwieść mnie od jego realizacji, choć potrzebowałam do niej pomocy mamy.

- Zgłosiłam Fritziego na zawody - wypaliłam, nie owijając w bawełnę.

- Słucham? - Mama popatrzyła na mnie z zaskoczeniem. - Co zrobiłaś? Przecież on ani nie ma paszportu, ani nie jest zgłoszony w związku jeździeckim!

- Już jest. - Uśmiechnęłam się szeroko. - Dziadek mi pomógł. Zgłosiłam Fritziego do skoków w klasie LL w Auringen. W tym samym czasie jest turniej w Elz, więc tata na pewno tam pojedzie i o niczym się nie dowie.

- Jesteś naprawdę przebiegła. - Mama się roześmiała. - Ale w sumie, dlaczego nie? Fritzi to twój koń, więc powinnaś go brać na zawody.

- Pojedziesz z nami?

- Oczywiście, że tak.

Podskoczyłam z radości i rzuciłam się mamie na szyję.

- Jesteś najlepszą mamą na świecie - wyszeptałam i pocałowałam ją w policzek. - Dzięki!

Potem cofnęłam się o krok i popatrzyłam na nią uważnie.

- Ale przysięgnij, że to będzie nasza tajemnica.

- Przysięgam. - Mama mrugnęła do mnie, a potem zrobiła minę, jakby jej coś właśnie przyszło do głowy.

- Jeszcze coś, Eleno.

- Tak?

- Pod jakim imieniem go zapisałaś? Bo mam nadzieję, że nie tak, jak na niego wołasz?

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedziałam ze śmiechem. - Teraz nazywa się Fritz Power.

Rozdział 21

WE WTOREK WIECZOREM wydarzyło się coś, co ostatecznie zniszczyło moją wątłą nadzieję, że nasza rodzina i rodzina Tima mogłyby kiedyś zakopać topór wojenny i zapomnieć o nienawiści. Tata i Jens jeździli na dużej ujeżdżalni, a Christian akurat odstawiał jednego konia i brał kolejnego na objazd. Dziadek poprosił, żebym przyjechała Siriusem na lekcję dla początkujących, bo ma tam kogoś, kto powinien zacząć właśnie od kuca.

Zaprowadziłam Siriusa na miejsce do czyszczenia koni, a kiedy go szczotkowałam, na podwórze między stajniami i mniejszą ujeżdżalnią wjechała duża, ciemnozielona ciężarówka do przewozu zwierząt. Samochód zawrócił i zatrzymał się. Z zaciekawieniem wyjrzałam ze stajni. Samochody pana Nötzlego wyglądały trochę inaczej. A potem nagle serce mi prawie stanęło, bo na burcie pojazdu dostrzegłam duży napis: „Konie sportowe Jungblut".

W tym samym momencie w stajni pojawił się Christian. Czerwony z wściekłości biegł główną alejką w stronę ujeżdżalni. Upuściłam zgrzebło i ruszyłam pędem za nim.

- Co proszę?! - Tata spojrzał na Christiana i zatrzymał konia.

- No przecież mówię wyraźnie!! - krzyknął Christian. - Stary Jungblut przyjechał tu z synalkiem! Wiesz, czego chcą?

Całkowicie mnie zaskoczył. Czyli Tim też tu był? O rany...

- Chyba się domyślam. - Tata westchnął głęboko.

Ku mojemu zaskoczeniu nie wydawał się szczególnie zły, tylko strasznie poirytowany. Zeskoczył z siodła i pociągnął za sobą Cornado.

Trzęsłam się na całym ciele i miałam mdłości ze strachu. Co będzie, jeśli tata rzuci się teraz z pięściami na Richarda Jungbluta i obaj zaczną się bić? Dziadek! Tak jest, musiałam jak najszybciej znaleźć dziadka! On mógłby zapobiec najgorszemu. Popędziłam go szukać.

Siedział w siodlarni, w której urządził sobie coś na kształt biura.

- Szybko, dziadku! Chodź! - krzyknęłam spanikowana. - Przed chwilą przyjechał tu Richard Jungblut! Mógłbyś tam pójść i coś zrobić, żeby się nie pobili?

- Richard Jungblut? Tutaj? W naszej stadninie? - Dziadek spojrzał na mnie zaskoczony.

Ani przez chwilę się nie wahał. Wstał zza biurka i wyszedł za mną do ujeżdżalni. Tata chodził wzdłuż bandy z telefonem przy uchu i z ponurą miną z kimś rozmawiał.

Christian odwrócił się, słysząc za sobą kroki dziadka.

- Przyjechali zabrać konie Teichertów - wyszeptał. - Tata rozmawia właśnie z Teichertem. Ale chyba nie da się już tego odkręcić.

- Micha, co teraz znowu wymyśliłeś?! - wrzasnął Richard Jungblut, stojąc przed wejściem. - Nie mam czasu, żeby czekać tu w nieskończoność!

Mężczyzna stał w rozkroku, z rękoma w kieszeniach i żuł gumę, szeroko się uśmiechając.

Tata schował komórkę i zamarł z kamienną twarzą. Przez parę sekund stał nieruchomo i patrzył gdzieś daleko przed siebie. W końcu ruszył w stronę wyjścia. Całość przypominała mi scenę z westernów, gdzie zły staje w pewnym momencie naprzeciwko dobrego, by zmierzyć się z nim w pojedynku.

- Nie wypuszczę koni ze stajni, dopóki nie dostanę zaległych pieniędzy. - Tata mówił zadziwiająco spokojnym głosem.

- Hans-Dieter dał mi czek in blanco - odpowiedział Jungblut. - Podaj sumę i po krzyku.

Mówiąc to, wyciągnął przed siebie kawałek papieru, ale tata się nie ruszył, żeby go

odebrać.

Powoli zaczynało do mnie docierać, co tu się właściwie dzieje. Obrzydliwie chytry Teichert zlecił Jungblutowi odebranie ze stadniny jego koni, bo sam był zbyt wielkim tchórzem, żeby to zrobić. A Richard Jungblut wykorzystał okazję na swój sposób, bo jak widać, takie scysje sprawiały mu wielką przyjemność.

Zaczęłam rozumieć wściekłość Christiana. Pomyślałam o Ariane, która dzisiaj w szkole zachowywała się jeszcze bardziej wyniośle i była jeszcze nieznośniejsza niż zwykle. A Teichertowie musieli wiedzieć, co oznacza przeniesienie ujeżdżonych i przygotowanych do sportowej jazdy koni do stajni jego najgorszego wroga.

Tata ani drgnął, więc zebrałam się w sobie i zmuszając się do odwagi, podeszłam do Richarda Jungbluta.

- No proszę - powiedział ojciec Tima i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Kogóż to ja widzę? Naszą małą, odważną poskramiaczkę koni. Ma się więcej odwagi od tatusia, co, mała?

Gotując się z wściekłości, wyrwałam mu czek z dłoni.

- Cieszę się, że to akurat pan będzie się użerał z tą głupią Ariane i jej męczącymi rodzicami - oznajmiłam i z wielką przyjemnością obserwowałam, jak z twarzy Richarda Jungbluta znika uśmiech. - Powodzenia!

Po tych słowach odwróciłam się na pięcie. Serce waliło mi jak oszalałe, kolana dygotały. Ruszyłam w stronę stajni i podałam czek. Tata odebrał go ode mnie i bez słowa, ba, nawet bez jednego spojrzenia w moją stronę odwrócił się do wejścia do budynku.

- Dam znać Jensowi - wycedził przez zaciśnięte zęby do Christiana. - Niech przyprowadzi Almiro, Lady Gagę i Phoeniksa. Tak szybko, jak się da. I nie zapomnij papierów.

Potem odszedł.

- Nie, to przecież jakieś szaleństwo - wymamrotał mój brat.

Po kilku chwilach przybiegł Jens i spojrzał zaskoczony na Christiana i na dziadka, a na koniec też na mnie.

- Co tu się dzieje? - zapytał.

- Weź Almiro i Phoeniksa - polecił mu mój brat. - Ja się zajmę klaczą. Tylko zostaw derki, bo są nasze.

Milczałam i patrzyłam, jak wyprowadzają konie z boksów, zdejmują z nich derki i wyprowadzają na zewnątrz.

I wtedy zauważyłam Tima. Stał obok ojca z miną, jakby chciał być wszędzie, byle dalej stąd. W pewnym momencie nasze spojrzenia się spotkały, na co on spuścił szybko wzrok.

- No dalej, bierz te konie! - warknął Richard Jungblut.

Tim drgnął posłusznie.

- Ani się waż choćby na centymetr przekroczyć próg stajni - ostrzegł go Christian. Oczy błyszczały mu nienawiścią. Z pogardą rzucił Timowi uwiąz Lady Gagi. - Kantar i uwiąz masz przynieść z powrotem.

Tim odprowadził klacz do samochodu i wprowadził do środka. Chwilę później pojawił się z kantarem i uwiązem w dłoni. Unikał patrzenia w moją stronę, więc ja też w żaden sposób nie zdradzałam, że znamy się znacznie lepiej, niż nam wolno. Richard Jungblut nie ruszył palcem, żeby pomóc synowi, i tylko przyglądał się z wyrazem zadowolenia na twarzy, jak Tim po kolei odbiera konie, prowadzi je do ciężarówki i wraca do Christiana z ogłowiem. Na koniec odebrał od Jensa wszystkie trzy paszporty koni.

- Jeszcze tego pożałujesz - syknął Christian. - Zapłacisz za to, zobaczysz! Jesteś takim samym gnojem jak twój stary!

Tim nie zareagował na obelgi. Odwrócił się jedynie i poszedł do samochodu, żeby podnieść ciężką rampę załadowczą.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Richard Jungblut uśmiechnął się kpiąco. - I pozdrówcie ode mnie Susanne.

Popatrzyłam na brata. Widziałam w jego oczach, że najchętniej rzuciłby się na intruza i napluł mu w twarz. Mimo to się opanował. Kilka chwil później rozległ się warkot silnika i ciężarówka z końmi Teichertów wytoczyła się z podwórza. Zaskoczenie było całkowite, a porażka ogromna. Christian nie musiał się już powstrzymywać. Wyrzucił z siebie najgorsze przekleństwa, jakie znał, i kopnął z całej siły małą drabinkę, z której korzystaliśmy przy rozczesywaniu koniom grzyw. Ta przeleciała spory kawałek nad podłogą stajni i gruchnęła o ścianę boksu. Przestraszone konie zarżały głośno i rozległ się stukot kopyt.

- Starczy już! - W wejściu do stajni pojawił się tata i polecił Jensowi oraz Christianowi przenieść trójkę innych koni do boksów opuszczonych przez zwierzęta Teichertów. A potem, w żaden sposób nie nawiązując do zaistniałej sytuacji, wrócił do swoich obowiązków. Na mnie i dziadka w ogóle nie spojrzał.

- Eleno, chodźmy. - Dziadek położył mi dłoń na ramieniu.

Dopiero teraz dotarło do mnie znaczenie wydarzeń, które przed chwilą się tu rozegrały. Na dodatek nienawiść Christiana do Tima urosła chyba stukrotnie przez tę krótką chwilę, kiedy się widzieli. Nie pozostało mi nic innego, jak wybić go sobie z głowy. Tim był synem śmiertelnego wroga naszej rodziny i nic nie było w stanie tego zmienić.

„Nie bądź na mnie zła", przeczytałam. „Nic nie poradzę, muszę jechać zaraz ze starym do waszej stadniny po konie Teichertów. PZDR T.".

Tim wysłał mi tego smsa dwanaście po drugiej w południe, ale go nie przeczytałam, bo zostawiłam komórkę na biurku. Czyli... próbował mnie ostrzec! Czy w takim razie mogłam być na niego zła? Musiał w końcu słuchać ojca, tak jak ja i Christian musieliśmy słuchać naszego taty.

- Elena-Marie!

Drgnęłam, słysząc krzyk taty. Schowałam błyskawicznie komórkę pod poduszkę. Kiedy wołał mnie pełnym imieniem, wiedziałam, że to bardzo zły znak.

- Tak?

- Proszę na dół!

Lepiej było nie kazać mu na siebie czekać. Jak oparzona zerwałam się z łóżka i przeskakując po dwa stopnie, zbiegłam na dół. Tata stał w korytarzu. Miał na sobie buty do jazdy konnej i kurtkę, wyglądał na strasznie wściekłego.

- Chcę ci coś oznajmić - zaczął wzburzonym tonem. - Otóż istnieją bardzo ważne powody, dla których nie utrzymujemy żadnych kontaktów z Jungblutami. Nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego i doskonale o tym wiesz, prawda?

Przełknęłam głośno ślinę i potaknęłam. Nie zanosiło się raczej na to, żeby mnie pochwalił za odebranie czeku od ojca Tima.

- Wiesz również, że od ciebie i Christiana oczekuję, że będziecie trzymali się z dala od Jungblutów. I nie mówię tego tak sobie, dla fantazji, ale zupełnie poważnie.

O Boże! Chyba nie dowiedział się o tajnych treningach z Timem? Na przemian wstrząsały mną dreszcze i oblewał zimny pot. W drzwiach gabinetu stanęła mama.

- W takim razie w jaki sposób wyjaśnisz fakt, że w czasie turnieju siedziałaś sobie z Timem Jungblutem przy stole i w najlepsze rozmawialiście?

Zatem Christian mnie wydał, co za ohydny troglodyta! Na szczęście wiedział tylko o tym, więc nic wielkiego się nie stało. Mogło być przecież znacznie gorzej.

- Złapałam konia, który spanikował, i biegł przez parking - wyjaśniłam, żeby się

bronić. I nie musiałam zmyślać, bo tak było naprawdę. - Nie wiedziałam, do kogo należy.

- Ale wiedziałaś, kto cię potem zaprasza na colę, i zgodziłaś się na to, by z Jungblutem siedzieć przy jednym stole! - zarzucił mi tata. - Możesz mi wyjaśnić, dlaczego?

No właśnie, dlaczego? Dlatego, że Tim mi się podobał. Dlatego, że mnie grzecznie zaprosił. Bo nie miałam i dalej nie mam pojęcia, skąd ta zatwardziała nienawiść między naszymi rodzinami. I dlatego, że nie mam absolutnie nic przeciwko Timowi Jungblutowi.

- Postąpiłam niewłaściwie - odpowiedziałam cicho. - Przepraszam. Nie pomyślałam o tym, dopóki nie zobaczyłam Christiana.

Ciekawe, co by się stało, gdyby tata się dowiedział o wizycie Tima u nas w stadninie i o tym, że regularnie się spotykaliśmy, żeby mógł mnie uczyć jeździć konno? Skoro o głupią colę potrafił zrobić taką awanturę, wolałam nie myśleć, jakie za to spotkałyby mnie konsekwencje.

- Czyli nie pomyślałaś. Biedactwo. A kiedy byłaś zbyt leniwa, żeby poczekać na kolejny autobus i wsiadłaś do ich samochodu?! Niech zgadnę, też nie pomyślałaś, tak?! - Bez ostrzeżenia zaczął na mnie strasznie krzyczeć, aż ściany się zatrzęsły. - Kiedy bez pytania mnie minęłaś i odebrałaś od tego gnojka czek, chociaż ja nie dalej jak pół minuty wcześniej ustaliłem z Teichertem, że przywiezie mi pieniądze w gotówce, to też nie pomyślałaś, tak?! W takim razie kiedy, do cholery jasnej, zaczniesz w końcu myśleć?!

Zrobiłam się purpurowa na twarzy, ale jednocześnie opanowała mnie wściekłość porównywalna do jego wzburzenia. Przecież chciałam mu tylko pomóc i co za to dostaję? Wrzaski! To było strasznie nie fair. Spojrzałam na mamę, szukając jej wsparcia, ale ona milczała. Stała w drzwiach do gabinetu i bez słowa się nam przyglądała.

- Może wtedy, kiedy ktoś mi wytłumaczy, dlaczego mam obowiązek nienawidzić Jungblutów! - krzyknęłam histerycznie.

Tata popatrzył na mnie w taki sposób, że byłam pewna, że po raz pierwszy w życiu dostanę od niego w twarz.

- Nie chodzi o to, że masz go nienawidzić - powiedział wtedy, z trudem panując nad głosem. I choć nie krzyczał już, ton jego głosu przeszył mnie jak sopel lodu. - Nie masz po prostu z nimi rozmawiać, pić coli i jeździć samochodem. To całkowicie wystarczy. Czy wyraziłem się jasno?

Wiedziałam, że lepiej się nie odzywać. Kiwnęłam jedynie głową, choć czułam, że łzy napływają mi do oczu, a w gardle pojawia się wielka klucha, której nie mogłam przełknąć.

- A teraz wracaj do siebie - dodał tata na koniec. - Nie chcę cię już dzisiaj widzieć.

Błyskawicznie odwróciłam się na pięcie, wbiegłam po schodach na piętro i wpadłam do pokoju. Rzuciłam się na łóżko i ukryłam twarz w dłoniach, a głowę schowałam pod poduszką. W końcu nie musiałam powstrzymywać płaczu. Nigdy jeszcze, przez całe swoje dotychczasowe życie nie poczułam się tak strasznie źle, tak poniżona i niesprawiedliwie potraktowana. Płakałam i płakałam, aż w końcu poczułam, że oczy mi całkowicie wyschły.

Usłyszałam cichy sygnał spod poduszki. Po omacku odszukałam telefon komórkowy, włączyłam ekran i zobaczyłam, od kogo przyszła wiadomość. Od Tima!

„Musimy się jutro zobaczyć, Eleno, proszę! Nawet jeśli nie będziemy dalej trenować, przyjedź proszę na naszą łąkę o trzeciej po południu", odczytałam z walącym sercem. „Muszę ci tak wiele spraw wyjaśnić i przeprosić. Strasznie mi przykro".

Tim, och, Tim! Westchnęłam głęboko, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu. Może gdyby tata wyjaśnił mi, dlaczego tak bardzo nienawidzi rodziny Jungblutów i dlaczego nie chce, żebym się z nimi widywała, napisałabym Timowi, że nie mogę się z nim zobaczyć. Ale skoro nie zamierzał się ze mną dzielić tą wiedzą, to nie! Tim zapewne nie miał nic wspólnego z przyczyną tej antypatii, której początek znali tylko mama i tata. Nic mnie nie obchodziło, czy chłopak był Jungblutem, czy nie. Chciałam się z nim zobaczyć i tyle.

„Jutro o trzeciej. PZDR, E.", napisałam i wysłałam.

- Tym razem pomyślałam - powiedziałam szeptem i uśmiechnęłam się pod nosem. -

Naprawdę, dobrze to przemyślałam.

Rozdział 22

BYŁO BEZPIECZNIE. TATA pojechał gdzieś z Christianem, żeby przetestować jakieś konie, Pryszczol miał wolne popołudnie, a mama, jak co środę, była u przyjaciółki, która mieszkała godzinę drogi od nas. Melike nie mogła jechać ze mną, bo do trzeciej miała lekcje, ale wiedziała wszystko co i jak, bo zdałam jej szczegółową relację z wczorajszych wydarzeń.

Obiad zjadłam u babci i błyskawicznie odrobiłam najważniejsze zadania domowe. Ledwo skończyłam, pobiegłam do Fritziego, żeby go osiodłać. Kiedy otworzyłam drzwi stajni, usłyszałam hałas z głównej siodlarni i czyjeś głosy. Nieco dalej dostrzegłam Violę Kaiser, jak swojemu gniademu wałachowi Kasimirowi zakłada ochraniacze transportowe na pęciny. Laura akurat wyprowadzała swojego konia z boksu, a na podwórzu ktoś manewrował samochodem z przyczepą do przewozu koni. Natychmiast zrozumiałam, że coś się dzieje. Zbyt wielki ruch jak na tę godzinę.

- Weilanda na pewno nie ma? - Jakby na potwierdzenie moich ponurych przypuszczeń usłyszałam głos Engelberta Maiwalda.

- Wyjechał ponad godzinę temu - odpowiedziała mu Corinna Faist. - Z Christianem. Pojechali gdzieś ciężarówką. A Susanne, jak co środę, jest u koleżanki.

Zaśmiała się kpiąco, a ja z wściekłości tylko zacisnęłam pięści.

- To lepiej się pospieszmy, bo nie mam ochoty spotkać ich, jak będą wracać.

Engelbert sapał, pchając przed sobą taczkę załadowaną po brzegi skrzynkami z przyborami do czyszczenia koni, siodłami, ogłowiami, derkami i innymi drobiazgami. Zrobił się okropnie czerwony, kiedy mnie zobaczył. Corinna ciągnęła za sobą cały worek derek i czapraków, a pod pachą ściskała bat do lonżowania.

- Dzień dobry - przywitałam się. - Co robicie?

- Eee... jedziemy na kurs. - Corinna wydawała się zakłopotana. - Do Neubergu.

Ze świeżo wypranymi derkami, batem do lonżowania i wszystkim, co jeszcze zmieścili na taczce? Dla mnie wyglądało to bardziej na wyprowadzkę ze stadniny. Pewnie dlatego woleli uniknąć spotkania z mamą i tatą, Jensem albo Christianem. I nie, nie chodziło mi o to, że żałowałam nadętego Engelberta czy fałszywej do szpiku kości Corinny. Puste boksy nie zarabiają na siebie, ot co.

- A Laura i Kaiserowie też jadą? - zapytałam na pozór przyjaźnie.

- Tak, właśnie, też jadą. - Corinna minęła mnie pędem. - Już dużo wcześniej poinformowałam twojego ojca.

- Rozumiem... A powiedziałaś mu też, że zabieracie od nas konie?

Corinna zamarła jak rażona piorunem. Po dłuższej chwili odwróciła się powoli i popatrzyła na mnie.

- A skąd taki pomysł? - Zaśmiała się nerwowo.

- Bo opróżniliście szafki - wyjaśniłam. - Może i mam dopiero trzynaście lat, ale nie jestem przecież głupia.

Zanim Corinna zdążyła cokolwiek powiedzieć, odwróciłam się na pięcie i wybiegłam ze stajni, prosto do stodoły. Zastanowiłam się, co w takiej sytuacji powinnam zrobić - czy zadzwonić do taty i opowiedzieć mu dokładnie, co tu się dzieje? Nie, zdecydowałam, że to nie byłby dobry pomysł. Szybko się zorientuje. Sam był sobie winien, że, ot tak, wyjechał i miał wszystko w nosie. Wyprowadziłam Fritziego z boksu, oczyściłam mu kopyta i wyprowadziłam na dziedziniec. Viola Kaiser z córką dalej zmagały się z załadunkiem koni do przyczepy, lecz teraz pomagał im Engelbert. Trochę im to zajmie, pomyślałam. Zazwyczaj ładowanie koni należało do taty i Jensa, bo Viola w gruncie rzeczy trzęsła portkami na widok

własnych koni i wolała oglądać je z daleka.

Zapięłam Fritziemu popręg, wyregulowałam strzemiona i wskoczyłam na siodło. Dzień był zimny, a niebo przykrywały chmury. Zanosiło się na deszcz. Nie chciałam jechać koło Engelberta, Corinny, Laury i Kaiserów, więc wybrałam drogę między padokami, prosto do lasu. Fritzi zatańczył i niespodziewanie dał potężnego susa w bok. Od dawna już nie jeździliśmy na przejażdżki, więc rozpierała go energia. Całą drogę do łąki pozwoliłam mu jechać kłusem i galopem, co wyraźnie sprawiało mu przyjemność.

Kiedy przyjechałam, Tim już na mnie czekał. Jego motorower stał oparty o pień, który przywlekliśmy razem z lasu. Jungblut junior zajmował się układaniem przeszkód.

- Cześć! - krzyknęłam z daleka i pomachałam.

- Cześć! - Tim się wyprostował i uśmiechnął. - Co do sekundy! Jak zawsze punktualna!

Zatrzymałam Fritziego tuż obok niego i zeskoczyłam z siodła. Przeraziłam się na widok jego twarzy. Miał strasznie spuchnięte lewe oko, a pod prawą kością policzkową wyrósł potężny siniak.

- Co ci się stało? - zapytałam, nie odrywając przestraszonego spojrzenia od jego twarzy.

- Nic takiego. - Lekceważąco machnął dłonią. - Mój stary.

- Słucham?! Pobił cię ojciec?

- Nie pierwszy i nie ostatni raz - odparł Tim. - Zdążyłem się już przyzwyczaić.

Nie mogłam wydusić z siebie słowa.

- Pierwszego strzała dostałem, już jak wracaliśmy autem od was. Za to, że mu powiedziałem, że tak się nie robi, żeby po prostu jechać do was po konie i je zabierać. A

potem w stajni oberwałem kolejny raz.

- Tak mu powiedziałeś? - Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

- Tak. - Tim westchnął głęboko. - Dla mnie to było zagranie bardzo nie fair z jego strony, zwłaszcza że w ogóle nie zależało mu na samych zwierzakach, bo i tak nie startuje w zawodach. Tak czy inaczej, na mnie spadnie objeżdżanie ich w stajni. Zupełnie, jakbym już wcześniej nie miał dość roboty.

Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby był tak zgorzkniały i smutny. Dlatego postanowiłam dać mu na razie spokój z prośbą o kontrolę leśniczówki, w której rozpanoszyli się złodzieje koni. Później przyjdzie jeszcze na to czas. I bez takich spraw miał dość problemów na głowie. Naprawdę mu współczułam. Miał dopiero piętnaście lat, a oprócz szkoły musiał normalnie pracować w stajni jak dorosły. I jeszcze obrywał od ojca.

- A co twoja mama? Powiedziała mu coś? - odważyłam się zapytać.

- Ona ma szczęście, jak sama od niego nie zarobi. - Tim żachnął się z pogardą. Przez dłuższą chwilę milczeliśmy. Potem on spojrzał na mnie i uśmiechnął się szeroko. - Hej, a tak przy okazji, ekstra wyszła twoja akcja z czekiem, jak go wzięłaś mojemu staremu z ręki. Mowę mu odjęło, serio!

- Hm... - Zdjęłam toczek i poprawiłam włosy. - Za to nieźle się nasłuchałam od mojego taty. Nawrzeszczał na mnie jak wariat, mówię ci. A Christian mu wypaplał, że na tamtym turnieju siedzieliśmy razem i piliśmy colę.

- Cholera! - zaklął Tim i spochmurniał. - I do tego akurat ja przyjechałem zabrać konie z waszej stajni. Twój brat pewnie znienawidził mnie jeszcze bardziej, co? Z drugiej strony, czy to moja wina?

- No właśnie. - Potrząsnęłam głową. - Nie jesteśmy niczemu winni. Najgorsze, że gdyby tata w ogóle wiedział, że się spotykamy, zamknąłby mnie chyba na zawsze w piwnicy.

- Myślisz, że u mnie byłoby inaczej? - Tim potrząsnął głową.

Niech to szlag, sytuacja całkowicie beznadziejna!

- Chociaż mnie mało obchodzi, czy są ze sobą skłóceni, czy nie - ciągnął Tim. - Nie pozwolę, żeby ktokolwiek zakazywał mi spotykać się z tobą.

Poczułam, że moje serce zaczyna bić szybciej. Tim ryzykował przynajmniej takie same kłopoty jak ja, choć mogłam się domyślać, że dla niego cała sprawa skończyłaby się znacznie gorzej niż dla mnie. A mimo to, niezależnie od pogody, wskakiwał na motorower i przyjeżdżał. I przecież nie liczył na jakiekolwiek korzyści, tylko dlatego że... Nie odważyłam się dokończyć tej myśli.

Tim naprawdę był najfajniejszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. I wyglądał po prostu zniewalająco! Zachowywał się przy tym całkiem normalnie i nie pozował jak większość chłopaków na zawodach czy w szkole. A teraz staliśmy na polanie sami. W końcu zebrałam się na odwagę, wyciągnęłam dłoń i pogłaskałam go po policzku.

Uniósł głowę. Nagle objął mnie mocno i przycisnął twarz do mojej twarzy.

- Elena! - wyszeptał, a ja poczułam, że ta sytuacja sprawia mu przynajmniej tyle samo bólu, co mnie. - Dlaczego to wszystko musi być tak strasznie skomplikowane?

Potem - równie niespodziewanie jak mnie objął - puścił mnie i się odsunął.

- No dobrze, Fritzi chyba strasznie się nudzi - powiedział zawstydzonym tonem. Unikał patrzenia w moją stronę. - Ziemia jest w sam raz do jazdy. Chcesz skoczyć kilka razy?

- No pewnie - wyjąkałam przez zaciśnięte gardło.

Nie miałam pojęcia, co o tym wszystkim myśleć, i dygotałam na całym ciele. Tim mnie przytulił!

Jakoś udało mi się wsiąść na siodło, zrobić kilka kółek stępem, a potem kłusem. Tymczasem zaczęło mżyć, jednak to nam nie przeszkadzało. Jeździłabym w najgorszą burzę,

gdybym dzięki temu mogła być z Timem!

Po dziesięciu minutach rozprężania konia zaczęłam skoki. Tim ustawił szereg gimnastyczny skok-wyskok, z drągami na ziemi do galopu i niewysokim okserem na końcu. Znałam takie ćwiczenia z zajęć, które prowadził tata, i znów pomyślałam, że z Timem doskonale do siebie pasujemy. Oboje pochodziliśmy z rodzin jeźdźców i skoczków i oboje od małego obserwowaliśmy, jak nasi ojcowie trenowali młode konie. Nigdy nie przeciążaliśmy Fritziego pracą ani nie zmuszaliśmy go do skakania zbyt wysokich przeszkód. Fritzi miał się tym wszystkim bawić i chyba tak właśnie było!

- Na dzisiaj pewnie starczy, nie sądzisz?! - krzyknął Tim, kiedy po raz trzeci pokonałam nasz treningowy parkur.

Uśmiechnięta i zdyszana zatrzymałam Fritziego i poklepałam po szyi.

- Jest coraz lepszy. - Nie potrafiłam ukryć radości.

- Zgadza się. Ty też zrobiłaś postępy. - Tim mnie pochwalił. - Jestem dumny z was obojga.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. W końcu Tim spojrzał na zegarek i ponownie spochmurniał.

- Cholera! - zaklął. - Muszę pędzić. Jest piętnaście po czwartej. Powiedziałem, że mam trening.

Nasze kolejne spotkanie dobiegło końca, a mnie już teraz zaczęła dręczyć obawa, że do kolejnego może nie dojść. Ktoś mógłby odkryć nasz parkur i zgłosić się do leśniczego, tata mógł mi odebrać Fritziego, żeby na nim jeździć... Tyle mogło się wydarzyć.

Zatopiona w myślach ruszyłam do domu i dopiero po jakimś czasie się zorientowałam, że Fritzi sam z siebie wybrał krótszą drogę przez las, która prowadziła obok starej leśniczówki.

- A, co tam... - mruknęłam.

Nie uśmiechało mi się przedłużanie powrotu, żeby pojechać dookoła. Im szybciej w domu, tym lepiej, pomyślałam.

Po dziesięciu minutach dostrzegłam zarys zabudowań. Zauważyłam również srebrnego mercedesa na podwórzu - a ten samochód dobrze znałam. Friedrich Gottschalk znów odwiedził trolla! Jak mógł udawać przyjaciela dziadka i sponsorować klub piłkarski, a jednocześnie brać udział w kradzieżach koni?! Podjechałam bliżej i zatrzymałam Fritziego. Stałam tak niezdecydowana, aż w końcu postanowiłam zawrócić konia. W tym samym momencie rozległ się przerażający krzyk bólu, który przetoczył się przez las i rozbrzmiał echem nad taflą jeziora. Zamarłam w siodle. Ze środka starej leśniczówki dobiegł mnie kolejny krzyk bólu, a zaraz po nim przez niedomknięte okno usłyszałam cierpiętnicze jęki. Wielkie nieba, co się tam w środku działo? Ktoś potrzebował pomocy - nie mogłam tak po prostu jechać dalej i udawać, że nic się nie stało!

Ruszyłam między drzewami dookoła podwórza. W końcu zatrzymałam się i zeskoczyłam z konia, tuż obok furtki w niewysokim ogrodzeniu. Przebiegłam przez częściowo zarośniętą działkę i w ostatniej chwili zauważyłam spory dół w ziemi. Grób! Ktoś wykopał tutaj mogiłę. Niecałe dwa metry dalej dostrzegłam oparty o drzewo szpadel. Przełknęłam nerwowo. Czyżby troll chciał zamordować Friedricha Gottschalka i zakopać tutaj jego zwłoki? Wielki Boże, co tu się działo!

Ostrożnie ruszyłam dalej. Po drodze zajrzałam tylko do przerobionej na stajnię stodoły. Dwa boksy zajęte. Gdzie się podziały pozostałe konie? Czyżby trafiły do stadniny ojca Tima? Czyli Melike mogła mieć rację. Obeszłam dom i na palcach wspięłam się po schodach werandy. Stare deski skrzypiały pod moimi stopami. Zamarłam. Ze strachu nie byłam nawet w stanie nabrać powietrza. Na szczęście nikt mnie nie usłyszał. Schylona podeszłam do okna, które troll zostawił lekko uchylone. Powoli się wyprostowałam i zajrzałam do środka. To, co zobaczyłam, zmroziło mi krew w żyłach...

Rozdział 23

FRIEDRICH GOTTSCHALK Z NAGIM torsem leżał na stole pośrodku niewielkiej izby. Miał zamknięte oczy, a jego twarz wykrzywiał grymas bólu. I nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na to, że leśny troll trzymał jego ramię i wykręcał je tak mocno, że spanikowana sapnęłam i wypuściłam całe powietrze z płuc. Odwróciłam się i przywarłam plecami do ściany domu. Dziadek Tima ponownie wydał z siebie przerażający wrzask bólu. Co miałam zrobić? Jak zareagować? Brodaty potwór zaraz go zabije i zakopie we wcześniej przygotowanym grobie! Moja komórka leżała sobie spokojnie w szufladzie biurka, a przy tej pogodzie raczej nie mogłam liczyć na przypadkowych spacerowiczów, którzy usłyszeliby moje wołanie. Nie mogłam dopuścić, żeby niemal na moich oczach został zamordowany człowiek. Tylko że jeśli brodaty troll mnie zauważy, moje życie również znajdzie się w niebezpieczeństwie! Myśli wirowały w mojej głowie jak szalone.

Z wnętrza domu dobiegł kolejny przytłumiony krzyk, a zaraz po nim nieludzkie stękanie. Ze strachu dostałam gęsiej skórki. Gdyby udało mi się wywabić trolla na zewnątrz, Friedrich Gottschalk miałby szansę na ucieczkę. Byłam dość szybka, bo w ostatnie wakacje, w czasie olimpiady międzyszkolnej sto metrów przebiegłam w dwanaście sekund i osiem dziesiątych. Zdecydowana działać zacisnęłam pięści, nabrałam głęboko powietrza i odwróciłam się w stronę okna. Leśny troll schwycił właśnie w ogromne dłonie głowę Gottschalka i szarpnął nią do tyłu, na początku lekko w lewą stronę, potem w prawą. Nie miałam ani chwili do stracenia, bo zaraz mogło być za późno!

- Hej, ty tam! Natychmiast przestań! - wrzasnęłam na całe gardło i zabębniłam pięściami o szybę. - Zaraz wezwę policję!

Troll puścił swoją ofiarę, odwrócił się i popatrzył na mnie błyszcząco czarnymi oczyma. O rany, zobaczył mnie! Rzuciłam się do ucieczki. Biegłam najszybciej, jak mogłam. Gdzieś za moimi plecami zaskrzypiały drzwi i pchnięte mocarnym ramieniem wyrżnęły o ścianę. Spanikowana nie zauważyłam ostatnich stopni werandy i potknęłam się. Świdrujący ból przeszył mi kostkę. Za sobą usłyszałam ciężkie kroki, a chwilę później troll stanął nade mną - masywny, brodaty i groźny. Podniosłam się z ziemi i kulejąc, próbowałam uciekać,

lecz to z góry było skazane na niepowodzenie. Serce zaczęło walić mi jak opętane i zalałam się potem.

- Ty już tu przecież byłaś! - powiedział troll, a w jego głosie słychać było groźbę. - Stój!

Ani mi to w głowie! Jęcząc i potykając się, usiłowałam mu uciec. Dlaczego mnie nie gonił? Nie miałby przecież najmniejszych problemów, żeby mnie złapać. Nagle poślizgnęłam się i gruchnęłam jak długa. Wbiłam palce w mokrą ziemię, uniosłam się na rękach i pojęłam, jakie miał zamiary. Niecałe pięć metrów dalej dostrzegłam świeżo wykopaną mogiłę! Wystarczyło mnie tam wrzucić i zasypać, a Fritziego sprzedać koleżkom koniokradom. Nikt nigdy by się nie dowiedział, co się ze mną stało. Nagle poczułam na twarzy dwa potoki gorących łez. Pomyślałam o mamie i tacie, którzy pewnie oszaleją z troski i zgryzoty. Pomyślałam też o Melike i... o Timie!

- Błagam! Błagam, niech pan mnie nie zabija! - wyszlochałam i jęcząc, zwinęłam się w kłębuszek. Zamknęłam oczy, żeby nie widzieć, jak się nade mną schyla.

- Spokojnie, maleńka. Nic ci nie zrobię.

Uniosłam powieki i spojrzałam na niego ze strachem. Rozszalałe serce waliło mi dalej bez opamiętania, a ja trzęsłam się jak osika. Deszcz zacinał, a podwórze niespodziewanie rozświetliło słońce, przebijając się przez rozpędzone wiatrem chmury.

- Wstań, szybko - powiedział, podając mi dłoń. - Od leżenia w deszczu na mokrej ziemi możesz się rozchorować.

Spróbowałam czołgać się w stronę furtki, ale stopa bolała mnie tak mocno, że jęknęłam.

- Nic złego ci nie zrobię - zapewnił mnie brodacz. - Chodź, nie bój się!

Niechętnie chwyciłam wyciągniętą w moją stronę dłoń i dałam się postawić na nogi... i z krzykiem znów upadłam. Zanim zdążyłam zaprotestować, troll schwycił mnie wpół,

podniósł i krocząc w strugach zacinającego deszczu, zaniósł do domu, jakbym nic nie ważyła. Zacisnęłam powieki i zaczęłam się zastanawiać, czy to aby nie jest kolejny koszmar senny. Potem usłyszałam skrzypienie desek i głuche kroki. W końcu otworzyłam oczy. Na werandzie, w otwartych drzwiach leśniczówki stał Friedrich Gottschalk. Jego siwe włosy błyszczały w jasnym świetle.

- Niech mnie pan postawi - wymamrotałam.

Leśny troll zatrzymał się i opuścił mnie na podłogę.

- Auć! - krzyknęłam. Nie mogłam stanąć na prawej stopie.

- Wygląda na to, że spadając ze schodów, uszkodziłaś sobie kostkę - odezwał się troll gdzieś zza moich pleców.

Nie odważyłam się patrzeć w jego kierunku. Wciąż jeszcze drżałam.

- Powiesz mi, co robisz sama w lesie? - zapytał Friedrich Gottschalk i przyjrzał mi się z zaciekawieniem. - I co ty tam wykrzykiwałaś? Dlaczego chciałaś wzywać policję?

- Ja... ja słyszałam wrzaski... - wyszeptałam. - A potem... potem zajrzałam przez okno... i pomyślałam... że... że on chce pana zamordować!

Ku mojemu zaskoczeniu obaj zanieśli się śmiechem. Zamrugałam i patrzyłam na nich zbita z tropu, bo nic już nie rozumiałam. Jak on mógł tak stać sobie spokojnie i chichotać, skoro chwilę wcześniej omal nie zginął z rąk tego trolla? Czyżby nie wiedział, że grób dla niego był już gotowy?

- O rany, wejdź, wejdź do środka - powiedział dziadek Tima. - Strasznie zmokłaś.

Ja? Ja miałabym wejść do kryjówki koniokradów? Nigdy w życiu! Nie mogłam uciekać, więc zostało mi jedynie liczyć na jakiś odruch miłosierdzia.

- Nie - pisnęłam. - Muszę do domu...

- A jak chciałabyś wracać do domu? Przecież nie możesz nawet chodzić!

- Mój... mój koń... stoi za płotem... - wyjąkałam i po raz pierwszy odważyłam się rozejrzeć.

- Lajos, co o tym sądzisz?

Cała sytuacja wydawała się szczerze bawić Friedricha Gottschalka, któremu przed chwilą zamierzałam bohatersko uratować życie. Zaśmiewał się do rozpuku, a ja chciałam zapaść się ze wstydu pod ziemię. Na szczęście wróciła mi odwaga - a przynajmniej jej część.

- Za domem widziałam świeżo wykopany grób! - zarzuciłam trollowi i spojrzałam na dziadka Tima. - A pan krzyczał jak potępieniec. Pomyślałam, że skoro on tu przechowuje kradzione konie, to pewnie nie będzie miał oporów, żeby kogoś zabić.

Troll, którego Gottschalk nazwał Lajosem, jęknął ciężko i potrząsnął głową. Nie śmiał się. Pomyślałam, że bardzo smutno wygląda.

- Kradzione konie? - zapytał Gottschalk i uniósł brwi. - Teraz się już pogubiłem. Chodź, musisz mi to dokładniej wyjaśnić.

Byłam bez szans na ucieczkę, więc poddałam się i pokuśtykałam za nim do środka.

- Gdzie jest ten twój koń? - zapytał leśny troll, który z bliska i w jasnym świetle nie wyglądał już tak przerażająco. I nie był aż tak stary, jak myślałam.

- Z tyłu, przy furtce.

- Zaprowadzę go do stajni, a potem obejrzę twoją nogę.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Nie! - wrzasnęłam. - Fritzi nie pozwala nikomu zbliżać się do siebie! A już za żadne

skarby obcym mężczyznom!

- Zaufaj Lajosowi - powiedział Friedrich Gottschalk. - Usiądź i zdejmij but.

Z wahaniem usiadłam na krześle, rozpięłam zamek i ściągnęłam wysoki but. Noga bolała mnie przy tym potwornie. Troll wyszedł z leśniczówki, a ja tylko czekałam na jego wrzask i dzikie rżenie Fritziego. Mimo moich obaw panowała nieprzerwana cisza.

- Wiesz co? - Friedrich Gottschalk stęknął, siadając na krześle obok. - Źle to wszystko odebrałaś. Lajos posiada pewien całkowicie unikalny talent. Potrafi nastawiać kości u ludzi i koni i tym samym uleczyć ich ból. Trafiłaś właśnie na moment, kiedy starał się mnie wyleczyć. W czasie złej pogody zawsze dopada mnie rwa kulszowa, aż ciężko wytrzymać. Lajos mi pomógł. I to znacznie lepiej niż jakikolwiek lekarz ze swoimi zastrzykami i tabletkami.

Siedziałam obok niego na krześle jak zbity pies i ze wstydem wpatrywałam się w podłogę. Zrozumiałam, że i ja, i Melike wszystko źle zinterpretowałyśmy. Friedrich Gottschalk wyjaśnił, że ludzie nawet z bardzo daleka przyjeżdżają do Lajosa, jeśli ich koniom nie pomaga już zwykła medycyna. Lajos ma złote ręce i umiejętności, które często są ostatnią deską ratunku dla zdesperowanych właścicieli zwierząt.

- To dlaczego kryje się z tym w środku lasu? - odważyłam się zapytać.

- Wcale się nie kryje. - Friedrich Gottschalk potrząsnął głową. - Znam go od bardzo dawna, z czasów, kiedy jeszcze tu mieszkał. Leśniczówka należy do mnie, więc mu ją wynająłem, żeby miał dach nad głową i miejsce do pracy. Za jakiś czas pewnie znajdzie sobie coś lepszego, ale póki co, może tu zostać.

Sytuacja robiła się dla mnie coraz bardziej kłopotliwa.

Drzwi się otworzyły i troll wszedł do środka. Jego ciemne, gęste pukle były całkowicie przemoczone.

- Co z Fritzim? - zapytałam. - Czy naprawdę dał się panu poprowadzić?

- Żaden koń nie protestuje, kiedy go chwytam - wyjaśnił troll i uśmiechnął się krótko. - Wstawiłem go do pustego boksu. A teraz pokaż mi, proszę, stopę.

Ukląkł przede mną, wziął moją prawą stopę w dłoń i spojrzał.

- Na szczęście tylko lekko wybity staw - powiedział cichym głosem i uniósł wzrok.

Niesprawiedliwie go oceniałam. Patrząc na niego z bliska, nie widziałam niczego złowieszczego w jego twarzy, a ciemne oczy nie przerażały już, tylko błyszczały przyjaźnie.

- Jeśli zagryziesz na chwilę zęby, postaram się go z powrotem ustawić.

Zamknęłam oczy. W następnej chwili usłyszałam głośne trzaśnięcie z okolic stopy i zanim zdążyłam krzyknąć, ból zniknął.

- Dziękuję - wyszeptałam i poruszyłam nogą.

- Nie ma za co. - Troll wstał z podłogi.

- Bardzo przepraszam, że pomyślałam... że uważałam pana za koniokrada. I że chciałam ratować pana Gottschalka, żeby go pan nie zakopał w ogrodzie.

Wtedy na twarzy trolla pojawił się delikatny uśmiech.

- Jak sobie teraz wszystko składam do kupy, to rzeczywiście, przyznaję ci rację, mogło to wyglądać dosyć podejrzanie.

Spojrzał na mnie i przekrzywił głowę.

- Byłaś tu niedawno, prawda? Przyjechałaś z jeszcze jedną dziewczynką na białym kucu, mam rację?

- Zgadza się.

- A tak na marginesie, to skąd mnie znasz? - do rozmowy wtrącił się Friedrich Gottschalk. - Bo póki co jeszcze nie zdradziłaś nam swojego nazwiska?

- Jestem Elena. Elena-Marie Weiland.

Troll znieruchomiał i spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

- Weiland? - powtórzył, jakby chciał się upewnić. - Ze stadniny w Steinau?

- To znaczy, że jesteś wnuczką Ludwiga. - Friedrich Gottschalk się rozpromienił.

Potaknęłam i zauważyłam, że obaj mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Nie, nic takiego. - Troll znów się uśmiechał.

- Powoli zaczynam rozumieć, co i przez kogo się tu działo. Pewnie wizytę policji też zawdzięczasz tym dwóm młodym damom. - Przyjaciel dziadka spojrzał na trolla. Chociaż nie, powinnam powiedzieć: na Lajosa.

Okropnie kłopotliwa sytuacja! Gdybym tylko mogła zapaść się ze wstydu pod ziemię, nie wahałabym się ani przez chwilę! Niestety, nie mogłam, więc musiałam się do wszystkiego przyznać i opowiedzieć, jak do tego doszło.

-...i dlatego ja i moja przyjaciółka byłyśmy przekonane, że pan jest w zmowie z leśnym trollem - zakończyłam swój wywód.

- Zaraz, zaraz! Z kim w zmowie? - Lajos spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

- Eee, przepraszam - wymamrotałam i oblałam się czerwienią. - Ale z tą brodą... i włosami... i tym domem w środku lasu...

- No masz ci los! - Gottschalk zaniósł się śmiechem. - A ty, Lajos, powinieneś się w końcu ogolić.

Przyjaciel dziadka sprawiał wrażenie, że całą sytuację, włącznie z wizytą policji, uważa za świetną zabawę.

Lajos natomiast nie wyglądał na rozbawionego, tylko raczej na zasmuconego.

- Tak czy inaczej, muszę przyznać, że obie macie sporo odwagi - powiedział. - Ale dlaczego zadzwoniłyście na policję, zamiast pójść porozmawiać z rodzicami?

- Żeby się nie dowiedzieli, że jeździmy same po lesie - wyjaśniłam uczciwie i wstałam. - No właśnie, muszę pędzić do domu, bo inaczej będę miała straszną awanturę.

- Najlepiej będzie, jeśli konia zostawisz na noc u Lajosa - zaproponował Friedrich Gottschalk i spojrzał na zegarek. - Zaraz cię odwiozę do domu. Im szybciej tam dotrzesz, tym lepiej, bo rodzice pewnie już zaczęli się niepokoić.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie mam się o co martwić. Mama na pewno jeszcze nie wróciła do domu, bo w środy zawsze dość długo zostawała u przyjaciółki, a tata z Christianem byli w trasie. Pewnie jeszcze nikt nawet nie zauważył, że mnie nie ma.

- Nie, nie! - zaprotestowałam. - Przecież mogę pojechać sama.

- Tyle że na dworze zrobiło się ciemno. - Lajos pokręcił głową i spojrzał na mnie z troską. - Nic się nie bój, Fritzi postoi sobie u mnie w boksie, a rano go odbierzesz całego i zdrowego.

Nie ma mowy. Jak miałabym mu wyjaśnić, że to nie jest boks Fritziego, więc nie będzie tam szczęśliwy? Wcisnęłam stopę w but do jazdy konnej, zapięłam zamek i poprawiłam bryczesy. Kiedy wymogłam, żeby Friedrich Gottschalk złożył uroczystą obietnicę milczenia, Lajos zaprowadził mnie do stajni. Mój ogier zarżał radośnie, kiedy mnie zobaczył.

Lajos patrzył, jak siodłałam Fritziego, a potem przytrzymał go, żebym mogła wsiąść. Fritzi się nie wyrywał, choć przecież nikomu obcemu nie pozwalał się dotykać!

- Czy jest pan czarodziejem? - zapytałam z niedowierzaniem.

Mężczyzna się roześmiał.

- Nie, czarodziejem nie. Ale dobrze rozumiem się z końmi - wyjaśnił. - Znacznie lepiej niż z ludźmi. Jeśli będziesz miała ochotę, możesz wpaść w odwiedziny ze swoją przyjaciółką. Kiedy tylko chcecie.

Mrugnął do mnie, a ja nie mogłam uwierzyć, że jeszcze niedawno wzbudzał we mnie paniczny strach.

- Bardzo chętnie - odpowiedziałam. - I dziękuję, że nie jest pan na mnie zły.

- Nie ma o czym mówić. A teraz ruszaj już do domu. Tylko jedź ostrożnie!

Rozdział 24

JAK KAŻDEGO RANKA mój budzik rozdzwonił się za kwadrans szósta. Po omacku włączyłam światło i zaczęłam szukać komórki. Od kiedy ją miałam, nabawiłam się nowego przyzwyczajenia - zaraz po przebudzeniu musiałam sprawdzić, czy ktoś w nocy nie przysłał mi jakiejś wiadomości. Serce zabiło mi mocniej. I tym razem czekał na mnie sms! Od Tima! Pisał: „Wróciłaś bezpiecznie do domu? Dzisiaj przyjechali do nas goście od was i wstawili swoje konie. Przyjaciółka Ariane i jeszcze dwójka innych".

Laura i Kaiserowie! Właściwie mogłam się tego spodziewać, bo Laura, Ariane i Lisa-Sophie Kaiser były najlepszymi przyjaciółkami. Jak tata się o tym dowie, ze złości jak nic rozerwie się na pół jak Rumpelsztyk z baśni braci Grimm.

Wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do łazienki. Wczoraj wieczorem poszłam prosto do siebie i chyba przez godzinę gadałam z Melike przez telefon. Opowiedziałam jej niesamowitą historię z Lajosem i kolegą dziadka w rolach głównych. Jednak ani słowem nie wspomniałam o Timie i o tym, że mnie objął, kiedy spotkaliśmy się na łące.

Wróciłam do pokoju, ubrałam się i przegoniłam Twiksa z łóżka.

Na dole było jeszcze ciemno. Nikt nie przygotował stołu do śniadania ani nie zaparzył kawy. Mama, tata i Christian chyba jeszcze spali. Prawdę mówiąc, nawet nie zauważyłam, kiedy wrócili do domu. Ziewając, zabrałam się do ustawiania talerzy i rozkładania sztućców, a potem wsypałam siedem łyżek kawy do ekspresu.

Kiedy się odwróciłam, drgnęłam ze strachu. W progu stał tata i nic nie mówił. Był nieogolony i wyglądał, jakby wcale nie zaznał snu.

- Cześć - przywitałam go. Jeszcze nie zdążyłam mu wybaczyć, że tak niesprawiedliwie na mnie naskoczył. - Chcesz kawy?

- Aha.

Minął mnie i usiadł przy stole. Chyba nie był szczególnie głodny, bo tylko siedział i patrzył gdzieś przed siebie.

- Mama źle się czuje? - zapytałam. Zazwyczaj to ona pierwsza była na nogach.

- Nie. Została wczoraj u przyjaciółki. Ulice zrobiły się śliskie i nie chciała wracać.

Nie powiedział nic więcej, a ja nie pytałam. Poczekałam, aż napełni się dzbanek i nalałam mu kawy.

- Dzięki - powiedział jedynie.

- Właśnie, tato, jeszcze coś. - Spojrzałam na niego. - Corinna, Engelbert, Laura i Kaiserowie wczoraj po południu zabrali swoje konie.

- Wiem. Corinna do mnie zadzwoniła. - Tata osłodził kawę jedną łyżeczką cukru. Ziewając, zamieszał aromatyczny napar i dalej wpatrywał się przed siebie. Za żadne skarby mu nie powiem, gdzie przenieśli swoje zwierzaki.

- Opróżnili swoje szafki i zabrali wszystkie rzeczy. Nie sądzę, żeby wrócili.

Dopiero teraz dostrzegłam jakąś reakcję. Tata znieruchomiał i spojrzał na mnie. To oznaczało, że jednak Corinna nie wszystko mu powiedziała.

- Dlaczego od razu do mnie nie zadzwoniłaś?

Przyglądałam się, jak tata stopniowo robi się coraz bardziej czerwony. Niebezpieczny znak, który ostatnio dość często zauważałam. Zawsze robił się czerwony, zanim zaczynał krzyczeć. Ale nie dałam mu się zastraszyć.

- Myślałam, że wiesz - odparłam.

Tata milczał przez kilka sekund, a potem oparł głowę na dłoniach, odsuwając kawę.

- Wspaniale - wymamrotał. - Szczury opuszczają tonący okręt.

Chciałam powiedzieć coś jeszcze, coś, co mogłoby go pocieszyć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Na szczęście w tym momencie rozległ się hałas na schodach i do kuchni wpadł Christian.

- Siema - przywitał się i przepchnął do ekspresu. Nalał sobie kawy i dopiero wtedy dostrzegł tatę. - Coś się stało?

Nie odpowiedziałam, bo już wcześniej postanowiłam sobie, że nie będę rozmawiała z tą zdradziecką świnią. Wzruszyłam bez słowa ramionami i wyszłam do przedpokoju, żeby włożyć buty i kurtkę.

Twiksa wpuściłam na korytarz u babci i dziadka, wyprowadziłam swój rower i pojechałam na przystanek autobusowy, bo chciałam zdążyć na połączenie przez Hettenbach.

Telefon komórkowy to był genialny wynalazek. Ani Christian, ani nikt inny nie mógł przeszkodzić mi i Timowi w wymianie smsów. Melike, trzęsąc się z zimna, czekała już na przystanku przed ratuszem, a w autobusie, który przyjechał minutę później, zgodnie z umową czekał Tim.

Przyjaciółka znała już moją historię w najdrobniejszych szczegółach, tym bardziej że sama była jej częścią. Tim z niedowierzaniem słuchał opowieści o tym, jak uznałyśmy, że samotna, opuszczona leśniczówka wydała nam się doskonałym miejscem na kryjówkę dla złodziei koni. Kiedy z kolei zaczęłam mówić o wizytach jego dziadka, zrobił ponurą minę. Oczywiście nie wspomniałam o podejrzeniach Melike, że jego ojciec mógłby brać udział w sprzedaży kradzionych koni - teraz z jakiegoś powodu sama myśl o tym wydała się całkowicie niedorzeczna.

- Ostatnim razem dziadka widziałem chyba na moim chrzcie - mruknął Tim ze smutkiem. - I powiem szczerze, że niezbyt dobrze to pamiętam.

- A co takiego się stało? - zapytała Melike. - Przecież mieszkacie zaledwie parę

kilometrów od siebie?

- Dziadek i tata się nie znoszą - wyjaśnił Tim i szybko dodał: - Przez co ja go bardzo lubię, choć go nie znam.

- Chcesz nam powiedzieć, że nie znasz dziadka ani babci? Nic a nic? - Melike wytrzeszczyła z niedowierzaniem oczy.

- Babcię znam. - Tim pokręcił głową. - Od czasu do czasu przychodzi w odwiedziny, ale tylko, kiedy taty nie ma w domu. Strasznie jej żal tego wszystkiego. Dziadek jest za to uparty jak osioł. Nieważne zresztą. Skoro mama go nie potrzebuje, to ja tym bardziej - dodał z przekorą.

- To znaczy, że nie będziesz chciał odwiedzić z nami Lajosa? - zapytałam.

Tim spojrzał na mnie krótko i westchnął. Potem potrząsnął głową.

- Nie, raczej wolałbym nie - powiedział. - Poza tym nawet nie wiem, kiedy miałbym znaleźć na to czas. Odkąd stajnia pęka w szwach, muszę kolejne konie brać na przejażdżki, żeby się nie zastały.

Nagle dostrzegłam, że jest przeraźliwie smutny. Pomyślałam, że ma bardzo ciężkie życie. Tak się cieszyłam, że przedstawię go Lajosowi, ale rozumiałam jego racje, więc przełknęłam rozczarowanie i nic nie powiedziałam. Dla mnie najbardziej liczyło się to, że znajdował czas na lekcje ze mną i Fritzim. Ale czy to nie było okropnie egoistyczne z mojej strony? Myślałam tylko o sobie! A przecież dla niego nasze treningi musiały oznaczać ogromne kłopoty, bo wszystko robił w tajemnicy. Nigdy tak na to nie spojrzałam.

Nagle poczułam coś dziwnego. Czy to możliwe, żeby Tim żałował, że się tego podjął? Może nawet już obmyślał, jak w delikatny sposób dać mi do zrozumienia, że nie znajdzie dla nas więcej czasu...

Milczeliśmy do ostatniego przystanku.

- Później wyślę ci smsa - powiedział na pożegnanie Tim, nie patrząc w moją stronę. A potem już go nie było.

Rozdział 25

PRZEZ CAŁE PRZEDPOŁUDNIE czułam się dość dziwnie. Z pewnością nie pomogły mi Ariane, Tessa i Ricky, głośno zachwalające umiejętności Tima Jungbluta, który miał z Phoeniksa zrobić genialnego wierzchowca. Miały gdzieś konie, ale znały Tima i uważały, że jest wyjątkowo przystojny. Każde słowo, które o nim wypowiadały, trafiało mnie prosto w serce niczym szpada. Ogarnęła mnie taka rozpacz, że niewiele brakowało, bym zaczęła wyć z żałości. Ariane nie miała zielonego pojęcia, że też znam Tima, ale chciała mi dopiec, rozwodząc się nad tym, jak to cudownie mają teraz konie u Jungblutów i o ile lepiej się czują, niż kiedy stały w naszej stadninie.

- Mówię ci, osiemdziesięciometrowa kryta ujeżdżalnia i żadnych dzieciaków, co się dopiero uczą jeździć i wyskakują ci przed konia - tłumaczyła właśnie. - W ogóle atmosfera jest też wyśmienita. Co wieczór siedzimy sobie w świetlicy dla jeźdźców, a wczoraj mogłam pojechać na jednym z najlepszych koni pana Jungbluta, Con Amore. Najfajniejszy jest Tanot de Chardin. Tim skrócił mu imię i woła na niego Tanni...

Zachichotała i mówiła dalej. Gadała i gadała o tym, jakie to konie ma ten cały Jungblut, jakie psy, o Timie, o matce Tima, o jego młodszej siostrze Ginie, o której istnieniu nie miałam nawet pojęcia - i nagle poczułam taką zazdrość, jak jeszcze nigdy w życiu! Ta podła Ariane mogła spotykać się z Timem codziennie, tak samo jak Laura i Lisa-Sophie. Znały jego konie, jego rodzinę i dom, do którego nigdy nie zostałam i nie zostanę zaproszona tylko dlatego, że nazywam się Weiland i muszę płacić za coś, o czym nie mam nawet pojęcia. Latem mogli spotykać się na grillu, jeździć na turnieje, na przejażdżki i dobrze się bawić. Mnie pozostawało kilka godzin potajemnych spotkań w lesie. Czy to w ogóle dało się porównać? W pewnym momencie Tim zauważy, jak trudno i bezsensownie utrzymywać przyjaźń ze mną - o ile jeszcze się nie zorientował! Zacisnęłam pięści i pomyślałam, że zaraz uderzę Ariane w głowę książką do angielskiego, żeby w końcu się zamknęła. Tymczasem za żadne skarby nie było mi wolno nawet pokazać, jak straszną przykrość sprawiały mi jej

słowa. Gdyby tylko się zorientowała, bez wahania wykorzystałaby tę broń przeciwko mnie.

- Uwaga, wróg nie śpi! - zachichotała Tessa, spoglądając w moją stronę.

Nawet ona już się zorientowała, po co Ariane o tym wszystkim mówi. Zagotowałam się ze złości, ale udało mi nad nią zapanować.

- Wspaniale, że tak wam dobrze u Jungblutów - oznajmiłam, zwracając się do Ariane. - Szkoda tylko, że mi wcześniej nie powiedziałaś. Kiedyś byłyśmy przecież dobrymi kumpelkami.

W ten sposób pozbawiłam ją na chwilę zapału do torturowania mnie, bo nie miała broni, którą mogłaby mnie dźgać. Z twarzy zniknął jej pewny siebie uśmieszek, odwróciła się gwałtownie i do końca dnia ani razu nie wspomniała o nowej stadninie, do której przeniosła się z końmi.

Kiedy po ośmiu lekcjach wróciłam do domu, mama była już na miejscu. Siedziała w gabinecie, przy biurku zawalonym stosami papierów.

- Dobrze, że już jesteś. - Krótkie spojrzenie w moim kierunku.

- Zaraz idę pojeździć - powiedziałam. - Jak tylko pojawi się Melike, ruszamy na rundkę w teren.

- Mhm. - I nic więcej. To raczej nie wyglądało na dobry humor.

Wbiegłam do swojego pokoju i po raz setny sprawdziłam komórkę. Tim się jeszcze nie odezwał, czyli pewnie nici z dzisiejszego treningu. Przebrałam się szybko i wyszłam z Twiksem do stajni. Jedyną zaletą reformy edukacji było to, że mogłam odrobić zadania domowe już w szkole, w czasie przerwy obiadowej, a wtedy popołudnie zostawało wolne.

Melike oczywiście nie mogła się doczekać, aż pozna Lajosa, czyli naszego trolla, osobiście. Ja nie miałam nic przeciwko, bo przynajmniej nie musiałam rozmyślać o Timie.

W końcu przestało padać, a droga do leśniczówki zajęła nam dwadzieścia minut. Zimowe słońce przebijało się nieśmiało przez warstwę chmur, tafla jeziora przyjemnie połyskiwała, a sam dom nie wydawał mi się już tak przerażający, jak wcześniej. Poznałam w końcu jego tajemnicę.

Wjechałyśmy konno na podwórze i zeskoczyłyśmy z siodeł. Zza budynku wyszedł Lajos. Na głowie miał kapelusz kowbojski, a na twarzy szeroki uśmiech, bo już z daleka nas poznał.

- Witam w moich skromnych progach! - krzyknął i uchylił kapelusza.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że bardzo się zmienił - zniknęła gdzieś jego długa broda i włosy sięgające ramion. Z krótką fryzurą i gładkimi policzkami wyglądał znacznie młodziej i radośniej.

- To, że nazwałyście mnie leśnym trollem, trochę mnie ubodło - przyznał z uśmiechem i przesunął dłonią po gładkiej brodzie.

- Tak pan wygląda znacznie lepiej - wyznała Melike bez owijania w bawełnę. Podała mu dłoń. - Melike Koyupinar. Jestem przyjaciółką Eleny i to ja ściągnęłam panu policję na głowę. Bardzo mi z tego powodu przykro.

Lajos chwycił jej dłoń i ponownie się uśmiechnął.

- Przeprosiny przyjęte. Nie mogę mieć do was o nic pretensji, bo to dobrze, że jesteście tak uważne. W takim miejscu rzeczywiście mogli urządzić kryjówkę złodzieje koni.

- A tam z tyłu jest ta mogiła - poinformowałam Melike, wskazując dłonią na drugi koniec ogrodu.

- W gruncie rzeczy planowałem tam miejsce do kąpania koni - wyjaśnił Lajos, wyraźnie rozbawiony. - No dobrze, ale zapraszam. Zaprowadźcie konie do stajni, to was oprowadzę po obejściu.

Nie wspomniałyśmy mu ani słowem, że zarówno leśniczówkę, jak i przyległości znałyśmy znacznie lepiej niż on. Ruszyłyśmy do stajni, by przywiązać konie. Melike opowiedziała mu o rozmowie, którą niedawno podsłuchałyśmy, a Lajos przyznał rację, że rzeczywiście, bez kontekstu musiała brzmieć wyjątkowo podejrzanie.

- A pańskie imię Lajos to zdrobnienie? - zapytała moja przyjaciółka.

- Nie, żadne zdrobnienie. To normalne imię, tyle że węgierskie - wyjaśnił Lajos. - Urodziłem się na Węgrzech, a potem, kiedy skończyłem dziewięć lat, rodzice przenieśli się do Niemiec.

- W takim razie oboje mamy za sobą przeszłość emigrantów. - Melike uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Ja jestem w połowie Turczynką.

Zachichotała, a ja nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Z Melike wszystko było znacznie łatwiejsze. Szkoda, że nie chodziłyśmy do jednej klasy. Na zewnątrz zrobiło się całkiem jasno, bo wiatr rozgonił chmury i nic już nie zasłaniało słońca. Lajos położył dwie kostki słomy przed boksami.

- Proszę bardzo, szanowne panie. Usiądźcie.

Zachichotałyśmy i usiadłyśmy. Mała stajnia była nadzwyczaj przytulna. Twix wskoczył Lajosowi na kolana i nadstawił grzbiet do głaskania. Było mu tak dobrze, że aż przymknął oczy.

- A może opowiecie mi teraz coś o sobie? - poprosił.

- Nie, pan powinien pierwszy się przedstawić. - Melike zaprotestowała ze śmiechem. - Umieram z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co pan robi tak sam, pośrodku lasu?

Zauważyłam, że przez twarz Lajosa przemknął jakiś cień, jakby się zasępił na chwilę, jednak błyskawicznie się opanował, uśmiechnął i odpowiedział.

- Aż tak sam to znowu nie jestem. - Potrząsnął głową. - Przecież cały czas mam konie,

prawda? Poza tym lubię spokój i ciszę.

Melike nie miała oporów, żeby zamęczać go pytaniami. Co pan robi z tymi końmi? Co ludzie myślą o panu, jak pan tak siedzi samotnie w lesie? Gdzie mieszkał pan wcześniej? Czułam się przez to trochę nieswojo, jednak Lajos bez wahania odpowiadał na każde pytanie. Nosił nazwisko Kertéczy, z wykształcenia był weterynarzem i zdobył nawet tytuł doktora. Przez ostatnie sześć lat mieszkał i pracował w Stanach Zjednoczonych i Szwajcarii, ale zachorowała jego matka i wrócił do Niemiec. Przez przypadek spotkał dawnego znajomego Friedricha Gottschalka i w ten sposób trafił do chaty w lesie.

- Nie ma pan żony? - Melike nie owijała w bawełnę, lecz tym razem Lajos wolał uniknąć odpowiedzi.

- Nie dajesz mi szans na żadne tajemnice - odparł z uśmiechem. Jego spojrzenie powędrowało teraz w stronę Fritziego, który stał spokojnie w boksie i przeżuwał siano.

- Tak przy okazji, ten twój ogier to piękne zwierzę, Eleno. Skąd się wzięły problemy z nerwowością wobec mężczyzn? Ktoś mu coś zrobił?

- Nie do końca. - Teraz przyszła moja kolej, by streścić Lajosowi historię życia i cierpienia mojego konia.

- To Elena go uleczyła - stwierdziła Melike. - I Twiksa też.

Pies otworzył oczy na dźwięk swojego imienia.

- Był ciężko ranny, kiedy go znalazłyśmy. - Melike mówiła ściszonym głosem. - Ale Elena umie robić specjalne rzeczy rękoma. Dzięki jej dotykowi rany się szybciej zagoiły. Poza tym ona potrafi wyczuć, gdzie konia boli.

- Nie opowiadaj bajek - zaprotestowałam i poczułam, że robię się czerwona.

Jednak ten wątek chyba bardzo zainteresował Lajosa, bo spojrzał na mnie uważnie i spoważniał.

- Czy to prawda? - zapytał.

- Sama nie wiem... - Posłałam Melike wściekłe spojrzenie, ale przyjaciółka uśmiechnęła się szeroko. - Ja... nie jestem pewna. Ale kiedy dotykam miejsca, w którym konia albo psa coś boli, to... to wtedy czuję coś w dłoniach. Jakby świerzbienie, hm... trochę jak łaskotanie prądu. Po raz pierwszy to poczułam, kiedy zajmowałam się Fritzim po wypadku.

Lajos usiadł naprzeciwko mnie i nie spuszczał ze mnie swoich ciemnych oczu. Nagle wskazał na Jaspera Melike.

- Spróbuj znaleźć miejsce, gdzie mu coś dolega - poprosił.

Wymieniłam z przyjaciółką zaskoczone spojrzenia. Skąd Lajos mógł wiedzieć, że Jasper już od tygodni nie biegał jak dawniej i co pewien czas zaczynał kuleć? Trójka różnych weterynarzy starannie go zbadała, lecz żaden nie potrafił znaleźć przyczyny.

- No, śmiało - zachęcał mnie.

Co miałam robić? Wstałam, weszłam do boksu, w którym stał Jasper, i przesunęłam dłońmi po jego nogach. Lajos podniósł się z kostki słomy i oparł o drzwi boksu. Cały czas przyglądał mi się uważnie. Nagle przypomniałam sobie wczorajsze słowa Friedricha Gottschalka, że Lajos ma złote ręce i pomaga zwierzętom, którym zwykła medycyna pomóc już nie może. Poczułam się strasznie zażenowana, bo pomyślałam, że wyjdę na zwykłą hochsztaplerkę. Mimo to zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na Jasperze. W stajni zrobiło się tak cicho, że słychać było brzęczenie muchy. Na nogach Jaspera i na jego kopytach nie znalazłam niczego podejrzanego, ale kiedy przesunęłam dłonią po boku, poczułam delikatne wibracje. Potem dotknęłam jego zadu i drgnęłam. Otworzyłam gwałtownie oczy i spojrzałam na Lajosa.

- Tutaj coś wyczuwam - wyszeptałam.

Mężczyzna potrząsnął delikatnie głową, a ja momentalnie straciłam pewność siebie.

Szybko jednak zauważyłam uśmiech, jaki rozjaśnił jego twarz.

- To jest niesamowite - powiedział. - Ten biedny zwierzak ma zablokowany staw krzyżowo-biodrowy.

- A skąd pan to wie? - Melike potrząsnęła z niedowierzaniem głową. - Trzy razy był na prześwietleniu i na zdjęciach nic nie wyszło!

- Już wcześniej słyszałem, że nie chodzi poprawnie. - Lajos wyjaśnił skromnie. - A resztę zobaczyłem. Jeśli mi pozwolisz, nastawię go. Złap go mocno za głowę i nie puszczaj.

Melike posłusznie wykonała polecenie, a ja wpatrywałam się zaskoczona, jak Lajos chwyta tylną nogę Jaspera, pcha ją delikatnie naprzód, a potem ciągnie w bok. Jasper nie był przesadnie zadowolony, że ktoś unosi mu nogę i jeszcze za nią ciągnie, lecz w następnej chwili miał inne powody do zmartwienia, bo Lajos szarpnął nią tak gwałtownie, że rozległo się trzaśnięcie.

- O nie! - Melike krzyknęła przerażonym głosem, a Jasper nie wiedział, co o tym sądzić. Obejrzał się zaskoczony.

- Już po wszystkim. - Lajos uśmiechnął się do nas. - Ale przez najbliższe kilka tygodni, albo nawet miesięcy, trzeba pilnować, żeby Jasper inaczej się poruszał. Musi roztrenować mięśnie i ścięgna. Poza tym pilnuj, żeby było mu ciepło. Jeśli przy takiej pogodzie będziesz jeździła w plener, zawsze zakładaj mu derkę na zad.

Potem z głowy podyktował cały plan treningowy dla Jaspera, a ja po raz pierwszy, odkąd poznałam Melike, zobaczyłam ją oniemiałą z wrażenia.

Godzinę później wracałyśmy do stadniny i nie mogłyśmy przestać rozmawiać. Lajos zrobił na mojej przyjaciółce gigantyczne wrażenie. Christian automatycznie przestał być obiektem jej westchnień. Jej nowa gwiazda nazywała się Lajos Kertéczy.

Ze zdziwieniem stwierdziłam, że minęło całe popołudnie, a ja ani razu nie pomyślałam o Timie ani nie sprawdziłam komórki. Na próżno jednak czekałam na jakiś znak

życia, bo nie dostałam żadnego smsa.

- Lajos Kertéczy - powiedziała Melike. - Jak tylko wrócę do domu, wrzucę jego nazwisko w Google. Ten gość jest niesamowity. Popatrz, a my myślałyśmy...

Nie słuchałam, co dalej mówiła. W sercu poczułam ukłucie zazdrości i opanował mnie wszechogarniający i niemożliwy do opisania żal. Przez chwilę nie mogłam dosłownie nabrać powietrza do płuc. Czy Tim miał akurat zajęcia z Ariane? A może siedział z nią i z Laurą w świetlicy? Przełknęłam głośno. Wczoraj jeszcze mnie obejmował, a dziś rano w autobusie zachowywał się tak strasznie obco... Co powinnam zrobić? Jak się zachować, jeśli więcej się do mnie nie odezwie? Nie chciałam się nakręcać, ale postanowiłam, że jeśli do wieczora nie da znaku życia, ja do niego napiszę. I niech sobie myśli o mnie, co tylko chce.

Rozdział 26

NASTĘPNEGO RANKA ZNOWU złapałam wcześniejsze połączenie, mając nadzieję, że spotkam Tima. Niestety, nie było go w autobusie. Mimo ulewnego deszczu do ostatniej chwili czekałam przed szkołą, lecz i to na próżno. Za dwie ósma pobiegłam do klasy, żeby się nie spóźnić na niemiecki. Miejsce Ariane, rząd przede mną, również było puste.

Na przerwie szukałam Tima wszędzie, gdzie tylko mogłam, a Melike zapytała jednego z jego kolegów z klasy, który wyjaśnił, że dzisiaj Jungblut nie pokazał się w szkole. Przestraszyłam się, słysząc tę nowinę. Czyżby coś się stało? Może zdarzył się wypadek? I dlaczego Ariane też nie pojawiła się na zajęciach?

Na lekcji nie potrafiłam się skupić na słowach nauczycieli, a całe przedpołudnie mijało boleśnie powoli. Po czwartych zajęciach nie wytrzymałam i powiedziałam pani od historii, że boli mnie brzuch.

- Jesteś bardzo blada - powiedziała z troską. - Chcesz może, żeby ktoś cię zaprowadził do pielęgniarki?

- Nie, dziękuję. Zadzwonię po mamę, żeby po mnie przyjechała.

- W takim razie w porządku. Szybkiego powrotu do zdrowia!

Wzięłam plecak i kurtkę i wyszłam z budynku. Na szkolnym podwórzu nie było żywej duszy. Oczywiście wcale nie zadzwoniłam po mamę, tylko powlokłam się w kierunku dworca autobusowego. Po drodze naprawdę źle się poczułam. Miałam wrażenie, że z każdym krokiem wzbiera we mnie płacz i lada chwila zaleję się łzami.

Trzęsącymi się palcami wybrałam numer Tima i z bijącym sercem czekałam, aż odbierze. Jednak jego telefon był wyłączony. Walczyłam ze łzami. Tim nie dawał znaku życia i nie pojawił się w szkole. Ariane również nie przyszła na zajęcia. A co, jeśli razem wyjechali gdzieś na turniej? Tim czasem brał wolne, podobnie zresztą jak Christian, żeby pojechać na

zawody, jeśli rozpoczynały się już w piątek. Ale nic mi o tym nie wspomniał, choć przecież powinien, bo w piątki spotykaliśmy się na treningach!

Na dworcu wsiadłam do autobusu, który jechał do Steinau. Piętnaście minut później stałam już przed ratuszem i zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Jeśli pójdę do domu, będę musiała odpowiadać na idiotyczne pytania. Jednak nie uśmiechało mi się siedzenie przez półtorej godziny na mrozie i strach, czy ktoś mnie przypadkiem nie zauważy. Wtedy przypomniałam sobie o Lajosie. Odpięłam rower i ruszyłam do leśniczówki.

Lajos akurat rąbał drewno. Wyprostował się zaskoczony, widząc, jak wyjeżdżam zza zakrętu.

- Elena! Co ty tutaj robisz? - Opuścił toporek i przedramieniem otarł spocone czoło. - Nie powinnaś być teraz w szkole?

- Nie czułam się dobrze - odpowiedziałam i oparłam rower o ścianę domu. - Mogę panu w czymś pomóc?

Niemal słyszałam już, jak zaczyna wygłaszać tyradę, po jaką dorośli zazwyczaj sięgają w takich sytuacjach, lecz on powiedział jedynie:

- Oczywiście. Mogłabyś zapakować szczapki do kosza? Zaraz znów zacznie padać, a ja muszę rozpalić w piecu.

Lajos narąbał już całkiem sporo drewna, więc szybko zabrałam się do pracy. Po chwili wziął ode mnie pełen kosz i pomógł zanieść go na werandę, gdzie pod dachem trzymał ułożone bierwiona.

- No dobrze - powiedział po chwili i spojrzał zadowolony na pokaźny stos drewna. - To na jakiś czas wystarczy. Zasłużyliśmy na krótki odpoczynek. Upiekłem chleb, może miałabyś ochotę spróbować?

Pokiwałam w milczeniu głową i ruszyłam za nim do domu. Na stole, na którym widziałam rozciągniętego Friedricha Gottschalka, stał zamknięty laptop, a obok niego leżał

stos książek, czasopism i dokumentów.

- Siadaj, proszę. - Lajos odwiesił kurtkę w garderobie obok drzwi. - Czego się napijesz? Coli? Wody?

- Poproszę colę.

Usiadłam przy stole i spojrzałam na tytuły książek. Ku mojemu zaskoczeniu, cała literatura, włącznie z czasopismami, była po angielsku. „American Journal of Veterinary Research", „Equine Veterinary Journal", Osteopathy for Horses - Fundamental and Practical Aspects.

Lajos wrócił do stołu z dwiema szklankami i talerzem w dłoni. Łokciem odsunął papiery na bok, a na uwolnionym miejscu postawił picie i jedzenie.

- Na zdrowie! - powiedział i się roześmiał. - Dzięki za pomoc.

- Nie ma sprawy - odparłam i upiłam łyk gazowanego napoju.

Chleb, posmarowany grubo masłem, pachniał tak smakowicie, że poczułam ssanie w żołądku. Natychmiast sięgnęłam po kromkę i wgryzłam się w aromatyczne ciasto. Chleb smakował wyśmienicie, znacznie lepiej niż pieczywo z którejkolwiek piekarni w okolicy.

Przez chwilę panowało milczenie. Skądś dochodziło tykanie zegara, czasem zaskrzypiały stare belki. Lajos przyjrzał mi się uważnie.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytał.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Czyżby był też jakimś jasnowidzem czy co?

- Nie - zapewniłam go szybko. Tylko nie to! No bo co niby miałabym mu powiedzieć? Że w tajemnicy przed wszystkimi spotykam się ze śmiertelnym wrogiem rodziny, a teraz nie panuję nad nerwami, bo chłopak się nie odzywa? Idiotyzm.

- Jak chcesz. - Nie spuszczał mnie z oczu. Odstawił szklankę i założył ręce za głowę. - Przed kilkoma laty poznałem w Stanach Zjednoczonych indiańskiego uzdrowiciela. Miał taki sam dar jak ty.

- Słucham? - Zrobiłam się czerwona jak burak. Czyżby sobie ze mnie żartował? Jaki ja mam niby dar?

- Potrafił dotykiem znaleźć miejsce, w którym zwierzęta albo ludzie odczuwali bóle lub mieli inne dolegliwości - ciągnął Lajos. - Na pierwszy rzut oka to nie jest aż tak niecodzienne. Jest wielu osteopatów i chiropraktyków, którzy to potrafią. Tak szczerze mówiąc, to chyba konieczne. Inaczej nie potrafiliby prawidłowo leczyć ani ludzi, ani zwierząt. U tego indiańskiego uzdrowiciela wyjątkowa była inna umiejętność, a mianowicie to, że potrafił znaleźć choroby, o których chory nie miał jeszcze pojęcia. Osobiście byłem przy tym, jak u pewnej kobiety znalazł guza. Zareagował na niego mniej więcej tak, jak ty wczoraj - zadrżał, jakby poraził go prąd.

Żując, wpatrywałam się w Lajosa. Chleb był przepyszny i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie wziąć drugiej kromki.

- Ja na przykład - mówił dalej - nic nie czuję. Mam za to bardzo duże doświadczenie w leczeniu koni. W Stanach Zjednoczonych praktykowałem pod okiem bardzo znanego końskiego osteopaty, a wcześniej oczywiście studiowałem weterynarię. Wiem, o co w tym wszystkim chodzi i jak co leczyć. A co ty wiesz o osteopatii i chiropraktyce?

- Nic - przyznałam z pełnymi ustami.

- W takim razie - Lajos wyprostował się i odchrząknął - pozwól, że ci trochę przybliżę temat. Otóż historia uzdrawiania dłońmi sięga starożytności. Stosowane są różne techniki, od najdelikatniejszych, jak masaże, do znacznie bardziej inwazyjnych, jak kręgarstwo. Pewnie choć trochę ci się obiło o uszy? Bardzo długo podstawową różnicą między tymi dwiema dziedzinami było to, że chiropraktycy zajmowali się raczej bezpośrednim zwiększaniem ruchomości stawów, a osteopaci leczeniem przyczyn w postaci schorzeń ścięgien i mięśni. Rozumiesz to?

Bardzo uważnie go słuchałam, więc potaknęłam.

- Jak zawsze można spotkać ludzi, którzy są wyjątkowo utalentowani, i takich, którym brakuje zdolności - tłumaczył dalej Lajos. - Już wcześniej zauważyłem, że mam pewien dar w tym kierunku. Kiedy medycyna akademicka nie potrafi znaleźć rozwiązania jakiegoś problemu, zdesperowani ludzie zwracają się ku jej alternatywie. Ostatnio przez kilka lat bardzo intensywnie zajmowałem się tym tematem i pogłębiałem swoją wiedzę. Napisałem nawet kilka książek na ten temat.

Uśmiechnął się i wskazał palcem na jedną, która leżała akurat obok komputera.

- Miałem szczęście spotykać ludzi z wyjątkowymi uzdolnieniami, więc próbowałem jak najwięcej się od nich nauczyć. Poznawałem stosowane przez nich techniki i metody, aż w końcu sam się stałem specjalistą. Weterynarz spogląda na problem tylko z jednego punktu widzenia, ja natomiast staram się chorego konia traktować jako złożoną całość i odpowiednio do potrzeb znajdować rozwiązania odnoszące się również do całości, najchętniej oczywiście unikając podawania środków chemicznych i operacji.

Przerwał na chwilę i przesunął dłonią po obciętej krótko głowie.

- Anamneza, czyli wywiad, i diagnostyka, wciąż odgrywają bardzo ważną rolę. Gdzie boli, od kiedy, czy doszło do jakiegoś urazu, co się dokładnie stało, czy wcześniej bolało i dlaczego? Co może sprawiać, że koń okulał, nie chce skakać, narowi się, nie je? To bardzo ciekawe, ale często niezwykle wymagające, bo koń sam mi przecież nie powie, co się z nim dzieje.

Zafascynowana słuchałam, o czym mówił, ale najbardziej niesamowite było to, jak mówił. Lajos traktował mnie jak osobę dorosłą.

- Medycyna uniwersytecka pokłada największą ufność w zdjęciach rentgenowskich, tomografii komputerowej, rezonansie magnetycznym, ultrasonografii i badaniach krwi. To, czego nie da się wyczytać z wyników tych badań, jest pomijane. Potem rozpoczynają się zastrzyki i inne zabiegi. Kiedy weterynarze wyczerpią wszystkie możliwości, proponują właścicielom chorego zwierzęcia uśpienie. W takim momencie pojawiam się ja. Wyleczyłem

już bardzo wiele koni, które znalazły się w podobnej sytuacji, jednak nie ma w tym żadnej magii, tylko wiedza i umiejętności, których uczyłem się przez całe lata.

Przytaknęłam, zastanawiając się, do czego zmierza. W tym momencie przeszedł do sedna.

- No właśnie. I teraz, jak gdyby nigdy nic, spotykam ciebie, Eleno. - Uśmiechnął się i przekrzywił głowę. - A ty bez żadnego wysiłku robisz dokładnie to, co robił tamten Indianin, o którym ci mówiłem.

Niespodziewanie zerwał się z miejsca i zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Niesamowite! Całą noc o tym myślałem i zastanawiałem się, czy mnie przypadkiem nie nabierasz. Ale potem pomyślałem, że niby po co miałabyś to robić? Co by ci to dało?

Lajos zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Słuchaj, w stajni mam jednego konia, z którym nie jestem w stanie sobie poradzić. Utknąłem. Lekarze już dawno się poddali. Ja też nie mam już wyjścia. Muszę zadzwonić do właściciela i powiedzieć, że nie wiem, co mu dolega.

Zawahał się, podrapał po głowie i nabrał głęboko powietrza.

- Eleno, czy zechciałabyś spojrzeć na tego konia?

Siedziałam na krześle i bałam się choćby poruszyć. Nie miałam pojęcia, co o tym myśleć. Lajos, zupełnie poważnie, poprosił mnie właśnie, żebym pomogła mu z chorym koniem!

- Ja... tak... oczywiście - wyjąkałam. - Tylko... że... ja nic wiem... to znaczy... ja... - zamilkłam.

- Na pewno nie zaszkodzi spróbować - zapewnił mnie. - Prawda?

Nie, na pewno nie zaszkodzi. Mogłam się jedynie zbłaźnić, ale do tego zdążyłam się już przyzwyczaić.

Kasztanowata klacz nastawiła uszu, kiedy weszliśmy do jej boksu.

- To jest Blue Fire Lady. - Lajos przedstawił mi klacz. I nic więcej nie powiedział.

- To co mam zrobić? - zapytałam niepewnie.

- Dokładnie to samo, co wczoraj zrobiłaś z koniem swojej przyjaciółki - wyjaśnił.

No tak.

- A co... co jej jest?

- Nie mam pojęcia i na tym właśnie polega problem. - Wzruszył ramionami, założył ręce na piersiach i oparł się o ścianę.

Blue Fire Lady była piękną klaczą, bez znaczeń, mniej więcej metr siedemdziesiąt w kłębie. Spojrzała na mnie zaciekawiona i podeszła.

- Hej, jak się czujesz? - zapytałam cicho, uniosłam dłoń i dotknęłam jej nosa.

Parsknęła delikatnie, a w jej oczach widziałam ten sam wyraz wyczekiwania, z jakim spoglądał na mnie Lajos. Uznałam, że to trochę nie fair, że nic mi o niej nie chciał powiedzieć. Jeśli do naszych zwierząt przychodził weterynarz, tata opowiadał mu wszystko, co tylko wiedział: od kiedy koń borykał się z problemami, co je spowodowało, gdzie, dlaczego... Ja tego wszystkiego nie wiedziałam. Czyżby Lajos wystawiał mnie na próbę? A zresztą, co mi tam.

Położyłam dłonie na karku klaczy i skoncentrowałam się. Przesuwałam je powoli po ciemnomiedzianej sierści zwierzęcia, przez kłąb, grzbiet i zad, aż do nóg i kopyt. Potem sprawdziłam jej brzuch na całej długości, aż do wymion. I nic. Obeszłam ją dookoła, stanęłam po drugiej stronie i powtórzyłam wszystkie czynności. Na koniec zajęłam się głową klaczy.

Zaczęłam od pyska, potem delikatnie pogłaskałam ją po bokach głowy, wokół oczu, po czole i wokół uszu, by powoli opuścić je, i dotykając ganaszy, przesunąć na powrót w górę. Nagle poczułam wstrząs, jakby porażenie prądem.

- Au! - wyrwało mi się z gardła i odskoczyłam.

- Co się dzieje? - Lajos błyskawicznie stanął obok. Był bardzo podekscytowany.

Wskazałam na miejsce między lewym uchem i tylną krawędzią żuchwy.

- Tam coś musi być - powiedziałam.

Żaden rozsądny człowiek nie chwyta elektrycznego pastucha, jeśli raz został porażony, jednak ja odważnie wyciągnęłam dłoń. Trzask! Momentalnie poczułam mrowienie i cofnęłam się, jakby to miejsce parzyło.

- Jesteś pewna? - zapytał Lajos.

- Zdecydowanie - potwierdziłam. - Co tam jest?

- Ślinianka przyuszna. A poniżej diverticulum tubae auditivae, czyli uchyłek trąbki słuchowej, przez który przebiegają naczynia krwionośne zasilające mózg konia.

Zamyślony przygryzł dolną wargę i przyglądał się klaczy.

- To by było coś. W ogóle nie brałem tego pod uwagę.

- Ale czego konkretnie? I co się dzieje z tym koniem? To znaczy, jakie ma objawy? Teraz chyba już może mi pan wszystko powiedzieć, prawda?

Lajos odwrócił się w moją stronę.

- Nie chciałem cię rozpraszać ani denerwować - powiedział cichym, ale wyraźnie rozluźnionym głosem. - Jeszcze cztery lata temu Blue Fire Lady była jednym z najlepszych

koni wyścigowych Europy. Wspaniałe pochodzenie i niesamowity talent sprawiły, że na aukcji roczniaków w Newmarket została sprzedana za niemal siedemset tysięcy euro. Jako trzylatka wygrała wszystkie ważne wyścigi, a rok później nawet zdobyła Prix de l'Arc de Triomphe w Paryżu. Potem zaczęła przybiegać na metę na ostatnim miejscu. Właściciele przeznaczyli ją do rozrodu i dali ją pokryć najlepszymi ogierami na rynku. Kosztowało ich to krocie, lecz ona nie zaszła w ciążę. Przez ostatnie dwa lata odwiedzili wszystkie znane kliniki na świecie, a od sześciu tygodni Lady stoi u mnie.

Z szacunkiem i podziwem spojrzałam na konia. Ta kasztanka kosztowała znacznie więcej, niż wynosiły długi dziadka zaciągnięte pod zastaw stadniny!

Niespodziewanie Lajos zaczął się gdzieś spieszyć.

- Chodź! - powiedział i szybkim krokiem ruszył w stronę domu.

Zanim wszedł na werandę, w jego dłoni pojawił się telefon komórkowy. Wybrał jakiś numer i kiedy byliśmy już w środku, zaczął krążyć nerwowo po pokoju, przyciskając słuchawkę do ucha.

- Cześć, Peter, Lajos z tej strony - powiedział po kilku sekundach czekania. - Pamiętasz może tę pełnokrwistą klacz, która była u ciebie w klinice? Blue Fire Lady, zgadza się... tak, to ta. Od kilku tygodni mam ją u siebie... tak, właśnie, tonący brzytwy się chwyta... aha... nie, właśnie o to chodzi. Nic nie znalazłem. Ale mam pewien pomysł. Powiedz mi tylko, czy robiliście jej pełną tomografię komputerową głowy?

Uśmiechnął się do mnie, a potem szybko spoważniał.

- Nie? A zająłbyś się tym, jeśli ją do ciebie wyślę? Dobrze? Super, powiedz tylko, kiedy. Fantastycznie, wszystko zorganizuję. Zadzwonię, jak tylko będę coś wiedział... tak, oczywiście. Mogę ją osobiście podrzucić, chyba nawet tak bym wolał...

Niespodziewanie usłyszałam z kieszeni sygnał komórki oznaczający nadejście wiadomości. Drgnęłam. Przez Lajosa i klacz na śmierć o wszystkim zapomniałam. Wygrzebałam telefon i spojrzałam na ekranik. Serce zabiło mi mocniej, lecz tylko z

rozczarowania. Miałam nadzieję, że to sms od Tima, tymczasem napisała do mnie Melike.

„Gdzie jesteś? Serio chora?”.

Pomyślałam, że będzie wściekła jak diabli, jak się dowie, że pojechałam sama do jej wspaniałego Lajosa. Ale nie chciałam też kłamać.

„Jadę na łąkę. Wpadłam po drodze do L.”, odpisałam. Czyli nie skłamałam, bo naprawdę planowałam przejażdżkę na łąkę. Miałam nadzieję, że zastanę tam Tima. Może nie tylko zepsuła mu się komórka, ale ją na dodatek zgubił? Może...

- Elena! - Lajos nie posiadał się z podniecenia. - W przyszłym tygodniu jadę z Blue Fire Lady do kliniki profesora Pelzera! Dzięki tobie zacząłem podejrzewać, co jej może być! Na razie to tylko przypuszczenie, ale jeśli się potwierdzi...

- Muszę już lecieć - przerwałam mu.

Został tylko kwadrans do trzeciej! Czyli już od jakiegoś czasu powinnam być w domu. Nie bardzo się tym przejęłam, bo o trzeciej koniecznie musiałam być na łące. Miałam przeczucie, że Tim będzie tam na mnie czekał. I zanim Lajos zdążył jeszcze cokolwiek powiedzieć, wybiegłam na dwór i ruszyłam po rower.

Rozdział 27

KIEDY DOTARŁAM na skraj łąki, ociekałam potem i sapałam jak lokomotywa. Z miejsca, gdzie się zatrzymałam, widziałam cały nasz plac treningowy. Przeszkody stały w taki sam sposób, jak je zostawiliśmy dwa dni wcześniej po treningu, jednak Tim na mnie nie czekał. Położyłam rower na ziemi i podeszłam do pnia drzewa, na którym jeszcze dwa dni temu siedzieliśmy i rozmawialiśmy. A potem on mnie tam objął.

- Tim. - Wymamrotałam jego imię, jakby było magicznym zaklęciem. - Tim. Tim. Tim.

Punkt trzecia. Wytężyłam słuch, próbując wyłowić pośród szumu lasu znajome pyrkanie jego motoroweru, lecz jedyne, co słyszałam, to trzeszczenie gałęzi. Ponownie poczułam się przeraźliwie samotna. Bez niego i bez Melike łąka wydawała mi się strasznie obca i nieprzyjemna.

Dziesięć po. Wiatr przybrał na sile i zaczęło padać. Nałożyłam kaptur i zaczęłam chuchać w skostniałe z zimna dłonie. Co się stało? Co się wydarzyło? W czwartek rano spotkaliśmy się przecież w autobusie i Tim rozmawiał ze mną jakby nigdy nic!

Wpół do czwartej. Tim, Tim, Tim - błagam, przyjedź! Błagam! Po moim policzku potoczyła się samotna łza. Po chwili zaczęła gonić ją druga. Nie przyjedzie. Nie zadzwonił. I nie wysłał smsa.

Dziesięć minut przed czwartą wróciłam na skraj lasu, podniosłam rower, wsiadłam i ruszyłam w drogę powrotną. Czułam się samotna i porzucona, jakbym została ostatnią osobą na świecie. Tim nie chciał mnie znać. W końcu to zrozumiałam. Przeraziło mnie to.

Kiedy dotarłam do stadniny, na parkingu brakowało samochodu taty. Odstawiłam rower i wypuściłam Twiksa, który siedział w korytarzu u babci i dziadka.

U nas na parterze panowały ciemności, a światło paliło się jedynie na piętrze, w

pokoju Christiana. Słyszałam też głuche dudnienie jakiejś gry komputerowej. Nikogo nie było w gabinecie mamy. Najwyraźniej nikt mnie nie szukał. No pewnie, wcale, bo po co? A mogłam przecież leżeć gdzieś martwa! Nic by nie zauważyli.

Zdołowana weszłam na piętro. Christian siedział przed komputerem, skoncentrowany do tego stopnia, że zapomniał nawet zamknąć usta, i ostrzeliwał jakieś potwory. Utrata Ariane najwyraźniej nie robiła na nim większego wrażenia.

- Gdzie jest mama i tata? - zapytałam.

- Z tego, co wiem, to u doradcy finansowego. Potem mieli pójść coś zjeść - wyjaśnił, nie odrywając wzroku od ekranu.

I zamilkł. W końcu zrozumiałam, że nie mam co liczyć na rozmowę, więc przeszłam do swojego pokoju i położyłam się do łóżka. Twix natychmiast wcisnął się pod kołdrę, ogrzewając moje zmarznięte nogi.

Znów odezwał się mój telefon. Melike. Westchnęłam i wybrałam jej numer. Nie czekałam nawet sekundy, zanim odebrała.

- Co się z tobą dzieje?! - wrzasnęła mi prosto do ucha. - Rany, tak się o ciebie bałam, że nawet nie masz pojęcia!

- Tim się nie odezwał - wyjąkałam przez łzy. - Ma wyłączony telefon. Ariane też nie było w szkole.

- Przecież to jeszcze o niczym nie świadczy. - Melike usiłowała mnie uspokoić.

- Przez godzinę czekałam na niego na łące. Prawie tam zamarzłam na śmierć. Taty i mamy nie ma w domu. Nikt się mną nie interesuje - zakończyłam zrezygnowanym głosem.

- Nie wymyślaj, bo ja się tobą interesuję - przyjaciółka zaprotestowała energicznie. - Zaraz zadzwonię do mamy Tima. Poczekaj, oddzwonię!

I bez pożegnania przerwała połączenie. Cała ona. Najwspanialsza przyjaciółka, jaką można sobie wymarzyć. Zahipnotyzowana wpatrywałam się w wyświetlacz telefonu i czekałam na jakąś informację od niej.

- No i? - zapytałam z nadzieją, kiedy w końcu oddzwoniła.

- Co za dziwaczna kobieta - powiedziała przyjaciółka. - Tim jest ponoć z ojcem na jakimś wyjeździe i nie będzie go do końca weekendu. Nic więcej nie chciała mi powiedzieć. Może po prostu zapomniał telefonu albo nie ma doładowanego konta i dlatego do ciebie nie dzwoni. No to chyba możesz trochę wyluzować, co?

- Serio? To znaczy, naprawdę tak myślisz? - zapytałam z nadzieją.

- Inaczej nic bym ci nie mówiła. A teraz opowiedz mi coś o Lajosie.

No tak, Lajos! Przez swoje problemy całkowicie zapomniałam o wizycie w leśniczówce. Z najdrobniejszymi szczegółami opowiedziałam Melike o Blue Fire Lady, niemal słowo w słowo powtórzyłam wszystko, o czym Lajos mi opowiadał, i tylko darowałam sobie łacińskie słowa, bo nie potrafiłam ich powtórzyć. Kiedy skończyłam, Melike westchnęła głęboko.

- Lajos. Lajos Kertéczy. Jest przesłodki! - szepnęła rozmarzonym głosem.

- Ty chyba żartujesz? - Pokręciłam głową. - Co ty opowiadasz? On w żadnym razie nie jest słodki! Jest tak stary, jak... jak mój ojciec!

- I co z tego? To przecież nie znaczy, że nie może być słodki. Już wystarczy to jego imię... Lajos...! Poza tym pisze książki...

- Melike, jesteś zdrowo kopnięta. - Zrezygnowana potrząsnęłam głową. Słodki!

Lajos był w porządku, różnił się od innych dorosłych, których znałam, i robił wielkie wrażenie swoją wiedzą o koniach, zgadzam się. Znał nawet profesora Pelzera, weterynarza naszej reprezentacji olimpijskiej! I mówili sobie po imieniu! Niesamowite. Ale słodki?

Potrafiłam łączyć to słowo jedynie z widokiem pary błękitnych oczu.

Jeszcze przez chwilę rozmawiałyśmy, po czym umówiłyśmy się na przejażdżkę na następny dzień. Myśl, że Tim rzeczywiście mógł po prostu zapomnieć telefonu albo nie miał pieniędzy na karcie, troszkę mnie uspokoiła.

Rozdział 28

WEEKEND MIJAŁ, a ja dalej nic nie wiedziałam o Timie. Miałam rozpaczliwą nadzieję, że naprawdę tylko zapomniał telefonu. Pojechałam z Melike na łąkę, ale się nie pojawił.

Sobotnie popołudnie spędziłyśmy u Lajosa. Najpierw pomogłyśmy w pracach w stajni, a potem usiedliśmy wszyscy przy kuchennym stole, piliśmy herbatę i słuchałyśmy, jak opowiada przeróżne interesujące historie, które przeżył, kiedy podróżował po świecie.

Melike co prawda zupełnie nie interesowała się chorobami koni i sposobami ich leczenia, jednak w obecnej sytuacji była gotowa rozmawiać o skutkach globalnego ocieplenia w górnych partiach Himalajów czy o kanalizacji południowych dzielnic Bagdadu. Wpatrywała się w Lajosa, jakby był wielką gwiazdą, i chłonęła każde jego słowo, zachowując się w taki sposób, że aż robiło mi się głupio.

Lajos zdawał się nie zwracać na to uwagi. W pewnym momencie wstał, otworzył szufladę i wyjął z niej woreczek. Nie przerywając rozmowy, wysypał z niego troszkę jakiegoś suszonego ziela na papierek, zwinął całość między palcami i zapalił tak zrobionego papierosa.

- Co się dzieje? - zapytał po dwóch zaciągnięciach się. Obie z Melike wpatrywałyśmy się w niego bez słowa. - Nigdy nie widziałyście palacza?

- Nie, widziałyśmy palaczy, ale oni palili papierosy - wyszeptała przyjaciółka, wytrzeszczając oczy. - Czy to... czy to jest... haszysz?

Lajos uniósł brwi i przez chwilę oglądał zwiniętego krzywo papierosa. Widać było, że odjęło mu mowę.

- Chyba nie zrobiłem na was zbyt dobrego wrażenia, co? - Rozbawiony spojrzał na Melike, a ja pomyślałam, że z pewnymi ograniczeniami można było zaliczyć jego oczy do „słodkich”. Moja przyjaciółka momentalnie się zaczerwieniła. - To nie jest żaden haszysz,

tylko najnormalniejszy tytoń. Sam sobie robię papierosy, bo to znacznie tańsze. Poza tym lepiej smakują.

Wzruszył ramionami i znów się uśmiechnął.

Na podwórze wjechał jakiś samochód. Melike wyjrzała przez okno.

- To chyba dziadek Tima - powiedziała.

- Kto? - zapytał Lajos.

- Pan Gottschalk jest dziadkiem Tima Jungbluta - wyjaśniła. - Powinieneś to wiedzieć.

Melike bez skrępowania zwracała się do niego per ty, a że Lajos chyba nie miał nic przeciwko temu, ja też przestałam mówić do niego pan.

Rozległ się trzask zamykanych drzwi i Friedrich Gottschalk ruszył w stronę werandy. A wtedy Melike wypaplała naszą największą tajemnicę.

- Tim w tajemnicy trenuje Elenę i Fritziego na łące przy kamiennym krzyżu. Tylko nikomu o tym nie mów, bo rodzice Eleny nienawidzą rodziców Tima. Prawda, Elena?

Potaknęłam. Lajos i tak nic by nie zdradził. Bo niby komu? Nic nie świadczyło o tym, by znał moich rodziców czy rodziców Tima.

- Doprawdy? - mruknął jedynie i zdusił niedopałek w popielniczce.

Wtedy przypomniałam sobie, jak dziwnie na mnie spojrzał, kiedy pan Gottschalk wymienił moje nazwisko. Czy to nie dziwne, że w gruncie rzeczy tak mało o sobie mówił? Wszystkie jego historie dotyczyły życia w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Argentynie czy Irlandii, ale przecież wcześniej musiał mieszkać w Niemczech, bo zbyt dobrze mówił po niemiecku.

Starałam się przypomnieć sobie przebieg wydarzeń z tamtego wieczoru, kiedy

zwichnęłam sobie kostkę. Po głowie krążył mi cień wspomnienia, które mogło mieć znaczenie, lecz nie potrafiłam go złowić. Friedrich Gottschalk zapukał do drzwi, a kiedy wszedł, wpuścił do środka falę zimnego powietrza.

- No proszę, proszę, Lajos, widzę, że masz wizytę pięknych pań - stwierdził miło i przywitał się z nami.

I wtedy sobie przypomniałam. Pan Gottschalk powiedział, że znał Lajosa z czasów, kiedy jeszcze tu mieszkał. Dokładnie tak powiedział! Wynajął mu leśniczówkę, bo znał go z dawnych czasów!

- Musimy już uciekać - oznajmiłam pospiesznie i złapałam Melike za ramię, bo inaczej nie wyciągnęłabym jej stamtąd do północy. - Cześć, Lajos, do zobaczenia, panie Gottschalk!

- Pozdrów ode mnie dziadka! - odpowiedział mężczyzna.

- Co ci nagle tak spieszno? - zapytała Melike z pretensją w głosie, kiedy szłyśmy w stronę stajni, żeby wyprowadzić konie.

- Zaraz zrobi się ciemno - wyjaśniłam. - Nie mam ochoty wpaść na coś.

Choć tak naprawdę spieszyłam się, bo chciałam jak najszybciej dotrzeć do domu. Niespodziewanie nabrałam pewnych podejrzeń.

Znów nie zastałam nikogo z rodziny, bo wszyscy byli w rozjazdach. W stajni panował bezruch i cisza, za to gospoda była już otwarta. Ze względu na wczesną porę wszystkie stoliki były jeszcze puste. Pierwsi goście pojawiali się z reguły o dziewiętnastej.

- O, Elena. - Babcia stała za barem i polerowała kufle. - Gdzie ty się podziewałaś całe popołudnie?

- Jeździłam konno - wyjaśniłam i podeszłam do wielkiej tablicy zawieszonej na ścianie, pod którą stał stół dla stałych klientów.

Od 1978 roku na tablicy honorowani byli zwycięzcy zawodów związku jeździeckiego. Byłam pewna, że to właśnie tutaj zauważyłam imię Lajos.

- Co się dzieje? - Babcia popatrzyła na mnie z zaciekawieniem.

Nie odpowiedziałam, zajęta uważnym sprawdzaniem nazwisk na niewielkich mosiężnych tabliczkach, które dziadek przygotowywał po każdych zawodach, by powiesić je na tablicy.

Nagle drgnęłam. W 1986 roku Wotan pod Lajosem Kertéczym zwyciężył w skokach w kategorii N. A potem w 1987 roku Lajos znów zajął pierwsze miejsce, tym razem na koniu imieniem Calico. Serce waliło mi jak oszalałe. Lajos rzeczywiście mieszkał tu wcześniej - lecz nie tylko to! Jeździł w naszej stadninie, razem z tatą i - nie mogłam uwierzyć własnym oczom - z Richardem Jungblutem! Na kilku tabliczkach znalazłam również jego nazwisko.

Usiadłam ciężko na narożnej ławie i wbiłam wzrok gdzieś w dal. Dlaczego Lajos nie wspomniał, że zna mojego tatę? Nic już nie rozumiałam.

- Elena?

Uniosłam głowę i dostrzegłam zatroskaną twarz babci.

- Co się dzieje?

- Babciu - wyszeptałam. - Znałaś kiedyś kogoś o imieniu Lajos?

- Oczywiście, kochanie - odparła. - To był syn doktora Kertéczyego z Königshofen. Jeździł dawniej u nas, razem z tatą. Dlaczego cię to interesuje?

- Tak tylko...

Wstałam i zmusiłam się do uśmiechu. Mama nie dałaby się tak łatwo spławić, ale babcia miała inne sprawy na głowie, bo w gospodzie pojawili się pierwsi goście.

Wybiegłam do przedpokoju, zawołałam Twiksa i otworzyłam drzwi do domu. Czyli tata, Lajos i ojciec Tima razem jeździli konno tutaj, w naszej stadninie. Musieli dobrze się znać, a może nawet byli przyjaciółmi? Coś się potem wydarzyło, co zniszczyło więzi między nimi i przyjaźń zmieniło w nienawiść. Zdjęłam buty i weszłam do gabinetu mamy. Przez chwilę nie wiedziałam, co dalej. Wpatrywałam się w jej biurko i regały zastawione książkami, a potem zaczęłam poszukiwania. Nie miałam jeszcze pojęcia, czego szukam, ale byłam pewna, że będę wiedziała, kiedy na to trafię. I rzeczywiście tak było - na najniższej półce jednego z regałów stał karton opisany maminym starannym pismem: „Stare zdjęcia". Wyjęłam go szybko, otworzyłam i chwyciłam pierwszy album. 1986. Mama miała wówczas dwanaście lat. Zaintrygowana zaczęłam przerzucać strony. Fotografie przedstawiały mamę, jej rodziców i jej starszą siostrę Violę, która zmarła bardzo młodo. Zdjęcia z wakacji, zdjęcia ze szkoły i przede wszystkim zdjęcia z jazd konnych. „Wakacje w stadninie 1986", przeczytałam. W tamtych czasach wszystko inaczej wyglądało. Babcia i dziadek byli znacznie młodsi. Pod kolejnym zdjęciem znalazłam podpis „Viola, Micha, Lajos, Linda, Richi i ja". Fotografia przedstawiała szóstkę nastolatków i konie. To było coś niesamowitego. Z początku miałam wrażenie, że widziałam Tima, tak bardzo był podobny do swojego ojca.

Przerzucałam kolejne strony albumu. Mama i jej siostra regularnie spędzały wakacje w stadninie, a fotografie pokazywały, jak stawali się coraz starsi. W pewnym momencie trafiłam na wsunięte między kartki wycinki z gazet z informacjami o turniejach, na których moja mama i jej przyjaciele zajmowali dobre miejsca. „Drużyna związku jeździeckiego ze Steinau niepokonana", głosił nagłówek jednego z artykułów z roku 1988. Tata, Lajos i Richard Jungblut zwyciężyli w zawodach WKKW w mistrzostwach Hesji. Na zdjęciu zobaczyłam trójkę młodych mężczyzn na najwyższym stopniu podium. Śmiali się i obejmowali. Oczywiście wiedziałam z opowieści, że tata i mama poznali się już w dzieciństwie, jednak wśród historii, które od nich słyszałam, brakowało tych o Violi, Lajosie, Lindzie i Richardzie Jungblucie.

Wycinki gazetowe z późniejszych lat przejrzałam pobieżnie. Nazwisko Lajosa nie pojawiło się w nich ani razu, tata i Richard Jungblut przebywali wówczas w wojskowej szkole sportowej i występowali na kilku zdjęciach konno i w mundurach. W końcu został mi już tylko jeden album do przejrzenia, a ja ani o krok nie zbliżyłam się do wyjaśnienia zagadki.

Rok 1992. Mama skończyła wtedy osiemnaście lat, a tata dwadzieścia pięć. Znalazłam zdjęcie, na którym są razem z Lajosem i Lindą na jakiejś imprezie. I dopiero wtedy zrozumiałam, że Linda była przecież matką Tima. Linda Gottschalk! Oczywiście! Czyżby była wtedy dziewczyną Lajosa? Obejrzałam album do końca, ale ostatnie strony były puste.

- Cholera - mruknęłam.

I kiedy już chciałam odłożyć album do kartonu, na podłogę wypadł pożółkły, złożony kawałek gazety.

„Śmiertelny wypadek samochodowy", przeczytałam. „Czwórka młodych ludzi, mieszkańców Steinau, zakończyła zielonoświątkowy wypad na turniej jeździecki w Zeiskam wypadkiem samochodowym, w którym jedna osoba zginęła, a trójka została ciężko ranna. Kierowca, dwudziestopięcioletni Lajos K., zignorował nakaz zatrzymania się przed niestrzeżonym przejazdem kolejowym i doprowadził do zderzenia z pociągiem nadjeżdżającym od strony Königshofen. W wyniku kolizji pojazd stanął w płomieniach. Lajos K., Richard J. i Susanne K. w ciężkim stanie trafili do szpitala, a dwudziestojednoletnia Viola K. zginęła na miejscu. Wstępne wyniki oględzin lekarskich mówią o urazach wewnętrznych i krwotoku. Prokuratura zarzuca kierującemu Lajosowi K. prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu, doprowadzenie do wypadku ze skutkiem śmiertelnym, spowodowanie ciężkich obrażeń ciała oraz drastyczne naruszenie zasad ruchu drogowego".

Oniemiała wpatrywałam się w artykuł, który trzymałam w dłoniach. Myśli w mojej głowie wirowały jak jakaś szalona karuzela. Właśnie dowiedziałam się, jak zmarła Viola, siostra mojej mamy! Trzęsącymi się rękoma złożyłam pożółkły papier i sięgnęłam po pozostałe. Wszystkie lokalne gazety donosiły o śmiertelnym wypadku. Lajos miał być całkowicie pijany. Stracił prawo jazdy i został skazany na pięć lat więzienia. Okropne! Trzęsłam się z przerażenia. Jednak teraz zaczęłam wszystko rozumieć. Nic dziwnego, pomyślałam rozczarowana, że Lajos nie chciał mówić o swojej przeszłości. Nie przyjechał do stadniny, tylko ukrył się w lesie, bo był mordercą siostry mamy!

Złożyłam wycinki i wsunęłam je do kartonu, który odstawiłam na regał, w to samo miejsce, w którym stał. Zachowałam sobie tylko artykuł o wypadku. Nigdy już, przysięgłam sobie tamtego wieczoru, nie zamienię słowa z Lajosem. Rozczarowanie było tym

boleśniejsze, że bardzo go polubiłam. Nie mogłam się pozbierać, kiedy uświadomiłam sobie, jak bardzo zawodzę się na innych - najpierw Corinna i Engelbert, potem głupia Ariane, Tim, nawet tata! Jeśli w ogóle był w domu, to zawsze w złym humorze.

Rozdział 29

W NIEDZIELĘ SIEDZIAŁAM SMUTNA w swoim pokoju. Melike chciała oczywiście jechać do Lajosa, ale wymówiłam się bólem głowy i dreszczami.

Co pewien czas usiłowałam dodzwonić się do Tima, lecz jego telefon pozostawał wyłączony.

Bezustanne kłótnie taty z mamą osiągnęły apogeum w czasie obiadu, w efekcie czego tata wyszedł, trzaskając drzwiami, i pojechał, nie mówiąc dokąd. Powodem jego złości był czek od pana Teicherta, który akurat ja wzięłam od ojca Tima. Okazało się, że był bez pokrycia, jak wyjaśniła mama. To oznaczało, że nie dało się go spieniężyć. Ponad sześć tysięcy euro, które Teichertowie byli nam winni za pensjonat dla koni, objeżdżanie zwierzaków, weterynarza i kowala, można było spisać na straty. No i oczywiście to ja byłam wszystkiemu winna.

W poniedziałek miałam przemożną ochotę pozostania w łóżku. Nic nie ciągnęło mnie do szkoły. Nie potrafiłam się też zmusić do wyjawienia Melike prawdy o jej ubóstwianym Lajosie. Informacje, które znalazłam w starych gazetach, były zbyt przerażające, żeby o nich mówić.

Tym razem Ariane pojawiła się na zajęciach. Miała nową fryzurę i nowy strój. Wyraźnie oczekiwała ochów i achów na jego temat. Po drugiej godzinie nie wytrzymała i w drodze na długą przerwę trajkotała o wszystkich nowościach. Oczywiście mówiła wystarczająco głośno, żeby nawet głuchego nie ominęło ani jedno słowo.

- Miałam po prostu wy-strza-ło-wy weekend! - chwaliła się przed Tessą, Ricky i wszystkimi, którzy chcąc nie chcąc, musieli ją słyszeć. - Pojechaliśmy do Szwajcarii na zawody, razem z Jungblutami, bo oni chcieli wpaść do jednego handlarza, żeby poszukać nowych zwierząt.

Czyli to był powód, dla którego w piątek w szkole nie pojawiła się ani ona, ani Tim.

Poczułam się strasznie dotknięta i zagotowałam się z wściekłości.

- Zatrzymałam się z mamą w Zurychu, bo mają tam świetnego fryzjera. A hotel to już w ogóle odlot! - Zachichotała jak idiotka. - No i była heca z pokojami, bo jednego zabrakło i musiałam spać z Timem w tym samym! Ale to jest ciacho, mówię wam! Poza tym chłopak się we mnie zakochał po uszy!

Wtedy nie wytrzymałam i niczym tsunami zalała mnie fala zazdrości. Zatem Tim spędził cały weekend z tą głupią krową i nawet do głowy mu nie przyszło, żeby dać mi znać, że żyje! A tak na to czekałam!

- Tim jeździ jak młody bóg! - Ariane przewróciła oczyma. - Na zawodach dosiadał kilku koni tego handlarza, no i wygrał swoją klasę w skokach. Tata powiedział, że kupi mu konia, na którym będzie mógł walczyć z najlepszymi.

Tego było już zbyt wiele.

- Może najpierw niech zacznie płacić Jungblutom za trzymanie koni - powiedziałam głośno i z pogardą. - Bo u nas jakoś o tym zapomniał. A czek, który wystawił, był bez pokrycia.

Ariane spojrzała na mnie z wyższością.

- Czyżby ta wieśniara miała coś do powiedzenia? - Zaśmiała się złośliwie, a jej przyjaciółki zachichotały.

Zacisnęłam pięści. Przy Ariane, w mojej puchowej kurtce i starych, nieforemnych timberlandach czułam się wyjątkowo niekomfortowo.

- Twój ojciec orżnął nas na sześć tysięcy euro - zarzuciłam jej. - To dzięki temu mogłaś pojechać do Zurychu na ten swój shopping.

- Lepiej uważaj, co mówisz, głupia małpo! - syknęła Ariane.

- Zostaw ją w spokoju! - Do rozmowy niespodziewanie włączył się ktoś jeszcze, a ja z przerażenia omal nie padłam trupem.

Tim wyrósł obok mnie jakby spod ziemi. Nie widziałam, żeby do nas podchodził. Szumiało mi w uszach i kręciło się w głowie, więc nie dotarło do mnie nic z tego, co Tim powiedział do Ariane. Jedyne, co rozumiałam, to że wziął mnie w obronę i zmusił moją koleżankę z klasy do odwrotu.

Patrząc na to jego zachowanie, raczej trudno było przypuszczać, żeby był w niej zakochany, mimo że spędzili noc w jednym pokoju hotelowym. Zrobiło mi się słabo ze szczęścia.

Ariane z obrażoną miną, otoczona przyjaciółkami, oddaliła się, a ja spojrzałam na Tima.

- Wybacz, że się do ciebie nie odzywałem - powiedział cicho. - W czwartek nie miałem jeszcze pojęcia, że będę musiał jechać na zawody i do Nötzlego. Słowo.

I Melike miała rację, kiedy zgadywała, co było powodem, że nie dzwonił. Zapomniał doładować konto i nie miał za co dzwonić. Jednak teraz to już nie miało znaczenia. Był tu, stał naprzeciwko mnie, pokazał Ariane, gdzie jest jej miejsce, a jego oczy błyszczały błękitem jak czyste jezioro pośród zielonego lasu. Wszystko znów było cudowne, wspaniałe i piękne! W jednym momencie zapomniałam o smutnych chwilach zwątpienia, o zazdrości i rozpaczy. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć, tak byłam zaskoczona i szczęśliwa. I z tego szczęścia na śmierć zapomniałam, że nie miałam z nim w ogóle rozmawiać. Podekscytowana opowiedziałam mu o Lajosie w leśniczówce, o czeku bez pokrycia i o Blue Fire Lady.

- Hej, powoli! Powoli! Nic nie zrozumiałem! - Tim bronił się ze śmiechem, bo nie mogłam przestać mówić, tak strasznie byłam szczęśliwa, że znów go widzę. Miałam wrażenie, że całe miesiące minęły od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

I z tej całej radości zrobiłam się nieostrożna, bo Christiana zauważyłam dopiero, kiedy stanął obok nas.

- Hej, Jungblut! - Głos brata wyrwał mnie z krainy cudowności i uśmiechu. - Zostaw moją siostrę w spokoju, co? Elena, natychmiast przestań z nim rozmawiać.

Ziejąca nienawiścią twarz brata nie dopuszczała jakiegokolwiek sprzeciwu. Przyprowadził swoich kolegów: Feliksa, Davida i Yannicka. Chłopcy nic nie mówili, tylko stali z groźnymi minami za Christianem. Nie chciałam zostawiać Tima na ich pastwę, ale też nie mogłam dawać bratu dalszych argumentów przeciwko niemu.

- Wyluzuj, Weiland - odparł Tim. Zachowywał się tak, jakby zupełnie się nie bał. - Nic złego jej nie zrobię.

- Wystarczy, że oddychasz tym samym powietrzem. - Christian zrobił krok naprzód i pchnął go w pierś. - Czego w ogóle tu szukasz, co? Może lepiej przenieś się do szkoły specjalnej, gdzie twoje miejsce!

Tim chodził do szkoły realnej i chociaż szkoła realna dzieliła podwórze z gimnazjum, obowiązywały tu pewne niepisane zasady.

- Jeśli jeszcze raz zobaczę cię w pobliżu Eleny, będziesz miał poważne kłopoty, zrozumiano? - Christian go ostrzegł.

- Wyobraź sobie, że rozumiem, chociaż nie poszedłem do gimnazjum, tylko do realnej - odparł Tim z luzem.

Mimo całej tej sytuacji nie wyglądał, jakby miał zaraz narobić ze strachu w spodnie.

Rozległ się dzwonek obwieszczający koniec przerwy. Christian był wyraźnie rozczarowany, że nie udało mu się sprowokować Jungbluta juniora.

- Mięczak! - syknął głośno i złapał mnie za ramię.

Nie dał mi możliwości pożegnania się z Timem i odprowadził do samych drzwi klasy, nie szczędząc mi wyrzutów.

Po szkole udało mi się uciec Christianowi, bo miał dwie lekcje więcej niż ja.

Tim napisał mi smsa, że będzie czekał o piętnastej na łące. Byłam szczęśliwa, że znów jest tak dobrze, jak dawniej.

Jednak w domu nie działo się dobrze. Mimo że w weekend odbywał się w Heidelbergu naprawdę duży turniej z międzynarodową obsadą i międzynarodowymi sędziami, a tata miał bardzo duże szanse zająć dobre miejsce, i mimo że trener reprezentacji narodowej powiedział mu, że powinien wystartować w kwalifikacjach do mistrzostw świata w Bordeaux i w Göteborgu na Lagunasie i Calvadorze, tata był w bardzo złym humorze. Rodzice nie kłócili się, kiedy siedzieliśmy przy stole, co było pewną nowością, a to dlatego, że nie odzywali się do siebie wcale. Napięcie między nimi było trudne do zniesienia. Mama miała czerwone oczy, jakby bardzo dużo płakała, a tata, kiedy skończył, wstał bez słowa i wyszedł.

- Czy coś się stało? - zapytałam mamę, pomagając posprzątać po obiedzie.

- Nie - odparła krótko.

W milczeniu zaniosłam naczynia do zlewu. Kiedy chciałam pójść do siebie, żeby się przebrać, mama zawołała mnie do gabinetu.

- Eleno, wiem, że to nie jest najlepszy moment... - zaczęła. - Ale muszę... wyjechać na kilka dni.

Już dawno byłam myślami przy Timie i naszym treningu na łące, więc nie do końca zrozumiałam, o czym w ogóle mówi.

- Ale... dlaczego? - zapytałam. - I dokąd jedziesz?

- Potrzebuję trochę dystansu do tego miejsca - wyjaśniła mama. Miała podejrzanie błyszczące oczy. - Już dłużej tak po prostu nie mogę. Rozumiesz?

Przytaknęłam powoli. Ależ byłam egoistką, że myślałam tylko o sobie i martwiłam się

jedynie swoimi problemami! Mamę spotykały znacznie większe kłopoty niż mnie. A tata jej w niczym nie wspierał, tym bardziej w takim stanie, w jakim był od kilku tygodni.

- Powiedziałaś tacie? - zapytałam szeptem.

Mama potrząsnęła głową i wytarła dłonią oczy. A potem nagle mnie objęła.

- Nie bądź na mnie zła, proszę cię! Po prostu nie mogę inaczej. Pojadę do Bonn, do moich rodziców i zostanę tam parę dni. Dzwoń, kiedy tylko będziesz chciała, dobrze?

- Pewnie - mruknęłam. - Ale wrócisz do nas, prawda?

- Oczywiście, że tak. - Uśmiechnęła się słabo i jednocześnie zapłakała. - Przyrzekniesz, że będziesz dzielna i nie zrobisz nic głupiego?

- Obiecuję - odpowiedziałam i przytuliłam się mocno.

- Napiszę list do twojego ojca - powiedziała mama. - Proszę, daj mu go wieczorem, dobrze? Jak skończę, włożę go do najwyższej szuflady biurka. Pamiętaj o tym, dobrze?

- Pewnie. Dam mu go wieczorem.

No i tata się doigrał. Mama nie była winna długom dziadka ani temu, że ludzie nie chcieli dłużej trzymać u nas koni. Zamyślona wróciłam na górę i poszłam do łazienki. Przypomniałam sobie, że Tim cały weekend spędził z Ariane, i ta świadomość wciąż tkwiła we mnie niczym cierń. Przyjrzałam się swemu odbiciu w lustrze. Niezadowolona stwierdziłam, że rzeczywiście Ariane była sporo ładniejsza ode mnie. Moje włosy zwisały nudnie prosto i miałam bladą, nieopaloną twarz. A do tego ten cholerny aparat na zęby! Nie miałam pojęcia, co i jak mogłabym w sobie zmienić.

Krótko po drugiej poszłam do stajni, osiodłałam Fritziego i niezauważona wymknęłam się ze stadniny. Miałam dość czasu, zatem nie musiałam jechać skrótem koło leśniczówki. Było zimno, ale sucho, a Fritzi miał świetny humor, więc pozwoliłam mu kłusować tak, jak chciał.

Tim już na mnie czekał na łące. Przestawił część przeszkód naszego parkuru, więc szybko zaczęliśmy trening. Jeszcze przedwczoraj łąka wydawała mi się okropnie obca i pusta, a dzisiaj wszystko uległo zmianie. Gdyby tylko ta sprawa z Ariane mogła przestać mnie dręczyć! Może zdarzy się okazja, żeby zagadać o nią Tima.

Fritzi skakał naprawdę świetnie. Na koniec Tim ustawił przeszkody tak wysoko, jak jeszcze nigdy, i był zachwycony wynikiem, bo na całym przejeździe nie zrobiliśmy ani jednego błędu!

- Wiesz co, jesteście już gotowi do startów na zawodach! - krzyknął zadowolony i uśmiechnął się szeroko. - Jak dla mnie doskonała robota!

- Serio? - Dysząc ciężko, zatrzymałam konia tuż obok niego.

W gruncie rzeczy nie chciałam rozmawiać o Fritzim, bo znacznie bardziej interesowała mnie noc w hotelu, którą spędził w jednym pokoju z Ariane. Chociaż nie, poczułam, że chcę mu opowiedzieć o wycinku z gazety i artykule o wypadku samochodowym, i o tym, że dawniej nasi rodzice byli bliskimi przyjaciółmi.

Ale wtedy rozdzwonił się jego telefon. Odebrał połączenie, a ja obserwowałam, jak jego twarz robi się coraz bardziej ponura.

- Cholera, muszę już lecieć! - Przeprosił mnie spojrzeniem. - To był mój stary. O czwartej przychodzą klienci.

- Czy to prawda, że ojciec Ariane chce ci kupić konia? - zapytałam, kiedy ruszyliśmy w stronę jego motoroweru.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Sporo o tym mówi, ale niewiele z tego wynika. Nawet nie masz pojęcia, jaki to był ciężki weekend. Bez przerwy miałem tych gości na głowie. Mówię ci, porażka!

Wydźwięk jego słów tak bardzo różnił się od tego, co Ariane opowiadała rano.

Uśmiechnęłam się w duchu.

- Ariane opowiadała rano w szkole, że jesteś w niej zakochany i że spaliście w jednym pokoju w hotelu - odważyłam się powiedzieć.

- Aha! - Tim przewrócił oczyma. - Jej niedoczekanie! Musiałem być uprzejmy, bo Teichertowie to przecież nasi klienci. Od kiedy mają konie w naszej stadninie, dokładają nam obowiązków, że hej! Wciąż czegoś chcą albo coś im się nie podoba. Zamęczą nas, mówię ci!

O tak, skąd ja to znałam... Niespodziewanie zrobiło mi się żal Tima, ale jego ojcu nic a nic nie współczułam.

W końcu dotarliśmy do motoroweru Tima.

- Miałaś jeszcze jakieś problemy przez tę scenę dzisiaj rano? - zapytał.

- Nie, w każdym razie jeszcze nie - odparłam. - Christian miał dłużej zajęcia w szkole. Znajdziesz czas w tym tygodniu?

- Postaram się. - Tim nałożył kask. - Dam ci znać, jak coś będę wiedział.

Pokiwałam głową.

Już chciał uruchomić silnik, ale zawahał się i o czymś sobie przypomniał.

- Elena?

- Tak?

- Nie zaprzątaj sobie głowy tą całą Ariane.

Nie mogłam powstrzymać szerokiego uśmiechu ulgi i byłam pewna, że musiał słyszeć łoskot spadającego mi z serca kamienia. Powiedział dokładnie to, co tak bardzo chciałam usłyszeć. Uszczęśliwiona odprowadziłam go wzrokiem.

Kiedy odjechał, zawróciłam Fritziego i ruszyłam kłusem przez łąkę. Gdyby nagle mój ogier nie nadstawił uszu i nie poderwał łba, nie zauważyłabym postaci, która stała na skraju lasu, oparta o pień. Lajos! Co on tutaj robił?

- Hej, Elena! - krzyknął i ruszył w moim kierunku.

Na jego widok poczułam wzbierającą falę wściekłości.

- Naprawdę dobrze sobie radzisz w siodle - powiedział i zatrzymał się obok. - To był Tim Jungblut, prawda?

- Po co pan tu przyszedł? - zapytałam lodowatym głosem. - Szpieguje mnie pan?

Nie chciałam dłużej z nim rozmawiać. Był dla mnie obcą osobą. Intruzem.

- Nie, nie szpieguję. Byłem po prostu ciekaw. Dzisiaj rano zawiozłem tę klacz do weterynarza, a że Melike wspomniała, że trenujesz z Fritzim na łące, to pomyślałem...

- A ja myślałam, że byliśmy przyjaciółmi! - przerwałam mu niegrzecznie. - Teraz może pan już przestać udawać!

Lajos przestał się uśmiechać i popatrzył na mnie zaskoczony.

- Co się stało? Dlaczego jesteś taka zła? - zapytał zbity z pantałyku. - Czy komuś się coś stało?

- Dokładnie tak! - odparowałam błyskawicznie. - Osiemnaście lat temu komuś się coś stało! Dlaczego słowem pan nie wspomniał, że znał pan moich rodziców? I rodziców Tima też! A ja panu zaufałam i myślałam, że pan po prostu nie chce mówić o przeszłości. Teraz natomiast już wszystko wiem! Zabił pan siostrę mojej matki, bo prowadził pan po pijaku! A potem siedział pan za to w więzieniu!

Lajos zbladł jak ściana.

- Eleno... to nie było tak... było zupełnie inaczej... - wyjąkał. - Proszę, pozwól, żebym ci wszystko wytłumaczył.

- Nie! - ryknęłam, gotując się z wściekłości i rozczarowania, którego był przyczyną. - Nie chcę pana słuchać! I nie chcę już pana widzieć! Nigdy!

A potem, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, ścisnęłam Fritziego łydkami i galopem ruszyliśmy wzdłuż szpaleru drzew. Żal sprawiał mi niemal fizyczny ból, bo zdążyłam polubić Lajosa.

Rozdział 30

TATA STANĄŁ W DRZWIACH kuchni, kiedy ja, niczego się nie spodziewając, weszłam z Twiksem do mieszkania.

- Gdzie ty się podziewasz? - zapytał ostrym tonem, który niczego dobrego nie zwiastował.

- Byłam w terenie - wyjaśniłam. I nie skłamałam.

- Christian mi opowiedział, co się wydarzyło dzisiaj w szkole.

O cholera. To o to chodziło. Czy ten mój przygłupi brat nie mógłby siedzieć cicho?

- O czym rozmawiałaś z Timem Jungblutem? - zapytał ojciec.

- To wina Ariane - wyjaśniłam pospiesznie. - Chwaliła się wszystkim, że pojechała z Jungblutami do Szwajcarii i że jej ojciec chce Timowi kupić konia. Zapytałam wtedy, czy chociaż opłaca boksy i jedzenie za swoje konie, bo u nas tego uparcie unikał. Wtedy Ariane mnie zwymyślała, a Tim podszedł i powiedział, żeby dała mi spokój.

- A skąd Jungblutowi przyszło do głowy, żeby się za tobą wstawiać, co? - zapytał ojciec lodowatym tonem. - Chyba nie dlatego, że kilka miesięcy wcześniej złapałaś mu konia, jak biegał samopas?

O rany, dlaczego musiał mieć tak dobrą pamięć?

- Nie mam pojęcia - odparłam niepewnie i poczułam, że stąpam po naprawdę kruchym lodzie.

- Eleno, spójrz mi w oczy - zażądał tata, a ja posłusznie wykonałam jego polecenie, choć było mi bardzo trudno. - Jeśli jeszcze raz usłyszę, że rozmawiasz z tym Jungblutem,

będziesz musiała ponieść konsekwencje swojego nieposłuszeństwa. I to bardzo poważne konsekwencje. Zabraniam - tak, dobrze słyszysz - kategorycznie ci zabraniam, raz na zawsze, z nim rozmawiać. Czy wyraziłem się jasno?

- Tak - wyszeptałam, walcząc z łzami. Tata był okropny, nie chciałam go znać!

- A teraz marsz do pokoju. I nie wolno ci wychodzić, dopóki nie dam ci znać. Innymi słowy - masz szlaban.

Przypomniałam sobie o liście od mamy, który miałam mu przekazać. Poszłam szybko do gabinetu, wyciągnęłam najwyższą szufladę, tak jak mi powiedziała, i wyjęłam stamtąd kopertę. Potem wróciłam do kuchni, żeby przekazać list tacie, który szukał czegoś w lodówce.

- Dlaczego jeszcze nie jesteś w swoim pokoju?! - zapytał ostro. - Przed chwilą kazałem ci się tam zamknąć, nie zrozumiałaś mnie?

- Mama wyjechała - powiedziałam.

- Jeszcze wróci - odparł podenerwowanym głosem i zatrzasnął lodówkę.

- Nie sądzę. Miałam ci coś od niej przekazać. - Mówiąc to, jeszcze raz wyciągnęłam kopertę w jego stronę.

- Co to niby ma być? - zapytał i wziął list. Otworzył go, wyjął i rozłożył zapisaną kartkę.

Przyglądałam się, jak robi się coraz bardziej ponury, czytając słowa skreślone do niego przez mamę.

- Teraz masz za te swoje okropne humory! - krzyknęłam z wyrzutem. - Przepędziłeś w ten sposób mamę z domu!

Tata zmiął papier w pięści.

- A tobie się wydaje, że mnie jest łatwo? Że nie mam żadnych zmartwień? - odparł ostro. - Ale ja nie rzucam wszystkiego w cholerę i nie uciekam!

- Nie wymyślaj! - zarzuciłam mu odważnie. - W ogóle cię tu nie ma!

- Co ty w ogóle wiesz o tym, co się tu dzieje?!

W oczach taty dostrzegłam wściekłość, ale ja byłam równie zła.

- Otóż całkiem sporo. - Nie dawałam za wygraną. - Wiem doskonale, o co chodzi. Mama robiła wszystko, żeby uratować stadninę, ale ty potrafiłeś tylko na nią wrzeszczeć! To ty jesteś winien, że nas zostawiła i że wszystko stracimy!

I nagle poczułam, jak porywa mnie fala ogromnej i niepohamowanej wściekłości - wściekłości na Christiana, który mnie zdradził, na Lajosa, który mnie okłamał, na mamę, która zostawiła mnie samą, i na tatę, który był wyjątkowo zły. Łzy same popłynęły mi z oczu i nic nie mogłam na to poradzić.

- Nienawidzę cię! - wykrzyczałam mu prosto w twarz. - Nienawidzę was wszystkich!

Z całej siły kopnęłam stołek, aż upadł na podłogę i potoczył się z trzaskiem.

- Podnieś go natychmiast! - polecił tata, niewzruszony moim wybuchem.

- Nie! - odkrzyknęłam, zalewając się łzami wściekłości.

Wybiegłam z kuchni, zawołałam psa, który siedział w progu z podkulonym ogonem i przyglądał się kłótni. Zanosząc się płaczem, ruszyłam schodami na górę. Kiedy znalazłam się w pokoju, trzasnęłam za sobą drzwiami. Cokolwiek się stało, że moi rodzice i rodzice Tima przestali być przyjaciółmi i stali się wrogami, nie ja to spowodowałam! Przecież nie było mnie nawet na świecie!

Nie minęło nawet pięć sekund, a w progu stanął tata.

- Co cię napadło, żeby wrzeszczeć jak opętana i niszczyć meble? - W jego głosie słychać było groźbę. - Co ty sobie myślisz, co?! Że kim jesteś? Masz natychmiast zejść na dół i podnieść ten cholerny stołek, a potem wrócić tu i przeprosić za swoje zachowanie!

- Ani mi się śni! - zaprotestowałam przekornie.

Tata zrobił krok w moim kierunku, a w jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski. Przez chwilę nie byłam pewna, czy przypadkiem nie dostanę potężnego lania. Ale on niespodziewanie się zatrzymał i uspokoił.

- Jak chcesz.

Wystarczyły dwa kroki, żeby znalazł się przy biurku. Złapał moją komórkę, którą jak idiotka zostawiłam na wierzchu, zawołał Twiksa i wyszedł.

- Oddaj mi telefon! - krzyknęłam i skoczyłam za nim.

- Ani mi się śni - powtórzył moje słowa i zamknął drzwi.

Z niedowierzaniem słuchałam, jak przekręca klucz w zamku. Uwięził mnie w moim pokoju! Zadudniłam pięściami w drewniane skrzydło i wykrzyczałam na całe gardło wszystkie przekleństwa, jakie poznałam, pracując w jednej stajni z Pryszczolem, ale ojciec nie dał się sprowokować. Drzwi ani drgnęły.

Wyłam przez cały wieczór, aż w końcu nie mogłam już nawet nabrać powietrza i poruszałam ustami jak ryba wyciągnięta na brzeg. Chwała Bogu, że przynajmniej wyłączyłam wcześniej komórkę, bo gdyby przez przypadek trafił na wiadomość od Tima, mój szlaban skończyłby się dopiero w dniu osiemnastych urodzin.

Rzuciłam się na łóżko, zakryłam głowę kołdrą i buzując złością, zaczęłam układać plany zemsty i ucieczki. Po dokładniejszym zastanowieniu nie przyszła mi do głowy żadna osoba, u której mogłabym się schronić. U Melike odnaleźliby mnie w pięć minut, a poza tym następnego dnia wyjeżdżała na kilkudniową wycieczkę klasową. Lajos też odpadał, ten zakłamany zdrajca.

Zaczynało zmierzchać i dość szybko zapadł mrok. Burczało mi w brzuchu. Byłam zbyt dumna, żeby siedzieć przy oknie i wyglądać na podwórze. Tata mógłby mnie tam zobaczyć, a tego wolałam uniknąć. Christian hałasował w swoim pokoju - sądząc po odgłosach, znów grał na komputerze. Co za złośliwiec! Jemu w kłótni z Timem wcale nie chodziło o mnie. Nienawidził Tima przede wszystkim za to, że znacznie lepiej jeździł konno, i tylko szukał okazji, żeby się z nim pobić. Postanowiłam, że już nigdy nie zamienię z nim słowa. O ojcu nie wspominając.

W pewnym momencie zmęczenie wzięło górę nad wściekłością, bo nie pamiętam nawet, kiedy przerwałam planowanie zemsty i zamknęłam oczy. Nagle coś mnie obudziło. Spojrzałam na budzik. Była pierwsza dwadzieścia sześć. Zaskoczona zauważyłam, że w łóżku obok mnie leży Twix. Zamruczał nieprzytomnie, jak odsunęłam go na bok i włączyłam światło. Kiedy wstałam i podeszłam do drzwi, pomyślałam, że tata musiał mieć wyrzuty sumienia, bo okazało się, że mogę już wyjść na korytarz.

Poszłam do łazienki, a potem zatrzymałam się niezdecydowana przy schodach. Ciekawe, gdzie też mógł położyć moją komórkę... Nie spodziewałam się, by był na tyle złośliwy, żeby ją specjalnie chować, więc na palcach zeszłam na parter i zajrzałam do sypialni rodziców. Pościel na łóżku leżała nienaruszona, a taty tam nie było! Fantastycznie. Sprawdziłam kanapę w salonie, ale tam też nie leżał. Pokój gościnny również stał pusty. Za to na stole w kuchni znalazłam swój telefon. Chociaż to! Włączyłam go i wprowadziłam PIN. Kilka sekund później zaczął piszczeć. Przyszło łącznie sześć wiadomości, ale wszystkie od Melike. Odpisałam jej szybko i wyjaśniłam, co się stało.

Potem napisałam smsa do Tima. „Gigaawantura. Brat wygadał tacie, a on zabrał mi komórkę. Dam znać!”.

Chęć zabrania telefonu ze sobą do pokoju była ogromna, ale się nie poddałam. Wyłączyłam go i odłożyłam w tym samym miejscu, w którym leżał.

Znów zaburczało mi w brzuchu. Od wczorajszego obiadu nie miałam nic w ustach. W szufladzie nad lodówką znalazłam opakowanie słonych precelków. Zjadłam połowę, a potem przeszłam do salonu i położyłam się na kanapie.

Co się stanie, jeśli mama nie wróci? Wprawdzie obiecała mi powrót, ale z doświadczenia przecież wiedziałam, że dorośli nie zawsze dotrzymują słowa.

Twix zwlókł się z góry, przyszedł do salonu i wskoczył na kanapę, żeby zwinąć się w moich kolanach. Ziewnęłam szeroko i zamknęłam oczy. Tylko na chwilę, pomyślałam. Zaraz wstanę i wrócę do siebie.

Światło lampy wyrwało mnie ze snu. Oślepiona zamrugałam zaspanymi oczyma.

- No proszę - powiedział tata. - Kota nie ma w domu, to myszy harcują. Spojrzałaś w ogóle na zegarek?

- Byłam strasznie głodna. - Ziewnęłam i usiadłam. - Zamknąłeś mnie przecież bez kolacji.

- Zamknąłem cię za karę, że niszczyłaś meble i krzyczałaś na mnie - odparł tata i usiadł niedaleko mnie.

Popatrzyliśmy na siebie. Miał podkrążone oczy. Wyglądał na zmęczonego, a cała jego złość gdzieś się ulotniła. Otaczał go zapach alkoholu i papierosów, jakby dopiero co wyszedł z baru.

- Powiedz, proszę... - tata zaczął niepewnie. - Co miałaś na myśli, jak powiedziałaś, że to przeze mnie mama musiała wyjechać?

- No to, że ciągle na nią krzyczysz i masz o wszystko pretensje. - Wzruszyłam ramionami. - A przecież ona nie jest winna temu, że mamy problemy. Mimo to jej się najbardziej obrywa. I to za wszystko.

Tata wbił wzrok w kolana i przez chwilę nic nie mówił. Pewnie zaraz dostanę za wtrącanie się w nieswoje sprawy.

- Idę do łóżka - oznajmiłam. - Jutro rano muszę wstać do szkoły. Dobranoc.

Kiedy go mijałam, złapał mnie za nadgarstek.

- Poczekaj - poprosił cicho. - Poczekaj...

Spojrzałam w jego zmęczone oczy i nagle zrozumiałam, co mama chciała mi powiedzieć. Boi się. Tata się bał, że wszystko może stracić.

- Moja mała Elena. - W jego głosie słychać było smutek. - Czasem zapominam, że nie jesteś już małą dziewczynką. Dużo z tego rozumiesz, prawda?

- Tato, przecież nie jestem głupia! - odpowiedziałam.

- Chodź. - Puścił mnie, odsunął się i poklepał miejsce obok. - Usiądź ze mną na chwilę.

Zrobiłam, o co poprosił, i w milczeniu czekałam, co będzie dalej. Dawniej wszystko było tak inne. Uwielbiałam go! Mój tatuś! Nosił mnie na rękach i bawił się ze mną, sadzał przed sobą w siodle i razem jeździliśmy. Jednak im byłam starsza, tym mniej czasu dla mnie znajdował. A od kilku miesięcy odzywał się do mnie jedynie wtedy, kiedy coś źle zrobiłam. Ostatnim razem bez krzyku i pretensji rozmawialiśmy przed kilkoma tygodniami - w Wielkanoc, kiedy rano poszłam nakarmić i napoić konie.

- Wiesz, gdzie jest mama? - zapytał w końcu.

- Wiem.

- Powiesz mi czy ci nie wolno?

- Dlaczego miałabym robić z tego tajemnicę? Mama pojechała do babci i dziadka w Bonn.

- Aha. Tak. - Spojrzał gdzieś w dal. - Czy wspomniała, na jak długo do nich jedzie? Albo kiedy wróci?

- Nie. Powiedziała jedynie, że już dłużej tego nie zniesie i że potrzebuje kilku dni spokoju.

Tata westchnął ciężko i obiema dłońmi potarł twarz.

- Tato?

- Tak?

- Myślisz, że jeszcze kiedyś będziemy prawdziwą rodziną?

- A teraz nie jesteśmy? - zapytał zaskoczony, ale nie spojrzał w moją stronę.

- No chyba nie do końca. Ciebie ciągle nie ma. Mama też teraz wyjechała. A kiedy jesteście razem, to albo bez przerwy się kłócicie, albo wcale się do siebie nie odzywacie. Tak chyba nie zachowuje się prawdziwa rodzina, prawda?

Tata milczał.

- Wiem, że mamy długi... - zastanawiałam się nad właściwym doborem słów, żeby go znów nie wyprowadzić z równowagi. - Ale mimo że głupi Teichertowie zabrali od nas konie, a potem to samo zrobiła Corinna, Engelbert, Kaiserowie i ta jędza Laura, nasza rodzina może przecież cały czas być razem, prawda? Nie musicie więcej się kłócić... Mama cały czas się bała, że znowu przyjdziesz i będziesz wrzeszczał, i pokazywał humory. A potem siedziała i płakała.

- Naprawdę? - Tata zamrugał, a ja w jego oczach nagle dostrzegłam coś, czego dawno już nie widziałam - troskę.

- Aha. Mama całymi dniami zajmowała się ściganiem klientów, którzy nie płacili za wynajem boksów - wyjaśniłam, mając świadomość tego, że znów mogę go zdenerwować. - Jednocześnie starała się znaleźć nowych klientów, żeby zapełnić wolne miejsca. A w gabinecie czekały na nią tylko sterty rachunków, o których ty nie chciałeś nawet słyszeć.

Wszystko brała na siebie.

Tata westchnął głęboko. Przez chwilę w salonie panowała cisza.

- Mama wróci do nas, prawda? - zapytałam cicho.

- Oczywiście, że wróci - odparł, ale zabrzmiało to tak, jakby sam chciał dodać sobie otuchy. - A teraz idź już do łóżka. Sama mówiłaś, że jutro musisz iść do szkoły.

Niespodziewanie zrobiło mi się go żal. Ostatnio aż zbyt często dawał mi powody do złości i kilka razy doprowadził do tego, że byłam gotowa go znienawidzić, głównie za krzyki na mamę i niesprawiedliwości, jakich się dopuszczał. Tymczasem teraz siedział obok mnie, przygnieciony życiem i złamany. Pomyślałam, że może wcale nie zachowywał się tak celowo. Objęłam go za szyję i przycisnęłam policzek do jego nieogolonej twarzy.

- Kocham cię, tatusiu - wyszeptałam. - A jak wczoraj ci powiedziałam, że cię nienawidzę, to wcale tak nie myślałam. Nie jesteś już na mnie zły?

Tata przytulił mnie nieporadnie.

- Nie, oczywiście, że nie jestem - powiedział zachrypniętym głosem. - Też cię kocham, moje maleństwo. I niczym się nie przejmuj. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

Rozdział 31

ŚNIEG PADAŁ PRZEZ dwa dni niemal bez przerwy, wzdłuż ulic wyrosły potężne zaspy. Tata, Jens i Christian wyjechali rano na zawody w Heidelbergu, a Tim z tego samego powodu nie pojawił się w szkole. Mama została u rodziców i nie wiedziałam, kiedy wróci, więc tym bardziej nie miałam powodów, żeby przyjść po szkole do domu. Już od trzech dni, a właściwie od poniedziałku, kiedy z ust Ariane płynęły tylko słowa shopping w Zurychu, chodziła mi po głowie pewna myśl. U pana Teicherta w biurze byłam bardzo dawno temu i to nie sama. Tata znał adres, a ja jak przez mgłę przypominałam sobie, którędy iść. Zdałam się w tej wyprawie na łut szczęścia i licząc, że los się do mnie uśmiechnie, maszerowałam między biurowcami przemysłowej dzielnicy Königshofen.

Z zimna nie czułam już nóg, kiedy w końcu stanęłam przed kilkupiętrowym biurowcem z umieszczoną na ścianie tabliczką „Teichert Finance - doradztwo finansowe". Pchnęłam szklane drzwi, wmaszerowałam do środka i przecięłam obszerny hol, zmierzając w kierunku wind. Mosiężna tabliczka w kabinie windy informowała, na którym piętrze mieszczą się poszczególne firmy. Biuro ojca Ariane znajdowało się na trzecim poziomie. Winda zatrzymała się miękko, po czym rozległ się sygnał i otworzyły się drzwi, a ja stanęłam na korytarzu tuż przed szklanymi drzwiami, na których zobaczyłam napis: „Teichert Finance - doradztwo finansowe".

Zadzwoniłam. Kilka chwil później drzwi odsunęły się z cichym szumem. Za śnieżnobiałą ladą siedziała wyszminkowana kobieta, którą z początku wzięłam za matkę Ariane. Wyglądała co prawda bardzo podobnie do niej, lecz po bliższym przyjrzeniu się stwierdziłam, że jest przynajmniej o połowę młodsza. Na biurku przed nią stały dzwoniące telefony.

- Dzień dobry - przywitałam się. - Chciałabym spotkać się z panem Teichertem.

- Z panem Teichertem? A jesteś umówiona? - Spojrzała na mnie z wyższością, a potem przesunęła wzrokiem po brudnych śladach, jakie zostawiłam na jasnej podłodze, i z dezaprobatą pokręciła głową.

- Nie, nie jestem umówiona - odparłam. - Ale mimo wszystko chciałabym zamienić z nim słowo.

- Pan Teichert jest w tej chwili na spotkaniu, które może się przeciągnąć.

- Poczekam, mam czas. - Jeśli ta arogancka lafirynda myślała, że dam się spławić, to srodze się pomyliła.

- Pozwól, że powiem wprost - pan Teichert nie ma czasu - warknęła podenerwowana.

- Chodzę do klasy z Ariane - odpowiedziałam, jakbym wyjaśniała, że mam prawo spotkać się z ojcem mojej koleżanki.

- Rozumiem. - Sekretarka sięgnęła po telefon i wybrała jakiś numer, nie patrząc nawet w moją stronę. - Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała do słuchawki. - Ale czeka tu na pana nastolatka, która chce z panem rozmawiać. Twierdzi, że jest koleżanką Ariane... Tak jest. Dobrze. Zapytam.

Zakryła dłonią mikrofon.

- A o co chodzi?

- Mam sprawę do pana Teicherta, którą chcę omówić tylko z nim - odparłam równie wyniośle, jak zazwyczaj Ariane odpowiadała innym.

Lafirynda na dźwięk takiego tonu chyba była przyzwyczajona do posłuszeństwa. Uniosła brwi i posłusznie przekazała panu Teichertowi moje słowa.

- Pan Teichert oczekuje - powiedziała chłodno. - Drzwi na końcu korytarza.

- Dziękuję serdecznie. - Uśmiechnęłam się słodko.

Im bliżej byłam jego gabinetu, tym więcej odwagi się ze mnie ulatniało. A jednak nie

zamierzałam porzucić obmyślonego planu. Nabrałam głęboko powietrza, wyprostowałam się i zapukałam.

- Proszę! - usłyszałam głuche wołanie zza drzwi.

Kiedy przestąpiłam próg, zamarłam i pomyślałam, że powinnam natychmiast zawrócić i uciekać. Pan Teichert rzeczywiście był na spotkaniu - a osobą, z którą się spotkał, był ojciec Tima, Richard Jungblut.

- No proszę, kogo my tu mamy! - Na twarzy pana Teicherta malował się wyraz zaskoczenia. - Nasza mała Elena! Jak to miło, że przyszłaś mnie odwiedzić. Chyba nie stało się nic złego?

- Dzień dobry. - Przywitałam się tak spokojnie, jak tylko potrafiłam. - To zależy, jak na to spojrzeć.

- Co masz na myśli? - Pochylił głowę i przyjrzał mi się znad okularów do czytania.

Ojciec Tima uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Jest pan nam winien jeszcze sześć tysięcy pięćset siedemdziesiąt euro - odparłam. - Czek, który dostaliśmy od pana, nie miał pokrycia.

Przez chwilę w gabinecie panowała absolutna cisza. Pan Teichert, który dotychczas potrafił odnaleźć się w każdej sytuacji, tym razem patrzył na mnie w milczeniu, nie mogąc wykrztusić słowa. Przełknął głośno, a potem zrobił się czerwony.

- Co to się porobiło, żeby Micha posyłał swoją córkę jako windykatora. - Richard Jungblut potrząsnął kpiąco głową.

- Ojciec nie wie, że tu jestem - odparłam chłodnym tonem i spojrzałam na niego.

Miał oczy równie niebieskie jak Tim, lecz jego wzrok był lodowaty. To, w połączeniu z haczykowatym nosem i wystającą brodą, nadawało mu brutalnego wyglądu. Poczułam

dreszcz, więc odwróciłam się z powrotem do ojca Ariane, dla którego cała ta sytuacja była wyraźnie kłopotliwa.

- Jakieś przeoczenie - wymamrotał. - Zaraz wypiszę ci nowy.

- Wolałabym gotówkę - odparłam szybko. - Tak, jak umawiał się pan z moim tatą przez telefon, kiedy pan Jungblut przyjechał po pana konie.

- O rany, dziewczyno, masz tupet! - Ojciec Tima zaśmiał się nieprzyjemnie. - To mi się podoba! No dalej, Hans, daj małej kasę!

Ojciec Ariane siedział za biurkiem czerwony jak dojrzały pomidor. Na skroniach wyszły mu żyły, a ja miałam nadzieję, że nie popękają, zanim nie odda mi pieniędzy taty. Potem wstał i podszedł do kasy pancernej, która stała z boku jego wykwintnie urządzonego biura. Nie mogłam w to uwierzyć, ale po chwili wrócił z pieniędzmi w dłoni.

- Trzymaj - powiedział, podając mi zwitek banknotów po pięćset euro każdy. - Ale musisz podpisać pokwitowanie.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko, wolałabym najpierw przeliczyć - odpowiedziałam.

- Masz tam siedem tysięcy euro - żachnął się pan Teichert. - Reszta to odsetki za zwłokę.

Ojciec Tima wciąż jeszcze nie mógł się pozbierać. Byłam pewna, że gdyby go tu nie było, nie zobaczyłabym tych pieniędzy. Na szczęście w jego obecności żałosny Teichert nie chciał się skompromitować.

- Proszę, podejdź tutaj. - Mówiąc to, napisał coś na kartce papieru. - Podpisz.

- Zaraz.

Najspokojniej na świecie zaczęłam liczyć banknoty. Czternaście, każdy po pięćset euro. O dziwo nie skłamał - trzymałam w dłoni siedem tysięcy euro. Niewiarygodne.

Schowałam pieniądze w plecaku, podeszłam do biurka i podpisałam pokwitowanie.

- Dziękuję panu. - Uśmiechnęłam się grzecznie. - I życzę miłego dnia.

- Może odwieźć cię do domu? - zapytał Richard Jungblut z kpiącym wyrazem twarzy. - Żeby nikt cię nie napadł, jak będziesz chodziła po ulicach z takimi pieniędzmi w plecaku.

- A kto miałby mnie napaść? - odparłam lodowato. - Przecież pan zostaje w biurze?

Tym razem Richardowi Jungblutowi sczezła mina, za to Hans-Dieter Teichert wyglądał, jakby właśnie świetnie się bawił.

Cała ta sytuacja wydawała mi się strasznie nierealna. Wyszłam z biurowca, krocząc przez pośniegowe błoto, i ruszyłam w stronę centrum miasta. W plecaku miałam siedem tysięcy euro, niewiarygodną sumę! Wciąż jeszcze nie mogłam uwierzyć, że pan Teichert zdecydował się oddać te pieniądze. Ciekawe, czy opowie żonie i córce o naszym spotkaniu? Raczej mało prawdopodobne. Bardzo go zawstydziłam, więc nie było się czym chwalić. Uśmiechnęłam się do siebie. Na dworcu autobusowym znalazłam się akurat, żeby złapać połączenie do Steinau. Pół godziny później wjechałam rowerem na podwórze. Babcia przygotowała dla mnie gorący obiad - lasagne - mniam! Zjadłam z nią w kuchni. Babcia założyła okulary i dotrzymując mi towarzystwa, rozwiązywała krzyżówkę w jakiejś gazecie branżowej dla rolników.

- Babciu - zapytałam po chwili. - Dlaczego mama i tata tak bardzo nienawidzą Jungblutów?

Babcia uniosła głowę i zawahała się.

- Tylko proszę, nie mów mi, że to długa historia - dodałam szybko.

- Skąd wiedziałaś, że miałam to na końcu języka? - Staruszka pokręciła głową i uśmiechnęła się słabo.

Odłożyłam sztućce i odsunęłam talerz.

- Wiem, że wcześniej byli przyjaciółmi, to znaczy tata, mama, Richard Jungblut i Lajos - wyrzuciłam z siebie. - Widziałam zdjęcia i czytałam wycinki z gazet o tym wypadku. Mama miała je schowane w gabinecie.

- Eleno... - Babcia przestała się uśmiechać i zdjęła okulary. - Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić. To była strasznie smutna sprawa, po której wszystko się zmieniło. Lajos był dla nas jak syn, a twój tata nie miał lepszego przyjaciela niż on. Bardzo porządny chłopak i świetny jeździec. Michael, Lajos i Richard tworzyli zgraną paczkę. Nikt nie potrafił później odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego to wszystko musiało się tak potoczyć.

- Chodzi ci o ten wypadek? O to, dlaczego Lajos wsiadł pijany za kierownicę i spowodował wypadek, w którym zginęła siostra mamy? - zapytałam gorzko.

- Lajos tamtego wieczoru nie prowadził samochodu - dziadek odezwał się niespodziewanie. Nie zauważyłam, że stanął w drzwiach i słuchał naszej rozmowy. - On nadstawił karku za przyjaciela. A ten mu nie podziękował. Zrobił coś znacznie gorszego.

Szeroko otwartymi oczyma wpatrywałam się w dziadka. Nigdy jeszcze nie widziałam tak poważnego wyrazu jego twarzy. Powoli zaczynałam coś rozumieć i ogarnęło mnie przerażenie. Lajos był przecież najlepszym przyjacielem taty!

- On... zrobił to dla... dla taty? - udało mi się wydukać.

- Nie - odparł dziadek. - Dla Richarda. To on tamtego feralnego wieczoru prowadził, chociaż przez cały wieczór pił alkohol. Na własne oczy widziałem, jak w Zeiskam wsiadali we czwórkę do BMW. Michael wygrał turniej i musiał czekać na dekorację zwycięzców, ale Viola i Susanne chciały jak najszybciej jechać do domu, bo ich ojciec miał akurat urodziny. Lajos pojechał z nimi, żeby powstrzymywać Richarda, gdyby przesadzał z prędkością. - Staruszek westchnął głęboko. - Po wypadku Lajos nic nie pamiętał. Był ciężko ranny, kiedy trafił do szpitala. Biegli z policji nie potrafili jednoznacznie określić, kto siedział za kierownicą, ale Richard Jungblut utrzymywał, że to był Lajos.

- I dlatego trafił do więzienia... - wyszeptałam zaszokowana.

- Żeby tylko! - Dziadek pokręcił głową i spojrzał na mnie ze smutkiem. - Richard ożenił się z dziewczyną Lajosa, pozwał go o odszkodowanie, a pieniądze, które od niego wygrał, wpłacił jako wkład własny za stadninę, którą dzisiaj posiada. Lajos też wtedy pił i miał alkohol we krwi, więc ubezpieczenie go nie obejmowało. Jego matka musiała sprzedać wszystko, co posiadali, żeby spłacić zasądzone kwoty.

- Czy tata i mama wiedzieli o tym wszystkim? - zapytałam.

- Nie. Jestem przekonany, że poza Richardem Jungblutem nikt nie zna prawdziwego przebiegu wypadków. Kiedyś mi o tym opowiedział, ale potem się wszystkiego wyparł. Powodem nienawiści jest więc nie sam wypadek, ale sposób, w jaki Richard potraktował swojego byłego przyjaciela, niszcząc Lajosowi życie i odbierając mu dziewczynę. Z drugiej strony Linda zgodziła się na to wszystko, więc rodzice nie chcą mieć z rodziną Jungblutów absolutnie nic wspólnego.

Nie mogłam otrząsnąć się z szoku, kiedy poszłam do stajni, żeby osiodłać Fritziego. Znów źle wszystko zrozumiałam i wyciągnęłam złe wnioski. Strasznie skrzywdziłam Lajosa swoimi podejrzeniami! Gdyby tylko śnieg tak nie zacinał, natychmiast pojechałabym do leśniczówki, żeby go przeprosić. W stajniach poza mną nie było nikogo, więc zaprowadziłam Fritziego do dużej ujeżdżalni, w której tata zostawił ustawiony kompletny parkur. Obniżyłam nieco przeszkody, rozgrzałam Fritziego delikatnym kłusem, a potem galopem i zaczęłam skakać. Z początku wybierałam tylko pojedyncze przeszkody, lecz w końcu przejechaliśmy z Fritzim pełen parkur.

Drgnęłam przestraszona, słysząc głośne oklaski. A potem otworzyłam szeroko oczy, bo nie mogłam wyjść ze zdziwienia, kiedy rozpoznałam mężczyznę na trybunach. Otóż przy bandzie stał pan Nötzli we własnej osobie. Nawet nie zauważyłam, kiedy wszedł do ujeżdżalni.

- Tata pojechał na zawody do Heidelbergu - oznajmiłam po powitaniu.

- Rozumiem. - Gerhard Nötzli przyjrzał się uważnie Fritziemu i z zainteresowaniem obejrzał go od stóp do głów. - Myślałem, że mógłby mi przygotować tego gniadosza. A

powiedz mi tylko, co to za koń, na którym jeździsz? Pierwszy raz go widzę.

- To mój koń.

- Aha. Ogier, prawda? Ile ma lat?

- Pięć.

- A rodzice?

- For Pleasure i córka Grannusa - odparłam niezbyt chętnie.

Nie zaskoczył mnie błysk w oczach handlarza, bo niczego innego się nie spodziewałam. Doskonałe pochodzenie Fritziego na wszystkich robiło wrażenie.

- Skakałaś na nim wyższe przeszkody? - zapytał i wszedł na maneż.

- Tak, kilka razy - przyznałam się.

Wtedy podszedł do przeszkód i nieco je podniósł; a właściwie nawet sporo. Przejechałam z Fritzim cały parkur, żałując jedynie, że nie ma z nami Tima. Mój ogier skakał jak natchniony! W końcu mógł pokazać, na co naprawdę go stać. Im wyższe były przeszkody, tym czyściej i zwinniej skakał. Nie potrafiłam powstrzymać szerokiego uśmiechu, a kiedy skończyliśmy, poklepałam go czule po szyi.

- Chyba pamiętam... To jest ten źrebak, który się tak strasznie poturbował, kiedy uciekł z padoku? - zapytał pan Nötzli.

- Zgadza się. - Byłam zaskoczona, jak dobrą ma pamięć.

- I mówisz, że twój tata nic o nim nie wie?

Wzruszyłam ramionami. W gruncie rzeczy to nie była prawda, bo tata wiedział, że go mam.

- No dobrze. - Handlarz uśmiechnął się i popatrzył na mnie zadowolony. - Możesz objechać mi szybko tego gniadosza?

- Kto? Ja?! - Przez głowę przemknęła mi paniczna myśl, że skoro Quintano narowił się tak strasznie pod tatą, Jensem i Christianem, to ja prędzej złamię sobie kark, niż zmuszę go do galopu. Jednak treningi z Timem i zwycięstwo nad panem Teichertem dodały mi takiej pewności siebie, że długo się nie zastanawiałam.

Pan Nötzli odprowadził mnie do stodoły, w której stał Fritzi, i nawet pomógł odnieść siodło do siodlarni. Potem przytrzymał mi Quintano, żebym mogła zapiąć popręg i założyć ochraniacze na pęciny.

Byłam trochę podenerwowana, kiedy znaleźliśmy się w ujeżdżalni, a ja dosiadłam kasztanka. Miał węższy grzbiet niż Fritzi, ale kłąb na tej samej wysokości. Był niesamowicie wrażliwy na pomoce, w mgnieniu oka reagował na łydkę i jeszcze szybciej na zmiany dosiadu. Kłusował nieco nerwowo, za to jazda galopem była niczym marzenie. Quintano nie ciągnął wodzy i jedynie delikatnie przygryzał wędzidło. Ku własnemu zaskoczeniu, czułam się na nim nadzwyczaj swobodnie i pewnie.

Pan Nötzli ustawił niewysoką kopertę, którą miałam skoczyć. Zrobiłam to dokładnie tak, jak Tim mnie uczył - spokojny najazd, praca wodzami i nic nie robić. Quintano nadstawił uszu, sam z siebie się zebrał i pięknie wybił się nad przeszkodą. Potem z koperty zrobiła się stacjonata, niewysoki okser, a w końcu przejechałam cały parkur. Po kilku skokach przyzwyczaiłam się do stylu Quintano, który poruszał się zupełnie inaczej niż Fritzi. Jazda na nim zaczęła sprawiać mi przyjemność.

- Chcesz spróbować nieco wyższych skoków? - krzyknął pan Nötzli.

Z niezrozumiałych zupełnie względów ufałam Quintano i, co najważniejsze, spotykałam się z wzajemnością. Jednak to, co zbudował dla nas handlarz końmi, daleko wykraczało poza moje oczekiwania!

- Nie przejmuj się! - poradził pan Nötzli. - Najedź w ten sam sposób, co dotychczas.

Nie ingeruj, pozwól mu skakać!

Kiwnęłam głową i przeszliśmy w galop. Tak wysoko nie skakałam nawet na Calvadorze w Sylwestra, na kursie u taty! Ale wszystkie moje obawy okazały się niepotrzebne, bo skok poszedł jak z płatka. Quintano przeleciał nad potrójnym szeregiem lekko jak piórko, mimo że kombinacja składała się z dwóch potężnych okserów i wariacko wysokiej stacjonaty. Potem bez oporu wykonał woltę i znaleźliśmy się w idealnej pozycji do najazdu na ostatni, potężny okser.

- Ale było super! - krzyknęłam już po wszystkim. - On sam skakał, ja nie musiałam mu nawet pomagać!

- Nie do końca. - Gerhard Nötzli potrząsnął głową. - Owszem, jest zdecydowanie bardziej doświadczony od twojego ogiera, ale żaden koń nie skacze sam. Świetnie sobie na nim radziłaś.

Zaczerwieniłam się, słysząc taki komplement. Na dodatek handlarz końmi był cały czas pod wrażeniem tego, co przed chwilą zobaczył. A na tyle, na ile go znałam, wiedziałam, że niełatwo wpada w zachwyt. Zazwyczaj uśmiechał się tylko zdawkowo i kiwał głową - teraz jednak nie potrafił ukryć ekscytacji. Odprowadził mnie przez całą ujeżdżalnię do stajni i pomógł rozsiodłać Quintano.

- Posłuchaj, Eleno. Mam dla ciebie pewną propozycję - powiedział. - Zlecę ci trenowanie Quintano. Opłacę boks, lekarza, kowala i starty, a tobie będę płacił, hm, powiedzmy dwieście euro miesięcznie. Co ty na to?

- Co... to jest... genialnie - wyjąkałam całkowicie zaskoczona.

- Jednak kiedy dojdzie do sprzedaży konia, możesz liczyć tylko na dziesięć procent zamiast dwudziestu, które zazwyczaj oferuję. W zamian za to przejmuję wszystkie koszty.

Niesamowite! A przecież tata ostatnio pokłócił się z mamą właśnie o to, że pan Nötzli nie chce płacić za utrzymanie swoich koni!

- Ale... ja... myśli pan, że dam sobie radę? Bo ja przecież mam dopiero trzynaście lat.

- Tata ci pomoże. - Pokiwał głową i zaśmiał się.

- A właśnie, mój tata... - przypomniałam sobie. - Proszę, niech mu pan nic nie mówi o Fritzim, dobrze? Tata nie ma pojęcia, jak dobrze skacze, a ja na razie nie chcę, żeby się dowiedział. Nie zdradzi mu pan mojej tajemnicy, prawda?

- Nie puszczę pary z ust. To mamy umowę: ty zajmiesz się kasztankiem, a ja nie wygadam twojej tajemnicy. Jeśli będziesz kiedyś myślała, żeby sprzedać Fritziego, mnie poinformuj o tym pierwszego. Zgoda?

Wyciągnął dłoń, a ja się zawahałam.

- Czy to znaczy, że chce pan mieć prawo pierwokupu? - upewniłam się.

- Jesteś bardzo bystrą dziewczynką. - Pan Nötzli roześmiał się rozbawiony. - Tak, właśnie to miałem na myśli.

- Zgoda - powiedziałam po krótkim zastanowieniu się. - Ale niech pan sobie nie myśli, że dostanie go pan za bezcen tylko dlatego, że jestem dziewczyną. I nie przyjmuję innych koni w rozliczeniu.

- Przecież nie oczekuję, że mi go podarujesz - powiedział bardzo poważnie, choć w jego oczach widziałam uśmiech. - Wiem, ile jest wart koń z takimi warunkami. Możesz być pewna, że kiedy przyjdzie czas, złożę ci uczciwą ofertę. Oczywiście jedynie pod warunkiem, że będziesz chciała go sprzedać.

To zabrzmiało bardzo rozsądnie. Zgodziłam się i uścisnęłam jego dłoń. Dostałam konia pod opiekę! A w plecaku miałam siedem tysięcy euro! Tata chyba padnie z zaskoczenia!

Rozdział 32

W NIEDZIELĘ RANO POJECHAŁAM z dziadkiem do Heidelbergu na zawody, żeby zobaczyć główny konkurs na żywo. W telewizji oglądałam transmisję z piątku i soboty i widziałam, jak tata na Lagunasie wygrał obie najtrudniejsze konkurencje, w których musiał zmierzyć się z najlepszymi jeźdźcami z kraju i zagranicy. W pozostałych konkurencjach i on, i Christian, i Jens też zajęli bardzo dobre miejsca.

Od Tima wiedziałam, że wygrał na Flipperze i na swoim drugim najlepszym koniu Tanot de Chardin oba konkursy skoków w kategorii C1. W ten sposób zgromadził już jedenaście zwycięstw w tej konkurencji, więc dostanie Złotą Odznakę Jeździecką. Christian musiał pękać z zazdrości!

Zaraz po przyjeździe pobiegłam do namiotu, w którym urządzono stajnię, żeby obejrzeć startujące konie. Przed boksem Lagunasa spotkałam tatę pogrążonego w rozmowie z jakimś starszym mężczyzną o siwych włosach, którego wcześniej nigdy nie widziałam. Po chwili podali sobie dłonie, a nieznajomy poklepał tatę po ramieniu i odszedł.

- Cześć, tato! - przywitałam się.

Tata odwrócił się zaskoczony.

- O, witaj.

Od razu zauważyłam, że nie wyglądał na kogoś, kto właśnie wygrał dwa bardzo trudne turnieje.

- Co się stało? - zapytałam z troską w głosie.

Wiedziałam, że z mamą jest wszystko w porządku, bo rano rozmawiałam z nią przez telefon. Czyli musiało chodzić o coś innego.

- Właściwie powinienem się cieszyć, bo będę mógł spłacić większą część naszych długów - zaczął tata, a jego oczy podejrzanie się zaszkliły. - Przed chwilą sprzedałem Lagunasa. Nabywcą jest sponsor Viktora Waluschenki.

- Co?! - Na chwilę odebrało mi mowę. Lagunas był najlepszym koniem taty. Zwyciężył na nim ponad pięćdziesiąt turniejów w klasach C, włączając w to wygrane z wczoraj i przedwczoraj.

- Byłbym głupcem, gdybym odrzucił taką ofertę. Lagunas nie będzie młodszy. Jeśli jutro złamie nogę, nie będzie już nic wart.

Lagunas sprawiał wrażenie, jakby rozumiał, o czym rozmawiamy. Zbliżył się do przegrody, wystawił łeb i przyszczypnął zębami taty kurtkę, a ojciec pogłaskał go po nosie.

- Tak, staruszku - powiedział do swojego wałacha. - Wygląda na to, że uratujesz naszą stadninę.

W głosie taty słychać było coś dziwnego, a ja dopiero wtedy zrozumiałam, jak strasznie musiało to być dla niego ciężkie. Pozbywał się swojego najlepszego konia, bo koniecznie potrzebował pieniędzy - w żadnej innej sytuacji nie oddałby Lagunasa obcym ludziom. Ja pewnie czułabym się tak samo, gdybym musiała oddać Fritziego. Ojciec kupił Lagunasa, kiedy ten był jeszcze źrebakiem, ujeździł go, nauczył skakać i uczynił z niego najlepszego skoczka w Niemczech.

Złapałam tatę za dłoń, a on położył mi rękę na ramieniu. Przez chwilę staliśmy w milczeniu i przyglądaliśmy się, jak Lagunas bardziej interesuje się sianem niż nami. Na myśl, że już niedługo zabraknie go w naszej stajni i że nigdy więcej go nie zobaczę, bo trafi gdzieś na Ukrainę, opanował mnie straszny smutek.

W namiocie pojawił się Christian. W dłoni trzymał listę startową.

- Ty będziesz ostatni - powiedział, po czym przeniósł wzrok z taty na mnie.

- Idź, proszę, do recepcji i zmień Lagunasa na Calvadora. - Tata się nie odwrócił.

- Dlaczego? Co się stało? - Christian uniósł brwi.

- Przed chwilą sprzedałem Lagunasa. Ustaliłem z nowym właścicielem, że nie będę już na nim jeździł.

Uścisnął mnie raz jeszcze, po czym wyszedł z namiotu.

- Co tu się dzieje? - Christian krzyczał wzburzony. - Jak on mógł sprzedać Lagunasa, co?! Przyrzekł mi przecież, że w następnych zawodach będę mógł na nim wystartować w klasie C w juniorach! Co on sobie w ogóle wyobraża?!

- Tata dostał za niego jakąś chorą sumę pieniędzy - odpowiedziałam i otarłam ukradkiem kilka łez z policzka. - Nie mógł podjąć innej decyzji!

- Oczywiście, że mógł! - Christian nie krył wściekłości. - Ale gówno, chyba sobie jaja robi!

- Jesteś okropnym egoistą - zarzuciłam mu. - Myślisz, że tacie łatwo było pozbyć się swojego najlepszego konia? Kasą, którą dostanie, spłaci długi stadniny.

- I co z tego? Wiesz co? - Christian prychnął pogardliwie. - Zresztą... co ty możesz wiedzieć. Wracaj do swojego kucyka i się nie wtrącaj.

Gdybyś ty tylko wiedział, pomyślałam, ale nie odezwałam się ani słowem.

Christian wybiegł z namiotu, żeby zamienić w zgłoszeniu startowym Lagunasa na Calvadora, a ja przywitałam się z pozostałymi końmi, które stały w boksach obok i naprzeciwko. Zastanawiałam się, czy powinnam zadzwonić do mamy, ale zdecydowałam, że nie. Lepiej będzie, jak tata sam opowie jej o trudnej decyzji, jaką podjął.

Do rozpoczęcia konkursu o wielki puchar w skokach pozostało jeszcze trochę czasu, więc ruszyłam na spacer między namiotami, mając nadzieję, że spotkam gdzieś Tima. Wszędzie panowało podniecenie i słychać było podekscytowane głosy. Konie były pakowane

do przyczep i wyprowadzane z nich, co chwila przechodził ktoś z siodłem. Większość się pakowała, a ci, którzy czyścili konie, to w zdecydowanej większości pomocnicy zawodników, którzy mieli wystartować w ostatnim konkursie. Tima spotkałam dopiero w trzeciej alejce. Z ponurą miną ładował skrzynkę na kołach, w której znajdowało się siodło i przybory do czyszczenia konia. Serce zaczęło mi bić jak oszalałe, a ja pomyślałam, że chyba już zawsze na jego widok będę musiała się martwić, czy zaraz nie padnę na zawał.

- Cześć - szepnęłam.

Tim drgnął, odwrócił się, a na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. Codziennie rozmawialiśmy przez telefon, stąd wiedział o mojej wyprawie do Teicherta do biura, ba, o tym spotkaniu opowiedział mu nawet jego ojciec! Nie mówiłam mu tylko o umowie z panem Nötzlim. Teraz w końcu mieliśmy chwilę czasu, więc zaczęłam opowiadać, a on wpatrywał się we mnie z rosnącym zaskoczeniem na twarzy.

- O rany, dopiero teraz zaczynam rozumieć! - Tim uśmiechnął się radośnie. - Mój stary mało nie zszedł z wściekłości na zawał, jak w piątek od Nötzlego usłyszał, że nie postawi u nas Quintano, bo znalazł idealną dżokejkę. Widać miał na myśli ciebie. Genialna sprawa!

- Pan Nötzli poprosił mnie, żebym skoczyła kilka razy na Fritzim - wyjaśniłam. - Tim, szkoda, że ciebie wtedy nie było! Tak wysoko jeszcze nigdy nie skakałam! Szaleństwo, mówię ci!

- Też żałuję, chętnie bym to zobaczył. - Przez jego twarz przemknął cień żalu, ale szybko się opanował i ponownie uśmiechnął.

- Wiesz, on chciał zastrzec sobie prawo pierwokupu Fritziego! Zgodziłam się, ale powiedziałam, że nie przyjmuję żadnych koni w rozliczeniu, i wyobraź sobie, że się zgodził.

- Tylko mi nie mów, że chcesz sprzedać teraz Fritziego?

- No coś ty, oczywiście, że nie! - Potrząsnęłam głową i zadałam sobie pytanie, jak musiał się teraz czuć tata. - Chociaż... już raz rozważałam taką opcję. Pomyślałam, że jak już

będzie świetny w skokach i dostanę za niego dość kasy, żeby spłacić długi dziadka, to i owszem. Ale teraz już nie muszę się tym przejmować.

- Dlaczego? - zdziwił się Tim.

- Bo ojciec przed chwilą sprzedał Lagunasa.

- Co? - Tim wybałuszył oczy. - Kiedy? I komu?

- Przecież mówię, że przed chwilą. Sponsorowi tego Ukraińca.

- O rany...

Nagle za naszymi plecami pojawił się Richard Jungblut.

- Skończ już trajkotać! - warknął na syna. - I zaraz masz być gotowy! Za piętnaście minut ruszamy!

Dopiero teraz mnie rozpoznał i uniósł brwi.

- A ty tu czego szukasz?

Zabrzmiało to dość niemiło. Nie chciałam, żeby Tim miał przeze mnie jakieś problemy, zwłaszcza po tym, co usłyszałam od dziadka i babci. Teraz już wiedziałam, co się wydarzyło, i nie uśmiechało mi się przebywać w pobliżu takiego człowieka.

Z reprymendą dla syna nie poczekał nawet, aż znajdę się poza zasięgiem słuchu.

- Po co z nią gadasz? To jedna z tamtych, nie zauważyłeś?

Nie zrozumiałam odpowiedzi Tima, jednak najwyraźniej Richardowi Jungblutowi nie spodobały się słowa syna, bo uderzył go tak mocno, że nawet z tej odległości usłyszałam plask otwartej dłoni.

- Lepiej uważaj, co mówisz, gówniarzu! - warknął. - A teraz ruszaj się! No już!

Byłam tak przerażona tą sceną, że nie mogłam wykrztusić słowa. Ojciec Tima wyszedł z namiotu, a Tim zagryzł zęby i wrócił do pakowania siodeł, ochraniaczy, czapraków i innych rzeczy, które leżały przed nim.

- O Boże, Tim...! Nie chciałam... - wyszeptałam zaszokowana. Z trudem powstrzymywałam łzy. Było mi go potwornie żal i współczułam mu okropnego ojca.

- To nie przez ciebie - odparł Tim i odwrócił się do mnie plecami. - Nie przejmuj się tym. Stary zawsze znajdzie powód, żeby mnie strzelić.

W końcu na mnie spojrzał. Lewy policzek miał czerwony i spuchnięty.

- Pewnego dnia... Pewnego dnia odpłacę mu pięknym za nadobne! - powiedział gorzkim tonem. - I to z procentami. Daję słowo!

Rozdział 33

PO ZAKOŃCZENIU ZAWODÓW Christian i Jens pojechali prosto do domu, ale ja zdecydowałam się czekać na tatę. Na Calvadorze udało mu się zająć bardzo dobre trzecie miejsce, dzięki czemu na samym końcu dekoracji zwycięzców dostał jeszcze jedną nagrodę - dla zwycięzcy największej liczby konkurencji. Organizatorzy wręczyli mu voucher dla dwóch osób na wycieczkę samolotem do Irlandii. Kiedy poszedł do recepcji zawodów, żeby dokończyć formalności, ja usiadłam na stopniach prawie pustej już trybuny i tam na niego czekałam. Większość widzów opuściła już ujeżdżalnię i zmierzała w kierunku parkingu. Miejsce koni i jeźdźców zajęli teraz robotnicy i wolontariusze, którzy wprawnie zabrali się do demontażu parkuru, lóż dla vipów, nagłośnienia, reflektorów i kabli. Robili przy tym masę hałasu. Przez otwarte wejście do ujeżdżalni wpadało chłodne powietrze. W powietrzu unosił się zapach spalin, a po uroczystej i podniosłej atmosferze konkursu nie pozostał już nawet ślad.

Nie potrafiłam się szczerze cieszyć z doskonałego miejsca zajętego przez tatę, nawet nie byłam w stanie skupić się na jego skokach, bo cały czas myślałam o Timie. Miałam nadzieję, że w domu nie spotka go już nic złego ze strony ojca, ale nie mogłam mieć pewności. Gdyby tylko była ze mną moja przyjaciółka! Jednak Melike dopiero następnego dnia miała wrócić ze szkolnej wycieczki. Nie mogłam się doczekać, żeby jej o wszystkim opowiedzieć.

Tata pojawił się w drzwiach recepcji. Zamienił jeszcze kilka słów z dwoma innymi jeźdźcami, pośmiali się chwilę, a ja, patrząc z daleka, miałam wrażenie, że zachowuje się całkiem normalnie. Tyle że z bliska było widać, jak bardzo jest nieszczęśliwy.

- Tata! - krzyknęłam i przytuliłam się do niego.

- Elena! - powiedział zaskoczony. - Myślałem, że pojechałaś z Jensem i Christianem.

- Nie, chciałam poczekać na ciebie. - Ruszyliśmy w kierunku wyjścia. - Żebyś nie musiał jechać sam.

- Jesteś kochana. - Położył mi dłoń na ramieniu, a ja pomyślałam, że mówi, jakby miał coś w gardle.

Na zewnątrz zapadł już zmrok. Oświetlenie terenu zawodów już wyłączono, a na parkingu zostały ledwie trzy czy cztery ciężarówki. Christian i Jens wcześniej zapakowali Lagunasa, Calvadora i Cotopaxi, dla których w ich samochodzie nie znalazło się miejsce. Tata sprawdził, czy wszystko jest dobrze umocowane, potem zamknął rampę i wsiadł do szoferki. Ja zajęłam miejsce pasażera.

- Powiedziałeś już mamie, że sprzedałeś Lagunasa? - zapytałam, kiedy ruszyliśmy wąską, asfaltową drogą w stronę głównej trasy.

Konie, zmęczone po trzech dniach turnieju, stały nieruchomo i nie hałasowały.

- Nie, jeszcze nie - odparł ojciec, nie odrywając wzroku od drogi. W świetle mijających nas samochodów widziałam, jak bardzo był smutny. Może lepiej nie poruszać już tego tematu?

Nieco później wjechaliśmy na autostradę. Zastanawiałam się, co zrobić, żeby go pocieszyć albo przynajmniej, żeby pomyślał o czymś innym, i postanowiłam, że opowiem mu o Fritzim.

- A właśnie, tato - zaczęłam. - W piątek był u nas pan Nötzli. Przyjechał do stadniny.

- Co chciał?

Dziwne, czyżby naprawdę nie wiedział o jego wizycie? Bo, prawdę mówiąc, byłam pewna, że pan Nötzli poinformował go o naszej umowie.

- Wiesz, wszedł do ujeżdżalni, akurat kiedy ja tam jeździłam - mówiłam dalej. - I był pod wrażeniem.

- Pod wrażeniem? Pod wrażeniem czego?

- Zostawiłeś ustawiony parkur. Postanowiłam trochę poskakać. Na Fritzim.

Tata w końcu oderwał na chwilę wzrok od drogi i spojrzał na mnie.

- Skakałaś na Fritzim?

- Tak. Na początku parkur był dość niski, ale potem pan Nötzli wszedł na maneż i podniósł wszystkie przeszkody. A potem jeszcze trochę. - Zawahałam się. - A potem zapytał, czy nie chciałabym zrobić przejazdu na Quintano.

- Słucham?! - Na twarzy taty próżno by szukać jakichkolwiek śladów smutku czy zgryzoty. - Jak on mógł w ogóle zaproponować ci coś takiego?! Mam nadzieję, że się nie zgodziłaś!

- Nie denerwuj się tak - powiedziałam szybko. - Wszystko poszło naprawdę super! A pan Nötzli powiedział, że chciałby, żebym trenowała Quintano. Opłaci boks, kowala i weterynarza i będzie mi płacił co miesiąc za jazdy. Kiedy Quintano znajdzie kupca, dostanę dziesięć procent z ceny sprzedaży. Poza tym chciał dostać prawo pierwokupu Fritziego, jeśli kiedyś się na to zdecyduję. Powiedziałam mu, żeby sobie nie myślał, że dostanie mojego Fritziego za jakieś grosze tylko dlatego, że jestem dziewczyną, ale on mi powiedział...

- Zaraz, zaraz! - przerwał mi tata i spojrzał na mnie, jakby niewiele zrozumiał. - Prawo pierwokupu Fritziego? A po co mu to?

- No jak to, przecież Fritzi cudnie skacze.

Tata długo nie odrywał ode mnie wzroku, aż przestraszyłam się, że zaraz wylądujemy gdzieś na poboczu. W końcu niespodziewanie jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Niesamowite... teraz zaczynam wszystko rozumieć - powiedział zadowolony. - Ale nie chce mi się w to wierzyć...

- Czyli co? - zapytałam zaciekawiona.

- Gerhard pojawił się w piątek wieczorem na zawodach - odparł tata. - Był strasznie tajemniczy. Byłem nawet na niego trochę zły, kiedy powiedział, że znalazł jeźdźca dla Quintano. A potem dodał, że mam w stadninie przynajmniej dwa nieoszlifowane diamenty i jeszcze powiedział, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Nie słuchałem go uważnie i pomyślałem, że mówi o Christianie... ale... - Znów spojrzał na mnie, a w jego wzroku dostrzegłam wyraz niedowierzania. - Ale najwyraźniej mówił właśnie o tobie.

Serce zaczęło walić mi jak szalone i zrobiłam się czerwona. Przez kilka kilometrów milczałam. Tata też nic nie mówił.

- Fritzi... - odezwał się w końcu. - Zupełnie o nim zapomniałem. Jeździsz na nim? Od kiedy?

- Od zeszłych wakacji - przyznałam się. - Z początku tylko na oklep albo w terenie, ale od jesieni mam uczciwe treningi. Za cztery tygodnie po raz pierwszy wystartujemy w zawodach. Jest już zgłoszony.

- Jak to możliwe, że ani razu was nie widziałem?

To była właśnie ta delikatna sprawa, której się obawiałam, ale zdecydowałam, że powinnam być uczciwa.

- Jeździłam na nim tylko wtedy, kiedy ciebie nie było, bo się bałam, że jak zobaczysz, jak świetnie skacze, to mi go weźmiesz - powiedziałam otwarcie. - Sam rozumiesz, ostatnio nie byłeś szczególnie miły.

Tata westchnął głęboko.

- Tak, pewnie masz rację... Strasznie mi przykro, naprawdę. I to prawda, że mama przeze mnie wyjechała.

Przez chwilę myślał jeszcze o czymś, a potem znów się uśmiechnął.

- Wiesz co? Teraz naprawdę mnie zainteresowałaś - powiedział. - Nötzli to największy znawca koni, jakiego znam. Jeśli on był zachwycony Fritzim, to ja już nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć.

Pomyślałam wtedy o Timie i naszych tajnych treningach, ale tacie opowiedzieć o nich po prostu nie mogłam. To byłoby przynajmniej nierozsądne.

- Mogę zrobić dla ciebie rundkę - zaproponowałam.

Tata pochylił się w moją stronę, położył mi dłoń na kolanie i zacisnął palce.

- Nie możesz, moja droga - odparł. - Musisz.

Mój brat i Jens czekali już w stadninie, kiedy wreszcie wtoczyliśmy się przez bramę. Podwórze tonęło w ciemności, a światła paliły się jedynie w stajni z końmi taty. Jens stał przed wejściem i palił papierosa, lecz zdeptał go szybko, ledwie tata wysiadł z szoferki.

- No, w końcu! - powiedział Christian zniecierpliwionym tonem.

- Chodźcie, chłopaki, pospieszymy się i możemy iść. - Tata był w świetnym humorze. - Ale najpierw Elena musi zrobić dla mnie przejazd na jednym koniu.

Christian zahaczył mnie barkiem, kiedy mnie mijał.

- Jak tam, całą drogę musiałaś się podlizywać? - szepnął złośliwie.

- Nic się nie podlizywałam - odparłam. - Głupek!

- Krowa!

- Koniec kłótni! - krzyknął tata. Otworzył zabezpieczenia rampy załadowczej i zaczął ją opuszczać.

Któryś z koni zarżał, inny w stajni mu odpowiedział. Jens na początku wyprowadził

Calvadora, tata ruszył za nim, prowadząc Cotopaxi, a Christian złapał Lagunasa, który jak zwykle prężył się, jakby właśnie zmierzał na start zawodów. Wiedziałam, że już nie może się doczekać, żeby w końcu znaleźć się w swoim boksie, lecz najpierw czekało go jeszcze mycie. Musiał tylko poczekać na swoją kolej, bo stanowisko do mycia zajął tata z Cotopaxi.

Byłam strasznie zdenerwowana. Zaraz tata po raz pierwszy miał zobaczyć Fritziego pod siodłem! Nie mogłam się po prostu doczekać wyrazu jego twarzy i miałam nadzieję, że mój ogier niczego nie zepsuje. Przez głowę przemknęło mi wspomnienie mojego koszmaru.

Lagunas zatańczył w alejce. Wspaniały wałach nie potrafił czekać. Christian uderzył go brutalnie łokciem, na co koń położył uszy po sobie i kłapnął w jego kierunku zębami.

- Przepuść Christiana - polecił tata Jensowi, kiedy odprowadzał Cotopaxi do boksu. - A ty, Elena, skocz szybko po Fritziego.

- O co chodzi z tym Fritzim? - zapytał Christian.

- Chcę zobaczyć, jak skacze - wyjaśnił tata i zamknął boks. - Po zachwytach Nötzlego nie mam innego wyjścia...

- Zachwytach? Czym był tak zachwycony? - parsknął Christian i ruszył z Lagunasem w kierunku stanowiska do mycia. - Chyba nie tą kulawą szkapiną?

- Najwyraźniej właśnie tą szkapiną. - Tata puścił do mnie oko. - Do tego stopnia, że chce odkupić Fritziego od Eleny.

To była kropla, która przelała czarę goryczy. Mój brat nie wytrzymał z wściekłości. Najpierw zrobił się czerwony jak burak, a potem zbladł. Lagunas natychmiast wyczuł swoją szansę i uszczypnął go w ramię.

- Auuu, ty cholerne bydlę! - wrzasnął mój brat, zamachnął się i szarpnął Lagunasa za uwiąz.

- Uważaj! - ostrzegł go tata, ale Christianowi wściekłość przysłoniła rozsądek.

Kiedy znów szarpnął, wałach poderwał gwałtownie głowę... A potem wszystko potoczyło się z prędkością błyskawicy. Lagunas uderzył łbem w podwieszone solarium z taką siłą, że lampy zakołysały się i wyrżnęły w ścianę. Koń przestraszył się nieznanego hałasu, chciał odskoczyć, ale podłoga była zbyt śliska. Nie mógł znaleźć podparcia. Hałas był przerażający, spod podków leciały iskry, lecz to nic nie pomogło. Inne konie zaczęły się denerwować i skakać w swoich boksach. Zdjęta przerażeniem oglądałam wszystko jak w zwolnionym tempie. Słyszałam krzyk taty, a potem Lagunas leżał na boku, na ziemi. Na początku jeszcze poruszał nogami, ale szybko znieruchomiał. Przez kilka chwil panowała całkowita cisza. Tata wyrwał Christianowi uwiąz z ręki.

- Wynoś się! - warknął. - Natychmiast! Wynocha!

Mój brat otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale tata spojrzał na niego z taką złością, że wolał nie ryzykować i czym prędzej zniknął. Lagunas jęknął i bezradnie spróbował się podnieść, lecz podłoga była zbyt śliska. Widok leżącego bezradnie konia, który nie mógł wstać, był przerażający.

Jeszcze większym przerażeniem przepełniła mnie myśl, która dopiero teraz przyszła mi do głowy - Lagunas nie był już koniem taty. Co będzie, jeśli stało mu się coś poważnego? Sprzedaż nie dojdzie do skutku. Tata nie dostanie pieniędzy i nie będzie mógł spłacić długów stadniny!

Nagle zrobiło mi się słabo, bo uświadomiłam sobie, jak katastrofalne skutki mogło mieć pełne złości zachowanie Christiana. Jak on w ogóle mógł to zrobić? Od kiedy pamiętam, tata co chwilę nam powtarzał, że do koni podchodzi się zawsze z cierpliwością i spokojem, a już w krytycznych sytuacjach - to w ogóle! A czy było coś bardziej niebezpiecznego niż stanowisko do mycia koni ze śliską podłogą?

- Jens! - zawołał tata zduszonym głosem. - Przynieś worek trocin. Tylko migiem.

Jens puścił się biegiem. Lagunas ponownie zajęczał i poruszył nogami.

- Spokojnie, mały, spokojnie. - Tata przykucnął przy głowie konia. - Tylko spokojnie.

Leż sobie. Zaraz ci pomożemy.

Po chwili wrócił Jens. Otworzył worek i rozsypał trociny po podłodze stanowiska do mycia. Niestety, nawet mimo tej pomocy Lagunas nie mógł znaleźć dość oparcia, by wstać.

- Elena, chodź tutaj - zawołał tata.

Przełknęłam głośno i podeszłam. Ojciec podał mi uwiąz, a potem przeszedł nad koniem i znalazł się w wąskim boksie. To było naprawdę niebezpieczne! Jeśli sześćsetkilogramowy koń wpadłby teraz w panikę, mógłby zmiażdżyć tatę o ścianę. Lagunas chyba jednak rozumiał, że tata chce mu pomóc, i leżał bardzo spokojnie. Wpatrywał się tylko we mnie przerażonymi, błyszczącymi oczyma. Pogłaskałam go delikatnie po pysku, modląc się w duchu, żeby nic mu nie było. W końcu ojcu i Jensowi udało się go na tyle obrócić, że nie leżał już na boku, tylko na brzuchu.

- No dobrze. - Tata wziął ode mnie uwiąz. - Teraz do góry, staruszku. Musisz dać radę. No, hop!

Lagunas jednak nawet nie spróbował wstać. Wręcz przeciwnie - sapnął ciężko i ponownie opadł na bok.

- Cholera - szepnął Pryszczol zza moich pleców. - To nie wygląda dobrze.

Tata próbował wszystkiego, żeby postawić konia na nogi. Ciągnął, podciągał go za kantar, krzyczał - wszystko na nic. Jens przyniósł siano i rozsypał je Lagunasowi po podłodze. Potem tata przyniósł długą lonżę, podłożyli ją wałachowi pod tylne nogi i razem z dziadkiem, Stanim i Heinrichem ciągnęli, ile tylko starczyło im sił - lecz wszystko na marne, bo koń nie drgnął ani na milimetr. O wpół do dziesiątej tata się poddał.

- To bez sensu - powiedział, zachrypniętym głosem. - Zadzwonię po weterynarza.

Rozdział 34

- NOGI MA zupełnie w porządku, niczego sobie nie połamał. - Doktor Gregor Marquardt wyszedł ze stanowiska do mycia koni, przystanął i jeszcze raz przyjrzał się Lagunasowi bezradnym wzrokiem. - Musiał jakoś uszkodzić sobie kręgosłup. Albo biodra.

- Nie, to nie może być prawda, nie teraz! - Tata usiadł na kostce słomy naprzeciwko konia i potrząsnął smutno głową. - Dlaczego dzisiaj? Dlaczego akurat dzisiaj?! Przez tyle lat nic złego się nie stało!

Dziadek stał obok i milczał. Ani on, ani Jens, ani weterynarz nie mogli mieć pojęcia, jakie tragiczne konsekwencje będzie miała katastrofa, która rozgrywała się przed ich oczyma. Najpóźniej jutro rano tata będzie musiał zadzwonić do sponsora Viktora Waluschenki, żeby przekazać, że nie może sprzedać konia.

Przypomniałam sobie wtedy jego słowa, które wypowiedział po południu. Jeśli koń jutro złamie nogę, nie będzie już nic wart. Lagunas nie złamał sobie co prawda nogi, ale i tak był w fatalnym stanie. Żaden koń nie leżałby tak, gdyby tylko mógł wstać.

W stajni było zimno. Owinęłam się derką i usiadłam na jakiejś skrzynce przy wejściu do siodlarni. Jens i Heinrich stali w otwartych drzwiach i palili papierosy. Tata i weterynarz rozmawiali ze sobą półgłosem.

- Jakoś musimy go postawić - powiedział tata. - Jeszcze trochę tak poleży i zacznie nawalać mu krążenie.

- A gdybym podjechał widlakiem i wyciągnął go ze stanowiska do alejki?

- Broń Boże! - zawołał weterynarz. - Jeśli coś sobie zrobił z kręgosłupem, moglibyście go trwale okaleczyć. Nie. Podam mu środek przeciwbólowy, może po nim da radę wstać.

Tata przeczesał dłonią włosy i złożył ręce za głową. Podniósł się z kostki słomy, na

której siedział, i ukląkł przy Lagunasie.

- No, mój kochany - mruknął. - Jesteś wojownikiem, zawsze byłeś. Dasz radę. Proszę.

Miałam wrażenie, że przez ostatnią godzinę tata postarzał się o kilka lat. Pod oczyma miał ciemne worki, a drżenie twarzy zdradzało, że jest bliski płaczu. Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie i nigdy tak mu nie współczułam. Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Eleno, idź spać. Jest prawie północ. Nie musisz tu siedzieć. - Potem powoli wstał z ziemi. - Wy też możecie iść - zwrócił się do dziadka, Jensa i Heinricha. - Jeśli będę potrzebował waszej pomocy, dam wam znać.

- Ja zostaję, szefie - odparł Pryszczol.

Tata kiwnął głową.

Dziadek poklepał tatę po ramieniu i wyszedł. Heinrich ruszył za nim, lecz ja nie wstawałam ze swojej skrzynki. Nic nie mogłam pomóc. Nikt nie mógł już pomóc. Lagunas, który wczoraj i przedwczoraj tak wspaniale i lekko przelatywał nad wszystkimi przeszkodami i pokonał tyle innych wspaniałych koni, leżał teraz jak nieforemna kupa mięśni. Co pewien czas tylko pojękiwał. I dokładnie w tym momencie, w tej jednej sekundzie uświadomiłam sobie, kto mógłby mu pomóc. Weterynarz powiedział, że może mieć coś z kręgosłupem. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam? Musiałam przyprowadzić Lajosa. I to natychmiast!

Wiatr przegnał chmury, oczyszczając niebo, a światło księżyca odbijało się od białego śniegu, więc w lesie było jasno jak w dzień. Fritzi jechał kłusem drogą, którą doskonale znał - przez las do leśniczówki. Kiedy wpadłam do jego boksu, niosąc siodło, derkę i ogłowie, zerwał się na równe nogi, bo zdążył już położyć się spać. W pośpiechu zapomniałam toczka, ale nie było czasu, żeby wracać do domu. Miałam tylko nadzieję, że Lajos będzie w domu! I że w ogóle otworzy mi drzwi po tym, co wykrzyczałam mu w twarz w czasie ostatniego spotkania na łące. Później, kiedy będzie czas, wyjaśnię mu wszystko i przeproszę.

Wiatr wył między nagimi konarami, a niecałe dziesięć metrów od nas poderwały się

do biegu dwie przestraszone sarny. Fritzi skoczył w bok i rzucił się galopem. Noga wypadła mi ze strzemienia, więc wtuliłam się w jego grzywę. Lodowaty wiatr wył w uszach i wyciskał łzy z oczu. Miałam tak skostniałe dłonie, że ledwie mogłam utrzymać wodze.

Fritzi galopował przez pusty i cichy las, też nie wydając z siebie żadnych odgłosów. Podkutymi kopytami stawiał pewne kroki, a ja wierzyłam mocno, że więcej widzi swoimi końskimi oczyma niż ja ludzkimi. Cóż za wspaniałe zwierzę! Nieustraszone, dzielne i szybkie! A przecież to miał być jego wieczór, bo tata chciał zobaczyć, jak Fritzi radzi sobie na parkurze. Ojciec od dawna nie był w tak dobrym humorze. W samochodzie rozmawialiśmy jak dwoje dorosłych ludzi. A potem, zupełnie niespodziewanie, wszystko potoczyło się tak tragicznie! Jeśli Lagunas szybko nie stanie na nogach, umrze. Konie nie mogą długo leżeć, bo szybko zaczynają się problemy z płucami i jelitami, w których postępuje martwica.

W końcu dostrzegłam przed sobą jezioro - czarne jak atrament i nieprzyjemne. Nie miałam jednak czasu, żeby zacząć się bać. Znacznie bardziej przerażała mnie myśl, że Lajosa mogłoby nie być w domu.

W domu panowała ciemność. Nie paliły się żadne światła. Ale przecież godzina była już bardzo późna. Fritzi sam z siebie przeszedł w kłus, a potem stęp. Podjechałam do werandy i zeskoczyłam z siodła. Nogi się pode mną ugięły i przewróciłabym się, gdybym w porę nie chwyciła strzemienia. Skostniałymi z zimna palcami przywiązałam uzdę do poręczy. Fritzi był tak spocony, że widziałam, jak w mroźnym powietrzu z jego sierści unoszą się kłęby pary. Wbiegłam po schodach i dopadłam do drzwi. Załomotałam w nie dwa, a potem trzy razy.

- Lajos! - krzyknęłam. Mój głos przypominał bardziej paniczny pisk. - Lajos, jesteś tam?

Nic. Cisza. Cholera jasna! Wtedy się załamałam. Oparłam się o framugę i osunęłam na ziemię, a potem zalałam się łzami. Lagunas zdechnie. Mama odeszła. A my stracimy stadninę. Wszystko się zawaliło.

Niespodziewanie zapaliło się światło, a na drewnianej podłodze werandy pojawił się jasny prostokąt, padający z otwartych drzwi. Obudziłam Lajosa! Miał nieuczesane włosy, sterczące na wszystkie strony i nieprzytomny wyraz twarzy.

- Elena! Co się stało? - zapytał przestraszony.

- Lajos! - rozpłakałam się z ulgi. - Proszę, musisz mi pomóc!

Przykucnął obok, wziął moją twarz w dłonie i spojrzał mi z troską w oczy.

- Wielki Boże, Eleno, co ty tu robisz o tak późnej porze?!

- Lagunas... on... on leży... na miejscu do mycia... i nie może wstać - wyjąkałam z trudem. - Nikt poza tobą nie może mu pomóc.

- Przede wszystkim wstań z ziemi, bo się przeziębisz.

Lajos pomógł mi się podnieść, ale nogi drżały mi do tego stopnia, że prawie nie mogłam iść. Było mi niedobrze ze strachu i troski o Lagunasa i tatę.

- Chodź do środka, ogrzejesz się trochę. Jesteś zmarznięta.

- Nie ma czasu do stracenia - zaprotestowałam i znów zalałam się łzami. - Lekarz powiedział, że Lagunas umrze, jeśli będzie dłużej leżał. A tata jest załamany, bo go dzisiaj sprzedał...

- Poczekaj chwilę.

Lajos zniknął w jednym z pokoi. Chwilę później wrócił ubrany. Miał na sobie dżinsy i sweter. Potem włożył buty i zdjął kurtkę z haczyka przy drzwiach.

- Fritzi niech lepiej zostanie tu na noc, a my pojedziemy samochodem - zdecydował. - Chodź.

Niewiele mogłam mu pomóc, więc sam odwiązał Fritziego od poręczy i zaprowadził do stajni. Tam zdjął z niego siodło i ogłowie, a na koniec wprowadził ogiera do pustego boksu.

- Wsiadaj do samochodu - polecił mi. - Ja zaraz przyjdę.

Na trzęsących się nogach przeszłam przez podwórze. Podeszłam do srebrnego kombi, otworzyłam drzwi i usiadłam ciężko na siedzeniu obok fotela kierowcy. Miałam wrażenie, że tkwię w jakimś koszmarze. Pewnie zaraz się obudzę, z Twiksem wtulonym w moje nogi, i z ulgą stwierdzę, że to tylko sen. Nagle sobie przypomniałam, jak Richard Jungblut uderzył Tima i co dziadek powiedział mi o nim i o Lajosie.

Drgnęłam, kiedy otworzyły się drzwi kierowcy. Lajos wsiadł i uruchomił silnik. Włączył ogrzewanie na maksa i na wstecznym biegu wyprowadził auto z podwórza.

- Jeśli dobrze cię zrozumiałem, jeden z waszych koni przewrócił się na stanowisku do mycia i nie może sam wstać - powiedział. - Zgadza się?

- Tak.

Chciałam mu opowiedzieć, co się wydarzyło, ale nie potrafiłam zebrać myśli i z mojej opowieści zrobiła się chaotyczna paplanina - mówiłam o turnieju, o Lagunasie i sponsorze, który go kupił, o długach dziadka i o komorniku, a na koniec o złości Christiana i pechu.

Lajos słuchał mnie uważnie, spokojnie i przyjaźnie i chyba przez to nie mogłam się opanować. Był dla mnie taki miły i nawet przez sekundę się nie wahał, czy mi pomóc. A przecież przy ostatnim spotkaniu oskarżyłam go o straszne rzeczy! Zaniosłam się histerycznym płaczem.

Lajos sięgnął w moją stronę, wyjął ze schowka chusteczki i podał mi je.

- Wytrzyj nos - powiedział. - A potem postaraj się opowiedzieć mi wszystko jeszcze raz, ale już po kolei.

Kiwnęłam głową i wydmuchałam nos. Nie był na mnie zły, przez co czułam się jeszcze gorzej. Jechaliśmy przez las, z głośników płynęła cicha muzyka.

- Jesteś na mnie zły? - wyszeptałam.

- A dlaczego miałbym? - zapytał.

- Bo... bo powiedziałam ci takie okropne rzeczy. Dowiedziałam się, że byliście przyjaciółmi, mama, tata i ty. Znalazłam u mamy wycinki z gazet o wypadku. I... i wszystko źle zrozumiałam. Ale potem dziadek mi wytłumaczył. Już wiem, co się stało. I że to nie ty prowadziłeś, tylko ojciec Tima. Bardzo cię przepraszam.

- Eleno. - Lajos potrząsnął głową, a w jego głosie po raz pierwszy usłyszałam smutek. - Sam powinienem opowiedzieć ci tę całą historię. Wiedziałem przecież, że jesteś córką Michy i Susanne. Ale... ale nie odważyłem się. To było tak dawno temu... Najstraszniejsze chwile mojego życia. Niechętnie o tym mówię.

To już druga dorosła osoba, która rozmawiała ze mną jak równy z równym. Dziwne uczucie, ale jednocześnie takie piękne.

- Jesteś naprawdę odważną dziewczyną - powiedział po chwili. - Masz w sobie więcej odwagi niż ja.

- Czyli nie jesteś na mnie zły?

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnął się krótko, a potem znów spoważniał.

Wjechaliśmy na dziedziniec stadniny.

Rozdział 35

NIE MUSIAŁAM POKAZYWAĆ Lajosowi drogi. Podjechał prosto do właściwej stajni, mijając po drodze ciężarówkę, która stała z wciąż jeszcze opuszczoną rampą na podwórzu przed wejściem. Zatrzymał się za samochodem weterynarza. Wyłączył silnik, wysiedliśmy i weszliśmy do środka. Lagunas leżał na stanowisku do mycia tak, jak go zostawiłam. Ktoś tylko włączył solarium zawieszone powyżej. Tata siedział na kostce słomy z twarzą ukrytą w dłoniach i się nie ruszał.

- Tato - powiedziałam cicho.

Ojciec uniósł głowę i zamarł. Popatrzył na Lajosa, jakby zobaczył ducha.

- Lajos! Co ty tu robisz? - zapytał zachrypniętym głosem. Potem spojrzał na mnie.

- Cześć, Micha - Lajos odpowiedział szeptem. - Później ci wszystko wyjaśnię. Co się stało ze zwierzakiem?

Tata wstał.

- On... Lagunas się poślizgnął i nie może wstać.

- Co z nim robiliście od tamtego czasu? - Lajos mówił wyjątkowo spokojnym, rzeczowym głosem.

- Weterynarz podał mu zastrzyk przeciwbólowy. - Tata wzruszył ramionami. - Ale to nic nie dało.

Lajos przykucnął obok Lagunasa i pogłaskał go po głowie.

- Mogę? - zapytał.

- Pewnie - odpowiedział tata.

Przyglądałam się, jak Lajos przechodzi nad grzbietem konia, żeby dostać się do środka stanowiska do mycia. Nachylił się i zaczął metodycznie badać palcami kręgosłup leżącego zwierzęcia. Zaczął od szyi i przesuwał się w stronę zadu. W pewnym momencie koń drgnął, sapnął zaskoczony i uniósł głowę.

- Wyskoczył mu jeden z kręgów lędźwiowych. Ułożył się w taki sposób, że stracił czucie w tylnych nogach. Dość niekorzystnie leży. Hm...

Wyprostował się i zamyślony podrapał się po czole. Potem nagle zrobił minę, jakby coś sobie przypomniał.

- Micha, powiedz mi, czy przypadkiem nie było tu wcześniej przejścia na gnojownik? Macie jeszcze te drzwi czy zamurowaliście?

Tata spojrzał na niego zaskoczony, ale powoli potaknął.

- Racja, są, są. Zastawiliśmy je po prostu gumową ścianką zabezpieczającą.

- Możesz jakoś podziałać, żeby je otworzyć? - zapytał Lajos. - Muszę mieć do niego dojście od tyłu.

W tym momencie ojciec jakby obudził się z letargu. Wszedł do boksu Intermezza, który znajdował się tuż obok stanowiska do mycia, i założył mu kantar.

- Zaprowadź go do pustego boksu przy wejściu, po lewej stronie - polecił Lajosowi, a on bez słowa chwycił uwiąz i poprowadził konia na wskazane miejsce.

Zaciskając kciuki, stałam z boku i przyglądałam się, jak obaj mężczyźni usuwają gumową tylną ścianę boksu ze stanowiskiem do mycia. We dwójkę przestawili ją na bok, choć ja od zawsze byłam przekonana, że jest tam zamocowana na stałe. I rzeczywiście, były za nią schowane drzwi, o których nie miałam zielonego pojęcia. Zasuwę pokrywała warstwa rdzy, lecz kilka mocniejszych uderzeń i kopniaków dało jej radę i w końcu przejście z

potwornym skrzypnięciem stanęło otworem. Do stajni wpadło zimne nocne powietrze. Otwierając szeroko oczy, przyglądałam się, jak tata z Lajosem przepychają Lagunasa w taki sposób, żeby nie leżał na boku, tylko na brzuchu.

- Przednie nogi musi mieć wyciągnięte przed siebie - polecił Lajos. - A teraz chwyć go za głowę i bardzo uważaj, żeby nie przewrócił się na bok. Na mój znak musisz ciągnąć najsilniej, jak potrafisz. Rozumiesz?

Tata złapał Lagunasa za kantar. Lajos obszedł konia dookoła i stanął za nim. Przyglądałam się, jak chwyta go za ogon.

- Teraz! - powiedział cichym głosem.

Tata ciągnął Lagunasa za głowę, a Lajos za ogon. Miałam wrażenie, że wiele ich to obu kosztuje.

- Dobra, mój kochany, to teraz koniec leżakowania - sapnął Lajos. - No już, wstajemy!

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy Lagunas podciągnął pod brzuch tylne nogi i chwilę później podniósł się z podłogi. Zatrząsł się lekko, zatoczył, potrząsnął głową i z niedowierzaniem rozejrzał.

Lajos puścił jego ogon i przecisnął się do nas.

- Wyprowadź go na przejście między boksami - polecił tacie. - Teraz będę potrzebował więcej miejsca.

Z zapartym tchem przyglądałam się, jak Lajos uważnie obmacuje kręg po kręgu. W końcu uniósł tylną lewą nogę konia i gwałtownie pociągnął ją w bok. Coś strzeliło.

- Dobra, to już po wszystkim. - Lajos wyprostował się. - Kręg jest na miejscu.

Tata nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Trzymał tylko uwiąz w dłoni i się nie ruszał.

Lajos poklepał go po plecach i uśmiechnął się słabo.

- Co jest? Chcesz tu zamarznąć? - zapytał.

W tym momencie do stajni zajrzał doktor Marquardt, zaraz za nim wszedł Jens. Na ich twarzach rysował się wyraz niedowierzania.

Tata ruszył z Lagunasem do jego boksu, a koń posłusznie podreptał obok, jakby nic mu przed chwilą nie było. Nie zauważyłam nawet śladu utykania! Lajos odprowadził ich wzrokiem, a potem odwrócił się w moim kierunku.

- Ach - odezwał się niespodziewanie weterynarz. - Doktor Kertéczy, człowiek o dłoniach, które leczą. Obiło mi się o uszy, że działa pan w tych okolicach. Czyli mogę już wracać do łóżka.

- Niech pan nie bierze mi tego za złe - odparł Lajos. - Ale czasem trzeba sięgać po środki, których zwykła medycyna nie ma w arsenale.

- Najważniejsze, że koń chodzi. - Pryszczol ziewnął szeroko. - To ja spadam do łóżka. Chyba że jestem jeszcze potrzebny, szefie?

- Nie, już nie - odparł tata cichym głosem. - Dzięki, Jens.

- Nie ma sprawy.

Weterynarz pożegnał się z ojcem i również wyszedł ze stajni. Kiedy zostaliśmy sami, zapanowała napięta cisza.

- Też już będę się zbierał. - Lajos pierwszy ją przerwał. - Zrobiło się dość późno.

- Poczekaj, Lajos - poprosił go tata.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie uważnie i szukali właściwych słów. Kiedyś byli

najlepszymi przyjaciółmi, ale to było wiele, wiele lat temu.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiem, co tu się wydarzyło - wychrypiał tata. - Ale bardzo się cieszę, że znów cię widzę. Naprawdę.

Napięta twarz Lajosa nieco się rozluźniła i mężczyzna się uśmiechnął.

- Ja też - odparł po cichu.

A potem tata rozłożył ramiona i objął starego przyjaciela. Żaden z nich nie zwracał na mnie uwagi, ale byłam z tego raczej zadowolona. Dopiero teraz poczułam, jak strasznie jestem zmęczona. Nie miałam ochoty odpowiadać na żadne pytania. Wymknęłam się wzdłuż ściany i wyszłam na dwór. Po tylu latach na pewno mieli sobie sporo do powiedzenia. A na pozostałe sprawy przyjdzie jeszcze czas.

Rozdział 36

KIEDY SIĘ OBUDZIŁAM, potrzebowałam dobrej chwili, żeby sobie przypomnieć wydarzenia ubiegłej nocy. Budzik wskazywał szóstą piętnaście, najwyższa pora wstawać. Zwlekłam się z łóżka i zaspana poczłapałam do łazienki. Po drodze spotkałam brata.

- Cześć - powiedziałam na jego widok, lecz nie doczekałam się odpowiedzi.

Christian przepchnął się obok i zniknął w swoim pokoju. Czyżby to mnie obwiniał o to, co się wczoraj wydarzyło? Nieważne.

Umyłam się, uczesałam, włosy związałam w kucyk, ubrałam się i zbiegłam na dół. W kuchni było włączone światło, ale nikt nie nakrył stołu. No tak, przecież mama jeszcze nie wróciła!

Przed wyjściem do szkoły chciałam zajrzeć do Lagunasa, żeby się z nim pożegnać, dlatego zrezygnowałam ze śniadania. Chwyciłam plecak i narzuciłam kurtkę. Kiedy otworzyłam drzwi, Twix wystrzelił jak z procy. Wskoczyłam na rower i popedałowałam w stronę rozświetlonych już budynków. Heinrich i Stani rozdzielali właśnie siano w Długiej Stajni. Weszłam do środka, oparłam rower o ścianę i pobiegłam na koniec wciąż pogrążonego w ciemnościach pomieszczenia.

- Lagunas! - zawołałam cicho i odnalazłam włącznik.

Świetlówki u sufitu zamrugały i po chwili rozbłysło światło. Podeszłam do boksu wierzchowca. Wyglądało na to, że znów jest w świetnej kondycji. Całą noc przeleżał, miał ogon pełen słomy.

- Dzień dobry - odezwał się ktoś za moimi plecami.

Podskoczyłam i zobaczyłam tatę siedzącego na kostce słomy. Chyba nie zmrużył oka. Był nieogolony i wciąż miał na sobie białe bryczesy z wczorajszego turnieju.

- Chciałam się pożegnać z Lagunasem... - wyjąkałam.

- Podejdź. - Wyciągnął rękę.

Podeszłam. Przesunął się, robiąc mi miejsce obok siebie.

- Dziękuję ci, kochanie - powiedział cicho i objął mnie ramieniem. - To dzięki tobie mogę go dziś sprzedać. Gdybyś nie sprowadziła Lajosa, wszystko skończyłoby się znacznie gorzej.

Przełknęłam głośno ślinę.

- Wczoraj wszystko mi opowiedział. Skąd się znacie. - Objął mnie mocniej. - Ale jeszcze porozmawiamy o twoich samotnych przejażdżkach po lesie.

Przestraszona uniosłam wzrok i z ulgą zobaczyłam, że się uśmiecha. Uff!

- Poza tym dziś w nocy sprowadziłem do domu Fritziego - oświadczył.

- O! Jak to?

- Pojechałem z Lajosem do leśniczówki i wróciłem konno. Całe szczęście, że wczoraj znalazłaś dość czasu, żeby go osiodłać.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Nagle coś mi się przypomniało. Pochyliłam się, otworzyłam plecak i wyjęłam pieniądze.

- Proszę. Na śmierć o nich zapomniałam. - Podałam tacie czternaście banknotów po pięćset euro. Zbladł.

- Skąd to masz?

- Od Teicherta - odparłam zgodnie z prawdą. - Pojechałam w piątek do jego biura. Bez

przerwy kłóciliście się z mamą o ten czek bez pokrycia, więc pomyślałam, że jeśli zdobędę te pieniądze, to... to może ona wróci...

Umilkłam, patrząc na twarz taty. Był blady jak kreda, w oczach miał łzy. Okropnie było patrzeć, jak mama płacze, ale wiedziałam, że nie wytrzymam, jeśli tata się teraz rozklei.

- Czy ja... zrobiłam coś złego? - zapytałam niepewnie.

Zamiast odpowiedzi tata przytulił mnie tak mocno, że ledwo łapałam oddech.

- Elena, Elena, Elena - wyszeptał. - Nie wiem, co powiedzieć. Lajos ma rację. Nie brak ci odwagi.

Głośno sapnęłam i tata rozluźnił uścisk.

- Myślisz, że teraz, kiedy odzyskaliśmy pieniądze, mama wróci?

Westchnął, po czym otarł oczy kciukiem i palcem wskazującym.

- Nie mam pojęcia. Dla niej też nie byłem najmilszy.

- Ale jak odwieziesz Lagunasa, możesz jechać do mamy i przeprosić, prawda? - Popatrzyłam na niego wyczekująco.

- Po tym, czego się o tobie nasłuchałem przez kilka ostatnich godzin, nie mam wątpliwości, że ty byś tak postąpiła. - Tata uśmiechnął się zatroskany i pogłaskał mnie po policzku. - Gdyby to było takie proste...

- To jest proste - odparłam z przekonaniem. - Ja też ostatnio powiedziałam Lajosowi mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy, ale wczoraj go przeprosiłam i wcale nie był zły.

- O jakich nieprzyjemnych rzeczach mówisz?

Przygryzłam dolną wargę. Powiedziałam więcej, niż zamierzałam. W duchu miałam

nadzieję, że Lajos już to tacie wyjawił, ale najwyraźniej spadło to na moje barki. Chciałam powiedzieć coś wymijającego, ale po chwili przypomniałam sobie, jakiego triku używają w takich sytuacjach dorośli.

- To długa historia... - powiedziałam tylko.

Konie zaczynały być niespokojne. Słychać było ich rżenie. Po chwili otworzyły się przednie drzwi i Heinrich wtoczył do środka kilka snopów słomy.

- W takim razie opowiesz mi innym razem. - Tata podniósł się z uśmiechem. - Wiesz co? Chętnie bym popatrzył, jak ty i Fritzi skaczecie.

- Teraz? Ale spóźnię się do szkoły!

- Potem cię odwiozę i napiszę ci usprawiedliwienie za pierwszą lekcję - zaproponował. - Co ty na to?

- Super. - Uśmiechnęłam się szeroko. - Pobiegnę się przebrać. Za pięć minut jestem z powrotem!

Fritzi najwyraźniej świetnie zniósł naszą nocną eskapadę. Pełny energii kłusował wokół manežu, podczas gdy tata obniżał przeszkody, które w piątek rozstawił tu pan Nötzli. Nie mógł uwierzyć, że tak wysoko skakałam na Quintano. Do ujeżdżalni wszedł Jens i stanął przy bandzie. Po chwili pojawili się Heinrich ze Stanim, a wreszcie dołączył do nich dziadek i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- No dobrze, zacznij od koperty! - zawołał tata, kiedy porządnie rozgrzałam konia.

- Fritzi, zaczynamy - powiedziałam cicho, a ogier natychmiast położył uszy, nadsłuchując. - Teraz im pokażemy.

Na początek skoczyłam kilka razy ćwiczebnie, by potem przejechać cały parkur. Fritzi pokazał się z najlepszej strony, jakby chciał udowodnić tacie, że pomylił się w jego ocenie. Dziadek i Jens pomogli ojcu podwyższyć przeszkody. Wtedy pomyślałam o Timie. Tim...

Właściwie zasłużył na to, żeby też tu być, bo to, co umieliśmy, było głównie jego zasługą.

- Dobra - powiedział tata.

Skróciłam wodze i przeszłam w galop. Fritzi najechał przeszkodę z położonymi uszami i wybił się tak wysoko, że z trudem usiedziałam w siodle.

- Łał! - stęknął Pryszczol, kiedy bez najmniejszego wysiłku pokonaliśmy potrójny szereg.

Zaraz potem stał okser z błękitnym drągiem na dole, co bardzo rozpraszało niektóre konie. Ale nie Fritziego. Przeszkody mogły mieć różowy kolor, być w kropki czy we fioletową kratkę - mojego ogiera to nic a nic nie interesowało. Skakał jak natchniony, im wyżej, tym płynniej i pewniej! Po ostatniej przeszkodzie wykonałam paradę i dysząc ciężko, spojrzałam na tatę, który stał przy jednym z okserów i z założonymi na piersiach rękoma obserwował bez słowa nasz przejazd.

- I jak? - zapytałam. - Co o nim myślisz?

Tata długo nie odpowiadał, tylko patrzył na mnie i mojego konia z charakterystyczną dla siebie kamienną twarzą.

- Właśnie o takim koniu marzyliśmy, mama i ja, kiedy daliśmy pokryć Gretnę przez For Pleasure - wykrztusił wreszcie.

- Czyli uważasz, że jest dobry? - nie dawałam za wygraną.

Chciałam usłyszeć słowa pochwały dla Fritziego, najlepszego wierzchowca na świecie. Ale tata postanowił trzymać mnie w niepewności.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie uważam, że jest dobry - odparł ku mojemu gorzkiemu rozczarowaniu.

Czy Tim, ja i pan Nötzli tak bardzo mogliśmy się pomylić? Musiałam z całej siły powstrzymywać się, by nie wybuchnąć płaczem jak małe dziecko. Cała praca, marzenia, nadzieja, którą wiązałam z Fritzim... czy to wszystko było na próżno?

- Eleno. - Tata wyrwał mnie z zamyślenia. - Nie uważam, że jest dobry. Uważam, że jest niezrównany! Po prostu brak mi słów! Nie do wiary, czego udało ci się z nim dokonać!

Uniosłam głowę, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszę. Tata uśmiechał się z zachwytem i wciąż z niedowierzaniem kręcił głową.

- Jak to zrobiłaś? I przede wszystkim kiedy? Dlaczego w ogóle was nie widywałem?

Położył mi dłoń na łydce. Oczy mu błyszczały.

- Zależało mi, żebyś nas nie widział. Bałam się, że jak się przekonasz, jaki jest świetny, to mi go odbierzesz.

Uśmiech zamarł na twarzy taty. Ścisnął mnie za łydkę tak mocno, że aż zabolało.

- Naprawdę myślałaś, że sprzedałbym twojego konia tylko dlatego, że potrzebuję pieniędzy? - wyjąkał.

Skinęłam nieśmiało głową.

Odsunął rękę i głośno wypuścił powietrze.

- Pewnie teraz powinienem się obrazić - powiedział smutno - ale sam jestem sobie winien.

A niech to! Wszystko zepsułam! Zraniłam go, bo znów chlapnęłam coś bez zastanowienia. Jak mogłam go przekonać, że teraz wszystko się zmieniło?

Dopiero wczoraj, kiedy powiedział mi o sprzedaży Lagunasa, spojrzałam na ojca innymi oczami. Często, kiedy nie rozumiałam jego decyzji, uważałam, że jest podły i bez

serca. Zupełnie jak wtedy na turnieju, po sprzedaży Phoeniksa Teichertom. Albo kiedy się wściekał, że rozmawiałam z Timem. Teraz rozumiałam wszystko, bo znałam szerszy kontekst. I czułam jego troskę, jego smutek z powodu tego, że musiał sprzedać ukochanego konia tylko dlatego, że potrzebował pieniędzy i nie mógł odrzucić świetnej oferty.

Całą noc spędził w stajni u Lagunasa, nie mogąc zasnąć, tak bardzo był nieszczęśliwy. Bo miał serce we właściwym miejscu. Bardzo mnie to poruszyło. A teraz stał przede mną, próbując się uśmiechnąć, ale jego oczy mówiły mi, jak bardzo go zraniłam.

Zeskoczyłam z siodła i chwyciłam go za rękę.

- Tatusiu, przepraszam, że tak źle o tobie myślałam.

- Niepotrzebnie - odparł, chwytając wodze Fritziego, zanim ten postanowił się ulotnić. - Może właśnie to powinienem usłyszeć. Za mało poświęcałem ci uwagi. To nie fair z mojej strony. Dzisiejszej nocy miałem dużo czasu do namysłu. To, co dla mnie zrobiłaś, jest wspaniałe. Jesteś wyjątkową dziewczyną. Tak jak twoja mama.

Na te słowa zaczerwieniłam się z dumy. Wyjątkowa dziewczyna! Coś takiego!

Kiedy jedliśmy śniadanie, tata opowiadał mi historie sprzed lat. O Lajosie i Richardzie Jungblucie, o mamie i jej siostrze Violi, o mamie Tima Lindzie, a także o mamie i sobie. Potem napisał mi zwolnienie za pierwsze cztery lekcje i zawiózł do szkoły w Königshofen.

- Jadę z Lagunasem do kliniki doktora Sängera, do Köln - powiedział, zatrzymując się pod szkołą. - Jeśli przegląd przed sprzedażą pójdzie dobrze, Viktor go stamtąd zabierze. Poza tym twoja propozycja była świetna.

- Jaka propozycja?

- Stamtąd pojadę prosto do dziadków, do Bonn. Może uda mi się namówić mamę do powrotu.

- O rany, byłoby super! - Rzuciłam mu się na szyję z radości.

- No cóż, zobaczymy. - Uśmiechnął się. Po chwili coś jeszcze przyszło mu do głowy. - Aha, miałem ci coś przekazać od Lajosa. Wprawdzie nie bardzo wiem, o co chodzi, ale to ostatnio normalne.

- O? A co? - zapytałam zaciekawiona.

- Mówi, że miałaś rację co do klaczy - powiedział tata. - Miała guza ślinianki przyusznej i wczoraj ją operowano.

- O kurczę! - Teraz przypomniałam sobie Blue Fire Lady, kasztankę w stajni Lajosa. Przez ostatnie zdarzenia całkiem o niej zapomniałam.

- To też mi kiedyś wytłumaczysz, prawda? - Mrugnął do mnie tata. - A teraz leć do szkoły, bo inaczej będę ci musiał napisać nowe usprawiedliwienie.

Uśmiechnęłam się, wysiadłam i pomachałam mu, patrząc, jak odjeżdża. Na dźwięk dzwonka, sygnalizującego koniec czwartej lekcji rzuciłam się pędem do szkoły. Musiałam odnaleźć Melike! Przerwa będzie zbyt krótka, żebym zdążyła wszystko jej opowiedzieć.

W tej chwili odezwała się komórka w kieszeni mojej kurtki. Wyjęłam ją i odczytałam smsa. Nowa wiadomość! I to od Tima! „Zobaczymy się o trzeciej na łące?", pisał. „Masz czas? Muszę z tobą porozmawiać".

Moje serce podskoczyło z radości.

„Jasne", odpisałam. „Ja też mam ci mnóstwo do opowiedzenia!".

Rozdział 37

MELIKE NIE MOGŁA pojechać ze mną, bo po południu miała lekcję gry na pianinie, ale tym razem ani trochę nie było mi przykro.

Nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę się z Timem, bo tyle miałam mu do opowiedzenia! Choć radość przyćmiewał fakt, że teraz, kiedy tata wiedział już o Fritzim, nie miałam pretekstu do tajnych treningów.

Podczas gdy czyściłam i siodłałam konia, łamałam sobie głowę nad tym, jak i gdzie mogłabym odtąd spotykać się z Timem.

Kiedy zapięłam popręg, uderzyła mnie straszna myśl. A co, jeśli po tym, jak ojciec wymierzył Timowi policzek z mojego powodu, on nie będzie chciał się już ze mną widywać? Może ulży mu, że już nie będzie musiał trenować Fritziego i szukać okazji, by wymknąć się na spotkanie z nami?

Skarciłam się w duchu. U niego w stadninie na pewno było sporo dziewczyn, które biegały za nim, podobnie jak niektóre u nas za Christianem. W szkole też niejednej wpadł w oko i raczej znalazłaby się taka, która i jemu by się spodobała; taka, która byłaby ładniejsza ode mnie i z którą nie musiałby się spotykać w tajemnicy. Podłamałam się.

„Muszę z tobą porozmawiać", napisał. Co to mogło oznaczać? Cóż tak pilnego miał mi do powiedzenia? O tym, że nie chce się już ze mną spotykać, bo nie ma ochoty być zastraszany przez Christiana i bity przez ojca? Dlaczego życie musiało być tak skomplikowane? Dlaczego człowiek nie mógłby być po prostu szczęśliwy?

Fritzi przestępował niecierpliwie z nogi na nogę, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że pora ruszać.

Otrząsnęłam się z odrętwienia. Nałożyłam mu ogłowie, a sobie nasunęłam toczek na głowę. Wpół do trzeciej. No to w drogę.

Czując się nieswojo, wyruszyłam do lasu. Niebo było zachmurzone, wyglądało na to, że lada chwila zacznie padać śnieg. Ostry i mroźny wiatr wiał mi prosto w twarz. Zawiązałam szal aż po czubek nosa. Obawa, że Tim powie mi, że to koniec, była gorsza od wszystkiego, co dotąd mnie spotkało. Mimo to nie zamierzałam zawrócić. Musiałam wiedzieć, jak się sprawy mają.

Kiedy dotarłam na łąkę, Tim już na mnie czekał. Siedział na pniu drzewa, ale na mój widok zaraz się poderwał. Podjechałam z mocno walącym sercem i zeskoczyłam z siodła. Silny podmuch wiatru potargał jego jasne włosy. Wyglądał tak cudownie, że jego widok sprawiał mi fizyczny ból.

Czy miałam jakieś szanse z Ariane i spółką? Za chwilę pewnie się dowiem. Chciałam to mieć już za sobą.

- O czym chciałeś ze mną porozmawiać? - zapytałam.

- Ty pierwsza - odparł z uśmiechem. - Czy może najpierw chcesz potrenować?

Zadrżałam ze zdenerwowania. Nabrałam głęboko powietrza.

- Tata widział, jak Fritzi skacze. Dziś rano. Chciał, żebym mu pokazała.

- No co ty! I? Co powiedział? Opowiadaj! - Tim wyraźnie się cieszył.

- Był zachwycony i chciał wiedzieć, jak tego dokonałam, że on się nie zorientował. Przez chwilę myślałam nawet, że powiem mu prawdę, ale tego nie zrobiłam.

Dopiero teaz uświadomiłam sobie, że stchórzyłam. Powinnam stać po stronie Tima, nieważne, co się wydarzy. Ale, ku mojemu zdziwieniu, on uważał, że to dobrze.

- Lepiej jest tak, jak jest - stwierdził. - Inaczej byłaby afera. Ale jak to się stało, że twój tata chciał zobaczyć Fritziego? Nötzli coś mu powiedział?

Potrząsnęłam przecząco głową.

- Nie. Wczoraj tyle się wydarzyło, że sama nie wiem, od czego zacząć.

Przeszliśmy na drugą stronę łąki do szopy i usiedliśmy na osłoniętej od wiatru ławce. Opowiedziałam Timowi o wszystkim, począwszy od wypadku Lagunasa, winie Christiana, moim galopie przez las do leśniczówki aż po sukces Lajosa.

- Łał! - Tim był pod wrażeniem. - Ale jazda. Ty się naprawdę niczego nie boisz.

Gdyby tylko wiedział! Tak naprawdę to bałam się wszystkiego, a zwłaszcza tego, co miał mi właśnie do zakomunikowania.

- Kto to właściwie jest ten Lajos? - zainteresował się nagle.

Zawahałam się, ale po chwili opowiedziałam mu wszystko, czego dowiedziałam się o wspólnej przeszłości naszych rodziców. Słuchał mnie z uwagą i rosnącym oburzeniem.

- Aż do wypadku byli najlepszymi przyjaciółmi - powiedziałam na koniec. - Prowadził twój ojciec, ale potem zeznał, że to Lajos siedział za kółkiem. Ani on, ani moi rodzice nie pamiętali chwili wypadku. Skazano więc Lajosa, wsadzono do więzienia, a twój ojciec ożenił się z twoją mamą, która była dziewczyną Lajosa. Matka Lajosa musiała sprzedać dom, żeby mieć pieniądze na odszkodowanie. I to właśnie jest powód, dlaczego nasze rodziny tak się nienawidzą.

Umilkłam.

Tim pobladł, oparł łokcie na kolanach i patrzył przed siebie.

- Tim - szepnęłam nieśmiało. - To wszystko nie ma z nami nic wspólnego, prawda?

Popatrzył na mnie. Jego niebieskie oczy pociemniały, a między brwiami pojawiła się głęboka bruzda.

- Nie - mruknął wyraźnie nieszczęśliwy. - Nie, to nie ma z nami nic wspólnego. My przecież nie mieliśmy na to żadnego wpływu.

Zachodziłam w głowę, co powinnam teraz powiedzieć, jakich słów użyć, żeby przejść do nurtującego mnie tematu.

- Skoro teraz nie będziemy już trenować Fritziego - wyszeptałam - to może moglibyśmy się spotykać u Lajosa? On nigdy by nas nie zdradził.

- To raczej nie wchodzi w rachubę - powiedział ponuro i spuścił głowę. - Przecież do więzienia trafił przez mojego ojca. Pewnie mnie nienawidzi.

- No co ty, on nie jest taki - odparłam z przekonaniem. - To przyjaciel twojego dziadka. Poza tym przecież wie, że to nie twoja wina. Nie odpowiadasz za swoich rodziców, tak ja nie odpowiadam za swoich.

Popatrzył na mnie uważnie. W jego oczach zauważyłam płomyk nadziei.

- Nie miałem wielu przyjaciół - powiedział, znów spuszczając wzrok. - Odkąd sięgam pamięcią, co weekend jedziemy na jakieś zawody, a w tygodniu muszę pomagać w stajni. Nikt nigdy nie zapraszał mnie na urodziny albo wypad na basen. Nieszczególnie mnie to martwiło, bo w szkole raczej za nikim nie przepadałem, a na zawodach miałem przecież znajomych. W stadninie zawsze tyle się działo... Nigdy mi tego nie brakowało. Aż do teraz. Teraz wszystko się zmieniło.

Urwał. Zapadła cisza, przerywana jedynie szumem wiatru. Czekałam, by zaczął mówić dalej.

- Nasze treningi z Fritzim... - Tim szukał właściwych słów. - Czas z tobą i Melike... Tak świetnie się bawiliśmy... Było wspaniale. Za każdym razem tak się cieszyłem na nasze spotkania i na to, żeby...

Zaraz mi to powie! Powie mi, że to koniec. Że już się nie zobaczymy. Próbowałam przygotować się na te słowa, nakazywałam sobie być silną i nie płakać, bez wzgledu na to, co

usłyszę.

-...żeby zobaczyć ciebie - dokończył. Nabrał głęboko powietrza, uniósł głowę i nagle zalał mnie potokiem słów: - Nie znam drugiej dziewczyny takiej jak ty, Eleno. Jesteś... jesteś taka... cudowna. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale życie byłoby do dupy, gdybyśmy nie mogli się spotykać tylko dlatego, że twój ojciec wie już o Fritzim, twój brat chce mi przylać, a mój stary nienawidzi twoich rodziców. A ja... chodzi o to, że ja... niech to szlag, ja cię kocham!

Patrzyłam na niego wielkimi oczami, zapominając o oddychaniu. W następnej chwili przyciągnął mnie do siebie i przycisnął usta do moich ust. Świat znieruchomiał. Wiatr ucichł. Czas się zatrzymał. Kiedy przestał mnie całować, przytulił twarz do mojej twarzy. Nie otwierałam oczu. Siedziałam jak skamieniała.

- Nie wiem, czy ty czujesz to samo - wyszeptał Tim. - Przeraża mnie myśl, że mielibyśmy już zawsze spotykać się tylko w tajemnicy, ale co tam, jeśli nie będzie innego wyjścia... Jedyne, czego się boję, to że nie będziesz chciała mnie już widzieć... Elena, powiedz coś, proszę!

Otumaniona otworzyłam oczy. Nasze twarze dzieliło kilka centymetrów. Dostrzegłam tę słodką bliznę nad jego górną wargą, dołek w brodzie i niepewność w oczach. Czy to mogło się dziać naprawdę? Czy to on mógł się bać, że ja nie będę chciała się z nim widywać? A może to tylko sen?

- Elena! Odpowiedz mi proszę!

Potrząsnął mną delikatnie, a świat znów zaczął wirować. Nie mogłam mu odpowiedzieć, bo odebrało mi mowę. Objęłam go za szyję i zaczęłam płakać - ze szczęścia i ulgi.

- Och, Tim - wyszeptałam w końcu. - Tak bardzo cię lubię! Myślałam, że chcesz mi powiedzieć, że nie będziemy się już widywać. Nic mnie nie obchodzi, czy będziemy spotykać się w tajemnicy, czy nie.

Jego twarz rozjaśnił niepewny z początku uśmiech.

- Serio? - chciał wiedzieć.

- Zupełnie serio. - Uśmiechnęłam się, a potem zaczęłam jednocześnie płakać i się śmiać. Tim też się rozpromienił.

- Super - powiedział w końcu. - Mam coś dla ciebie.

Puścił mnie, odsunął się i wyjął coś z kieszeni kurtki. Po chwili podał mi niewielki pakunek, owinięty taśmą klejącą.

- Nie jestem mistrzem pakowania prezentów - wyjaśnił i uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Mam ci to otworzyć?

- Dam sobie radę - zapewniłam go i z bijącym sercem rozerwałam posklejany papier.

W dłoni trzymałam niewielkie pudełeczko, w którym znalazłam złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie serca.

- To dla mnie? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Oczywiście. - Tim poruszył się niecierpliwie. - Przyjrzyj się mu dokładniej. Dałem go do grawerowania.

Rzeczywiście! Na odwrocie serca maleńkimi literkami wykaligrafowano Projekt Fritzi.

- Pomyślałem, że tak będzie dyskretniej, niż gdybym dał wygrawerować nasze inicjały. Christian i twoi rodzice szybko by się połapali, prawda? - zapytał niepewnie. - A może wolałabyś tylko T i E?

- Nie - wyszeptałam głęboko wzruszona jego troską. Znów zaczęłam płakać i mówiłam teraz piskliwym głosem: - Nie. To jest po prostu... Dziękuję! Tim, to jest najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam!

Tim promieniał. Wziął ode mnie łańcuszek i zawiesił mi serduszko na szyi. Potem chwycił mnie za rękę i przez jakiś czas siedzieliśmy tak i uśmiechaliśmy się do siebie.

- To co, jesteśmy już parą? - odważyłam się zapytać.

- Mam nadzieję - odparł Tim i pocałował mnie. Drugi raz tego dnia.

Rozdział 38

FRITZIEMU BARDZO SPIESZYŁO się do domu. Pozwoliłam mu galopować tak szybko, jak tylko chciał. W drodze na łąkę liczyłam się z każdym scenariuszem, ale na pewno nie z takim. Czyżby naprawdę minęło jedynie półtorej godziny od czasu, kiedy jechałam tą samą drogą, pewna, że zaraz dowiem się o końcu naszych spotkań? Teraz wszystko było zupełnie inne. Serce biło mi z radości jak szalone, byłam uskrzydlona i szaleńczo szczęśliwa. Nigdy w życiu tak się nie czułam! Tim mnie kochał! Dwa razy mnie pocałował! Kupił mi łańcuszek z serduszkiem, dał do wygrawerowania specjalny napis i wszystko zapakował! Życie było cudowne.

Przypomniałam sobie o Melike. Muszę jak najszybciej do niej zadzwonić, żeby wszystko opowiedzieć. No dobrze, może prawie wszystko.

Do domu wróciłam znacznie szybciej, niż się spodziewałam. Kiedy mijałam ujeżdżalnię, było już ciemno, lecz mimo to zobaczyłam coś, przez co moje serce znów fiknęło koziołka. Pod stajnią stał furgon taty, którym rano odwiózł Lagunasa, a tuż za nim parkował golf mamy. Zatrzymałam konia i zeskoczyłam na ziemię. Tata widział, jak podjeżdżam, bo wyszedł mi na powitanie.

- Elena! - krzyknął. - Chodź tutaj!

- Zaraz, tylko odprowadzę Fritziego! - odpowiedziałam.

- Dziewczyno, a dokąd chcesz go odprowadzać? - Ojciec uśmiechnął się szeroko. - Przecież teraz będzie mieszkał w boksie Lagunasa.

Otworzył bramę na całą szerokość i wpuścił nas do środka.

A tam czekała na nas mama! Uśmiechała się! Puściłam wodze Fritziego i rzuciłam się jej na szyję.

Tata zaprowadził mojego ogiera do przestronnego boksu, w którym jeszcze rano stał jego najlepszy wierzchowiec.

- Tak się cieszę, że już jesteś! - wyszeptałam mamie na ucho. - Bez ciebie było okropnie!

Mama mocno mnie przytuliła.

- Też się cieszę - odpowiedziała szeptem. - Tata mi opowiedział, co mu mówiłaś i co zrobiłaś przez czas, kiedy mnie nie było. Nawet nie wiesz, kochanie, jaka jestem z ciebie dumna!

Puściła mnie i pogłaskała po głowie. Chociaż się uśmiechała, miała podejrzanie mokre oczy.

W końcu mój wzrok padł na Christiana, który stał z boku i przyglądał się nam, robiąc ponurą minę.

- Macie już dosyć?

Wiedziałam, że nie był zachwycony tym, co się wydarzyło przez kilka ostatnich dni. W jego oczach byłam tylko pozbawioną talentu miłośniczką kucyków, a tu proszę, ni stąd, ni zowąd dostaję konia pod opiekę, płacą mi za to, a Fritzi, którego zawsze uważał za kulawą szkapinę, okazuje się wyśmienitym ogierem.

- No dobrze - powiedział tata, kiedy wrócił z siodłem i ogłowiem Fritziego. - Zajmij się swoim koniem.

- Już pędzę! - uśmiechnęłam się.

Tata podszedł do mamy i ją objął. Nawet ją pocałował, a ja nie posiadałam się z radości. Często widziałam, jak się całowali, ale akurat dzisiaj dowiedziałam się, jak to jest, kiedy robi się to samemu.

- Pospieszcie się trochę - tata polecił bratu i mnie. - Na kolacji będzie dzisiaj Lajos.

Potem wyszli ze stajni, trzymając się za ręce.

- Lajos! - parsknął Christian z pogardą. - Też mi coś.

- Powinieneś się cieszyć, że Lajos uratował wczoraj Lagunasa.

- Lepiej się zamknij! - Christian zastąpił mi drogę, kiedy ruszyłam do siodlarni. - Dobrze się bawisz, jak stary robi takie wielkie halo wokół ciebie i tego twojego zdechlaka?

- Przepuść mnie - powiedziałam jedynie, na co on odsunął się tylko trochę.

Potem rozpostarł ręce i zablokował przejście, a w jego oczach pojawiły się złe błyski.

- Jesteś paskudną podlizywaczką! - warknął ponuro.

- A ty jesteś strasznie zarozumiałym palantem! Jesteś na mnie zły o coś, co sam zawaliłeś, i na dodatek zazdrosny, że nie znalazłeś się w centrum zainteresowania!

Christian zrobił nieprzyjemną minę. Złapał mnie za ramię i wykręcił je, więc z całej siły kopnęłam go w kolano. Sekundę później leżeliśmy na podłodze siodlarni. Stojak na siodła runął na ziemię, robiąc przerażający hałas. Walczyliśmy zawzięcie. Kopałam i drapałam, a Christian wykręcał mi ręce.

- Au! - krzyknęłam. - Puść mnie!

Nie byłam szczególnie delikatna, ale on naprawdę sprawiał mi ból. Co gorsza, wcale nie zamierzał mnie puścić! Dopiero teraz zrozumiałam, jak bardzo jest wściekły. Łzy popłynęły mi z oczu, ale zagryzłam zęby i z całych sił się broniłam.

- Cholera, czyś ty zwariował?! Natychmiast przestań!

Ktoś wpadł do siodlarni, złapał Christiana wpół i zdjął go ze mnie. Brat puścił moje

ramię, ale w ostatniej chwili kopnął mnie jeszcze w piszczel, po czym uciekł.

Wstałam i się obejrzałam. Dopiero wtedy zobaczyłam, kto mnie uratował. Że też to musiał być akurat Jens, o którym zawsze myślałam, że najchętniej zakopałby mnie na dnie gnojownika!

- Boli? - zapytał z zaskakującym współczuciem w głosie.

- Jakoś ujdzie - mruknęłam i zaczęłam masować ramię.

Musiałam jeszcze oporządzić Fritziego i zadzwonić do Melike, zanim pojawi się Lajos.

- Tylko twardziele piją szampana. - Jens pomógł mi doprowadzić się do porządku.

- Dzięki - uśmiechnęłam się, otrzepując kurtkę z kurzu.

- Nie ma o czym mówić - odparł Jens. - Pamiętaj tylko, żeby zgasić światło, jak będziesz wychodziła, Smarkulo.

- Nigdy nie zapominam, Pryszczolu - odparłam rozradowana.

Jens uśmiechnął się szeroko i wyszedł.

Poczekałam, aż zniknie za drzwiami, i pobiegłam do stodoły, żeby przynieść derkę Fritziego.

Co za niesamowity dzień! W końcu nie musiałam już ukrywać Fritziego! Mogłam czyścić go przy wszystkich, siodłać i jeździć na nim, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

Mama wróciła, a za pieniądze ze sprzedaży Lagunasa mogli pokryć większą część długów dziadka. To oznaczało, że stadnina pozostanie w naszych rękach! Za trzy tygodnie miałam po raz pierwszy wystartować na Fritzim w turnieju, a już jutro zacznę jeździć na Quintano.

Poznałam tajemnicę wrogości między Jungblutami i Weilandami, lecz Tim i ja nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

Wróciłam do stajni, weszłam do boksu mojego konia i zobaczyłam, że świetnie się tam czuje. Szybko nałożyłam mu derkę i zapięłam troki. Fritzi zarżał radośnie i otarł się o moje ramię.

- Ach, kochany! - szepnęłam, a potem objęłam go za szyję i przycisnęłam twarz do miękkiej sierści.

Nagle odezwała się moja komórka. To pewnie Melike, żeby się dowiedzieć, jak minął mi wieczór. Puściłam konia i wyjęłam telefon z kieszeni. Okazało się, że to nie ona, a Tim wysłał mi smsa.

„Cudnie było mi dziś z tobą. Jutro rano jadę autobusem. A ty??? Kocham szaleńczo, T.”.

Serce zabiło mi z radości. Dotknęłam wisiorka na szyi, który dostałam od Tima. Od dzisiaj byliśmy parą. Taką prawdziwą parą. I nieważne, jak bardzo Christian go nienawidził i jak ciężko jeszcze mogło być - wiedziałam, że nic nas nie powstrzyma. Mogliśmy się spotykać u Lajosa. Albo gdzieś indziej. I może, ale to tylko hipotetycznie, pewnego dnia wszystko się ułoży.

„Ja cię też”, odpisałam i uśmiechnęłam się promiennie. „Do zobaczenia jutro w autobusie. Nie mogę się doczekać! E.”.

KRÓTKI SŁOWNICZEK DLA ZAINTERESOWANYCH

AUTORKA KSIĄŻKI świetnie opisała świat przedstawiony. Udało jej się to z dwóch względów - po pierwsze, od dzieciństwa uwielbia konie, a po drugie, wciąż na nich jeździ. Tak, Fritzi to jej ulubieniec w rzeczywistości, który wciąż bierze udział w konkursach skoków! Postanowiliśmy przybliżyć kilka stosowanych przez Nele Neuhaus terminów dotyczących ubioru jeźdźca, końskiej uprzęży, rodzajów przeszkód, chodów i umaszczenia konia.

Ubranie jeźdźca

BRYCZESY - spodnie do jazdy konnej, obcisłe lub bufiaste

TOCZEK - zapinane pod brodą nakrycie głowy jeźdźca mające chronić przed urazami

Uprząż

CZAPRAK - podkładka pod siodło mająca chronić grzbiet konia przed obtarciami

OGŁOWIE - inaczej uzda, to główna część uprzęży zakładana na głowę konia, zwykle wykonana z rzemienia; zadaniem ogłowia jest utrzymanie kiełzna we właściwym miejscu (w pysku w przypadku wędzidła, na kości nosowej w przypadku hackamore) i umożliwienie jeźdźcowi kierowania koniem

WĘDZIDŁO - jeden z rodzajów kiełzna, metalowy, plastikowy, gumowy lub skórzany

element ogłowia wkładany koniowi do pyska w celu kierowania zwierzęciem podczas jazdy

KIEŁZNO - część ogłowia; krótki, najczęściej stalowy pałąk wkładany koniowi do pyska

HACKAMORE - rodzaj kiełzna, przeznaczonego dla koni, które nie tolerują wędzidła lub koni z problemami zębowymi, zakładanego na nos konia, by za pomocą dźwigni wywierać na niego nacisk. Przy dłuższej dźwigni nacisk hackamore się zwiększa, jeździec musi więc uważać, bo mocne szarpnięcie może złamać koniowi kość nosową!

Przeszkody

CZWOROBOK - to miejsce przeprowadzania konkursów w ujeżdżeniu, może być piaszczysty lub trawiasty

STACJONATA - popularna pojedyncza pionowa przeszkoda do skoków konnych zbudowana z dwóch stojaków i drągów zawieszonych jeden nad drugim

CAVALETTI - inaczej kozły, drewniane drągi ustawiane po kilka sztuk jeden za drugim w określonych odległościach, zaopatrzone na końcach w tzw. krzyżaki (plastikowe lub drewniane)

OKSER - przeszkoda przenośna złożona, składająca się z dwóch stacjonat, pokonywana jednym skokiem

PARKUR - plac (ćwiczebny lub konkursowy) na świeżym powietrzu lub w hali z kilkoma lub kilkunastoma przeszkodami, które koń i jeździec muszą pokonać w odpowiedniej kolejności i jak najkrótszym czasie. Parkur ćwiczebny może być ustawiony na placu ujeżdżalni, natomiast parkur konkursowy musi odpowiadać odpowiednim przepisom (w Polsce przepisom Polskiego Związku Jeździeckiego).

Chód - to sposób poruszania się konia (w zależności od prędkości ruchu i kolejności stawiania kończyn). Wyróżniamy następujące chody:

STĘP - to najwolniejszy chód konia; kolejny to kłus, kiedy dwie przeciwległe kończyny - prawa przednia i lewa tylna (i odwrotnie) jednocześnie odbijają się od ziemi; galop - to już trzytaktowy chód, składający się z jakby „skoków". Zależnie od tego, która para kończyn wysuwa się bardziej do przodu, galop może być albo z prawej, albo z lewej nogi. Cwał to najszybszy rodzaj chodu końskiego.

Umaszczenie - to uwarunkowana genetycznie barwa końskiej sierści. W umaszczeniu (np. biała, siwa, kasztanowata, gniada, kara itp.) mogą występować plamy, np. tzw. skarpetki na pęcinach, gwiazdki na pysku, ale także tzw. łysina (podłużny biały pas na pysku) czy strzałka (podłużny biały pas, szerszy na górze i zwężający się ku dołowi).

Na koniec ciekawostka z zakresu kowalstwa: hacele to śruby wkręcane w zakończenia ramion podków, aby zapobiec ślizganiu się konia na miękkiej ziemi czy lodzie, a hufnale to gwoździe stosowane do mocowania podków do kopyt.

Anna i Miłosz Urbanowie